

BIULETYN IPN

nr 6 (51)/2016

pamięć



pl

**Sterroryzowane
referendum**

Czerwcowe bunty

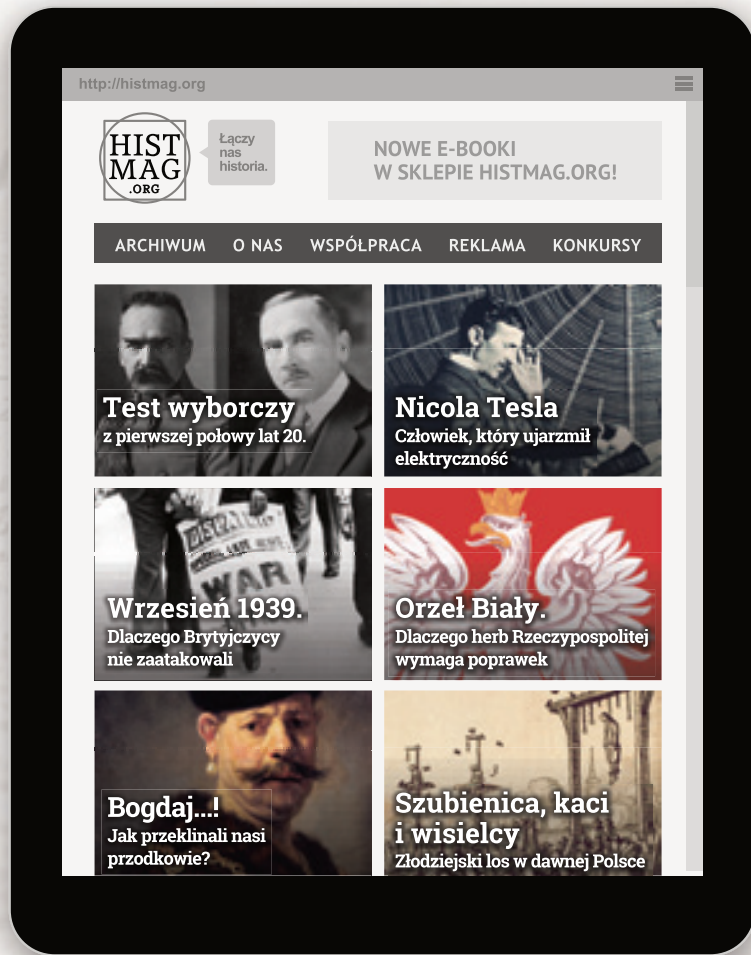
Cena 6 zł (5% VAT)



numer indeksu 284521
nakład 11 500 egz.

**Dodatek specjalny:
plyta DVD
z filmem dokumentalnym
W dzień targowy**





Najbardziej merytoryczny magazyn historyczny w Internecie

Histmag.org to najświeższe newsy, rzetelne artykuły popularnonaukowe, wnikliwe recenzje i zajmująca publicystyka. Wszystko co najlepsze w papierowych czasopismach, dzięki nam znajdziesz także online. Całkowicie za darmo!



Łączy nas historia!
www.histmag.org

MAGAZYN HISTORYCZNY „MÓWIĄ WIEKI”



Popularyzujemy historię od 58 lat!

TEMAT MIESIĄCA:

POLACY W ROSJI, ROSJANIE W POLSCE.

- Polacy i Rosjanie w czasach zaborów – stereotypy i rzeczywistość. Rozmowa z prof. Andrzejem Szwarcem
- W cieniu polskich buntów. Aleksiej Sidorow o kolonizacji Kraju Nadwiślańskiego
- Polski Kaukaz

PONADTO:

- O co chodzi w Sęku?
- W Namibii *alles gut*

oraz recenzje, nowości historyczne i nowy dodatek historyczny „Pewne jak w banku”, przygotowywany we współpracy z Narodowym Bankiem Polskim. W 6 odcinku piszemy o oszustwach, jakimi są piramidy finansowe

„Mówią wieki” można nabyć w salonach EMPiK, Kolportera, Garmonda, Inmedio oraz dobrych kioskach RUCH-u, wersja elektroniczna dostępna na stronie internetowej księgarni Bellony: ksiegarnia.bellona.pl. Zamów prenumeratę: kolportaz@bellona.pl

Zapraszamy także na nasze strony internetowe: www.mowiawieki.pl oraz www.facebook.com/mowiawieki



2 AKTUALNOŚCI IPN

4 KALENDARIUM

6 Z PIERWSZEJ STRONY

FELIETON

8 Krzysztof Gottesman, *Sport, partia i dolary*

STOP-KLATKA

10 Ewa Wójcicka, *Tragiczna pamiątka*

Z ARCHIWUM IPN

14 Grzegorz Majchrzak, *Sprawa operacyjnej obserwacji*

WYWIAD

16 *Wyzwania na wiele lat* – rozmowa z dr. Łukaszem Kamińskim, prezesem IPN

21 *Urzednicy getta łódzkiego* – rozmowa z dr. Adamem Sitarkiem, autorem książki *Otoczone drutem państwo*

24 *Rewolucja wolnego słowa* – rozmowa z dr. Janem Olaszkim, autorem książki *Rewolucja powielaczy*

WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU

29 Michał Siedziako, *Głosowanie w cieniu represji*

34 Grzegorz Majchrzak, *„Hańba, towarzysze, pod waszym adresem”, czyli listy w sprawie Czerwca '56*



Fot. ze zbiorów MWP



Fot. PAP/Agencja Baranowski



Fot. AIPN



Fot. ze zbiorów Główna KARTA



Fot. ze zbiorów Konrada Bialeckiego



Fot. ze zbiorów Tomasz Zawistowski

- 38** Elżbieta Wojcieszek, *Czerwcowe dni*
 - 42** Paweł Miedziński, *Zamach na „prezydenta”*
 - 48** Krzysztof Tarka, *Na emigracji o Czerwcu '76*
- PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU**
- 52** Jerzy Eisler, *Cwał*

ORZEŁ BIAŁY

56 Tomasz Zawistowski, *Orzeł na krzyżu niespodzianym*

Z BRONIĄ W RĘKĘ

61 Michał Mackiewicz, *Erkaem z Fabryki Karabinów*

STRAŻNICY PAMIĘCI NARODOWEJ

65 Konrad Bialecki, *Poznań pamięta*

EDUKACJA HISTORYCZNA

68 Anna Kolak, *Toruńskie ścieżki pamięci – dobra robota IPN*

71 RECENZJE

73 BIBLIOTEKA IPN

SPIS TREŚCI

Fot. AIPN



Szanowni Czytelnicy!

Rok 1946, 1956, 1966, 1976, 1986 – wszystkie te daty mają swoje ważne miejsce w najnowszej historii Polski. Pewnie to przypadek, lecz nie da się zaprzeczyć, że ważnych lat z szóstką na końcu jest wyjątkowo dużo. O wydarzeniach związanych z obchodami milenijnymi w 1966 roku czy katastrofą czarnobylską w 1986 wspominaliśmy w poprzednich numerach. W tym przypominamy „polskie czerwce”. W 1946 roku w Polsce – nad którą coraz ciśnieją się czerwone chmury – przywiezieni na radzieckich czołgach uzurpatorzy zarządzili referendum ludowe, które miało stwarzać pozory demokracji. W rzeczywistości okazało się grą na zwłokę i wielkim oszustwem. O jego przebiegu i towarzyszącym mu terrorze pisze Michał Siedziako.

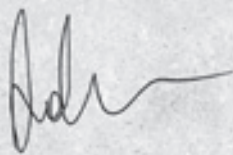
Dziesięć lat później w PRL doszło do pierwszego wielkiego buntu robotników przeciwko władzy nazywającej się reprezentacją ludu pracującego. W czerwcowe dni na ulicach Poznania na transparentach tysiące manifestujących widniały żądania ekonomiczne, ale także polityczne. W odpowiedzi władza „ludowa” miała czołgi i groźby „odrzębienia ręki”. Wydarzenia czerwcowego buntu analizuje Elżbieta Wojcieszek, a sposoby ich upamiętnienia opisuje Konrad Białecki. Z kolei Grzegorz Majchrzak prześwietla listy pisane w sprawie Poznańskiego Czerwca do Polskiego Radia przez zwykłych obywateli, z których aprobatę dla władz wyrażało tylko 10 proc. Oczywiście korespondencja ta do końca PRL nie ujrzała światła dziennego.

Do starcia władzy „ludowej” z ludem pracującym doszło też w czerwcu 1976 roku, kiedy to robotnicy m.in. Radomia, Ursusa i Płocka, oburzeni podwyżkami cen, wyszli na ulice miast. Propaganda komunistyczna od razu nazwała ich chuliganami i wicherzycielami, starając się zojczyć demonstrowających opinii społecznej w kraju i za granicą. Ważną rolę – choć nie zgodnym chórem – w prostowaniu zniekształconego przez komunistów obrazu przyczyn i przebiegu Czerwca '76 odegrały środowiska emigracyjne. Krzysztof Tarka opisuje najważniejsze głosy polskiej publicystyki emigracyjnej w sprawie wydarzeń czerwcowych.

W numerze publikujemy także trzy wyjątkowe wywiady. Dwa z nich, z Adamem Sitarkiem i Janem Olaszkiem, to rozmowy z laureatami Nagrody Historycznej tygodnika „Polityka”. Obaj, co warto z dumą podkreślić, są pracownikami Biura Edukacji Publicznej IPN. W trzecim wywiadzie pytamy zaś ustępującego prezesa IPN, Łukasza Kamińskiego, o sukcesy i porażki instytutu pod jego kierownictwem, a także o perspektywę IPN w kontekście zmian w ustawie.

Do numeru dołączyliśmy film dokumentalny *W dzień targowy* w reżyserii Roberta Kaczmarka, opowiadający o wydarzeniach Poznańskiego Czerwca 1956 roku.

Redaktor naczelny
Andrzej Brzozowski



pamięć.pl

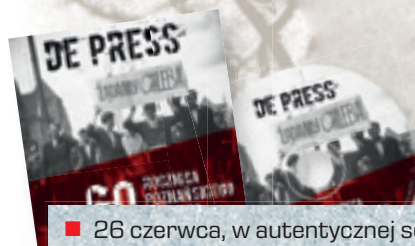
Wydawca: Instytut Pamięci Narodowej
– Komisja Ścigania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa: dr hab. Adam Dziurok,
dr Krzysztof Kaczmarski, dr Maciej Korkuć,
dr Bartosz Kuświk,
dr Tomasz Łabuszewski,
dr Agnieszka Łuczak, dr Karol Nawrocki,
dr Sławomir Poleszak, dr Paweł Szulc,
dr Waldemar Wilczewski,
dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),
dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna: Andrzej Czyżewski,
dr Dawid Golik, Krzysztof Gottesman,
dr Joanna Hytrek-Hryciuk,
Agnieszka Jaczyńska,
dr Konrad Rokicki,
dr Paweł Rokicki, dr Paweł Sasanka,
Michał Siedziako, Emilia Świętochowska,
dr Daniel Wicenty
Redakcja: Andrzej Brzozowski
(redaktor naczelny, tel. 22 581 87 98,
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak,
Jakub Gołębiowski, Andrzej Sujka,
Karolina Wichowska
Sekretariat: Maria Wiśniewska
e-mail: maria.wisniewska@ipn.gov.pl
tel. 22 581 88 19
Korekta: dr Magdalena Baj
Projekt graficzny: Krzysztof Findziński,
Marcin Koc, Sylwia Szafrąńska
Skład i łamanie: Hubert Rabiński
Redakcja techniczna: Marcin Koc

Siedziba redakcji: ul. Postępu 18b,
Warszawa
Adres do korespondencji:
ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa
www.ipn.gov.pl
Druk: „Legra” sp. z o.o.
ul. Albatrosów 10c,
30-716 Kraków
Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych i zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.



■ 26 czerwca, w autentycznej scenerii hali nr 7 zakładów HCP w Poznaniu (ul. Hetmańska 88), odbędzie się **koncert zespołu De Press**, połączony z prezentacją multimedialną. Impreza uświetni 60. rocznicę Poznańskiego Czerwca '56. De Press jest znany m.in. za sprawą albumu *Myśmy rebelianci. Piosenki żołnierzy wyklętych*. Tym razem specjalnie przygotowany repertuar zespołu, filmy dokumentalne i komentarze historyczne złożą się na opowieść o historycznym zrywie robotniczym przeciwko władzy komunistycznej. Organizatorem projektu jest Radio Merkury – Regionalna Rozgłośnia Polskiego Radia w Poznaniu – we współpracy z Instytutem Pamięci Narodowej. Wstęp na koncert jest bezpłatny. Wejściówki można zdobyć na antenie Radia Merkury. Koncert będzie retransmitowany przez TVP. W związku z jubileuszem zostanie wydana epka (cztery utwory, nakład 100 tys. egz.). W planach jest też przygotowanie płyty długogrającej.

■ 28 maja prezydent Andrzej Duda podpisał **nowelizację ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej**. Oznacza to m.in., że zmieni się sposób wyboru prezesa IPN. Będzie go powoływał sejm za zgodą senatu – na wniosek kolegium instytutu, które wyłoni kandydata w publicznym konkursie. Dziewięcioosobowe Kolegium IPN, powoływane przez sejm, senat i prezydenta, zastąpi dotychczasową Radę IPN. Będzie organem opiniodawczo-doradczym prezesa. Zakres czasowy badań IPN rozszerzy się na całą porozbiorową historię Polski (dotychczas: od 1939 roku). Do obowiązków instytutu będzie ponadto należało upowszechnianie „stanowisk i opinii dotyczących [wszystkich] najważniejszych dla Narodu Polskiego wydarzeń historycznych”. W IPN powstaną dwa całkowicie nowe pionierzy – poszukiwań i identyfikacji oraz upamiętniania walk i męczeństwa. Przesłanie istnieć Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Część jej kompetencji przejmie IPN, inne – Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Nowela przewiduje również likwidację zbioru zastrzeżonego IPN. O zmianach w ustawie rozmawiamy z dr. Łukaszem Kamińskim, dotychczasowym prezesem instytutu, na s. 16–20.

■ Po raz piętnasty IPN przyznał **nagrody „Kustosz Pamięci Narodowej”**. Statuetki wręczono 20 maja w Sali Wielkiej Zamku Królewskiego w Warszawie. Nagroda, ustanowiona w 2002 roku z inicjatywy dr. hab. Janusza Kurtyki, późniejszego prezesa IPN, jest przyznawana instytucjom, organizacjom społecznym i osobom fizycznym za szczególnie aktywny wkład w upamiętnienie historii Narodu Polskiego w latach 1939–1989 oraz za działalność publiczną zbieżną z ustawowymi celami Instytutu Pamięci Narodowej. Tegoroczni laureaci to:

Irena Sandecka (pośmiertnie) – przedwojenna nauczycielka, w trakcie okupacji zaangażowana na Kresach w działalność Okręgowej Delegatury Rządu na Kraj i Armii Krajowej. Ratowała Polaków atakowanych przez nacjonalistów ukraińskich. Zbierała także świadectwa osób, które ocalały z ludobójstwa. W 1944 roku była więziona przez Sowietów. Nie skorzystała z możliwości wyjazdu do Polski pojałtańskiej. Pozostała w Krzemieńcu na Wołyniu. W trudnych warunkach organizowała tajne nauczanie języka polskiego, służyła jako organistka i katecheta, opiekowała się polskimi grobami. Zmarła w 2010 roku.

Janusz Brochwicz-Lewiński „Gryf” – generał Wojska Polskiego, uczestnik wojny 1939 roku. Uciekł z sowieckiej niewoli i włączył się w działalność konspiracyjną Związku Walki Zbrojnej, a następnie Armii Krajowej. Walczył w Powstaniu Warszawskim. Ciężko ranny, trafił do obozu jenieckiego, a po wyzwoleniu pozostał na Zachodzie. Wstąpił do armii brytyjskiej, służył m.in. w gwardii przybocznej króla Jerzego VI i był agentem wywiadu. Na emeryturze pracował jako tłumacz w brytyjskich placówkach dyplomatycznych. W 2002 roku powrócił do Polski. Działa w środowisku kombatanckim i spotyka się z młodzieżą.



Fot. Piotr Życielski

dr hab. **Janusz Smaza** – wykładowca akademicki, specjalista w zakresie konserwacji kamienia, adiunkt w warszawskiej ASP. Współpracuje z Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Radą Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, urzędami konserwatorskimi i organizacjami pozarządowymi zaangażowanymi w prace związane z ochroną polskiego dziedzictwa kulturowego w kraju i za granicą. Jest współzałożycielem organizacji ratujących zabytki mniejszości narodowych w Polsce.

Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej – powstał w 1989 roku jako ogólnopolska organizacja harcerska, alternatywna wobec działającego w PRL Związku Harcerstwa Polskiego. Odwołuje się do tradycji przedwojennego harcerstwa i skautingu oraz tajnych Szarych Szeregów i Hufców Polskich z okresu okupacji. Prowadzi wśród młodzieży pracę wychowawczą w duchu patriotyzmu. Angażuje się w obchody rocznic i ochronę miejsc pamięci narodowej, organizuje rajdy historyczne, zbiera relacje świadków historii.

Stowarzyszenie Pokolenie – działa od 1997 roku w Katowicach. Popularyzuje wiedzę o najnowszej historii Polski i pomaga byłym działaczom opozycji antykomunistycznej. We współpracy z IPN realizuje projekt *Encyklopedia Solidarności*. Stowarzyszenie angażowało się także m.in. w upamiętnienie Powstania Styczniowego, Żołnierzy Wyklętych i zbrodni w kopalni „Wujek”.



Fot. Piotr Życielski

■ 27 czerwca w Ogrodzie Zamkowym im. Ofiar Katynia i Sybiru **w Poznaniu**, a dzień później, 28 czerwca, na dziedzińcu Sejmu RP **w Warszawie** zostanie uroczystie otwarta plenerowa **wystawa „1956. Polska–Węgry. Historia i pamięć”**, przygotowana przez węgierski Komitet Pamięci Narodowej, Węgierski Instytut Kultury w Warszawie i IPN. Ekspozycja jest poświęcona dramatycznej wspólnej historii Pola-

ków i Węgrów – narodów złączonych wielowiekową przyjaźnią, których losy szczególnie splotły się ze sobą w 1956 roku. Wydarzenia polskiego Października przyczyniły się wówczas do wybuchu powstania na Węgrzech, a Polacy na wieść o dramacie, który stał się udziałem Węgrów, zdali egzamin z solidarności. Od 29 czerwca wystawa będzie również prezentowana przed budynkiem parlamentu w Budapeszcie. Po-

nadto jeszcze w tym roku będzie ją można zobaczyć w innych polskich miastach, m.in. w lipcu na dziedzińcu Zamku Lubelskiego, później zaś w Zamościu, Olsztynie, Kielcach, na dziedzińcu Zamku Królewskiego w Warszawie (od 19 sierpnia do 27 października) oraz w Białymstoku, Łodzi, Krakowie, Wrocławiu, Szczecinie i Gdańsku. Szczegółowe informacje o miejscach i datach prezentacji będą dostępne na stronie internetowej IPN.

POSTAĆ MIESIĄCA

24 czerwca 1926: August Hlond został prymasem Polski.

W 1900 roku doktoryzował się na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie, a pięć lat później przyjął święcenia kapłańskie. W 1925 roku papież Pius XI mianował go pierwszym biskupem nowej diecezji katowickiej. Po pół roku Hlond objął arcybiskupstwo gnieźnieńsko-poznańskie, a tym samym godność prymasa Polski. W 1936 roku „za wybitne zasługi położone w pracy dla Państwa” został odznaczony przez prezydenta Ignacego Mościckiego Orderem Orła Białego. Nie był związany z żadną ze stron sporu politycznego w Polsce – ani z rządzącą do maja 1926 roku centroprawicą, ani z piłsudczykami. W sprawach zasadniczych – jak plany wprowadzenia małżeństw cywilnych i rozwodów – potrafił sprzeciwić się władzy. Twardo stał też na stanowisku, że niemieccy katolicy w Polsce powinni mieć tyle samo praw, ile polscy katolicy w Niemczech. Żydom w liście pasterskim z 29 lutego 1936 roku zarzucił walkę z Kościołem



Fot. INAC

► Kardynał August Hlond (1881–1948) katolickim, tkwienie w ruchu bolszewickim i propagowanie pornografii. Zarazem prze-

strzegali, że nie wolno na Żydów „napadać, bić ich, kaleczyć, oczerniać”. We wrześniu 1939 roku Hlond opuścił Polskę. Odmówił przyjęcia funkcji premiera RP. Wyjechał do Watykanu, gdzie przygotował dwa obszernie raporty o sytuacji Kościoła pod okupacją niemiecką, a następnie do Francji. 3 lutego 1944 roku został aresztowany przez gestapo. Choć Niemcy kusili go wolnością, odmówił firmowania odezwow propagandowych skierowanych do Polaków. Po wojnie część polityków emigracyjnych namawiała go do pozostania na obczyźnie. W lipcu 1945 roku powrócił jednak do Poznania. Wkrótce przeniósł siedzibę prymasowską do Warszawy. Wezwał wiernych do współpracy przy „odbudowie Rzeczypospolitej”, co można zrozumieć jako apel o podejmowanie legalnej działalności w kraju rządzonej przez komunistów. Stworzył administrację kościelną na terenach poniemieckich, co było istotne dla utrwalenia polskości tych ziem. Zmarł 22 października 1948 roku. Jego miejsce zajął ks. Stefan Wyszyński, dotychczasowy biskup lubelski.



Fot. East News/Rights Managed

8 czerwca 1946: W Londynie, bez udziału polskich wojsk, odbyła się parada zwycięstwa. „Najpierw przybyła rodzina królewska w otwartej dwukonce. Później długi na dziewięć mil pochód wojsk zmechanizowanych, cywilnych pracowników armii i żołnierzy [...] przemaszerował wzdłuż alei The Mall z placu Trafalgarskiego do Pałacu Buckingham” – relacjonował amerykański magazyn „Life”. Wieczorem tego samego dnia odbył się pokaz fajerwerków. W ten sposób Wielka Brytania uczciła zwycięstwo nad Niemcami i Japonią podczas II wojny światowej. W paradzie wzięli udział liczni sojusznicy Anglików: Amerykanie, Francuzi, a nawet oddziały z Bermudów czy Wysp Salomona. Zabrakło ZSRR,

Jugosławii i Polski. Komunistyczne władze w Warszawie nie skorzystały z zaproszenia. Brytyjczycy, nie chcąc drażnić Stalina, nie mieli zaś zamiaru zapraszać tych Polaków, którzy walczyli po stronie aliantów zachodnich. Taka postawa rządu Jego Królewskiej Mości wywołała krytykę miejscowej prasy i części parlamentarzystów. By załagodzić sytuację, w ostatniej chwili zaproszono na paradę grupę polskich pilotów z Dywizjonu 303. Ci jednak odmówili udziału w geście solidarności z resztą sił zbrojnych. Brak Polaków był poważnym zgrzytem, bo ich wkład w zwycięstwo nad Niemcami był znaczący. Same tylko Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie liczyły w maju 1945 roku ok. 200 tys. żołnierzy.

22 czerwca 1941: Niemcy i ich sprzymierzeńcy zaatakowali ZSRR.

Sojusz nazistowskiej III Rzeszy Adolfa Hitlera i komunistycznej dyktatury Józefa Stalina doprowadził po 1 września 1939 roku do czwartego rozbioru Polski, a także wchłonięcia przez Związek Radziecki republik bałtyckich, części Finlandii i Rumunii. Sprzeczne ambicje terytorialne szybko jednak doprowadziły do wojny dwóch totalitarnych reżimów. W ciągu niespełna miesiąca Niemcy zajęli ziemie II RP okupowane dotąd przez Związek Radziecki. Tereny południowo-wschodnie Rzeczypospolitej włączono do Generalnego Gubernatorstwa, okręg białostocki – bezpośrednio do Rzeszy, a pozostałe obszary do nowo utworzonych komisariatów Rzeszy Wschód i Ukraina. Cofający się Sowici wymordowali ponad 20 tys. osób więzionych na Kresach – głównie Polaków, ale też Ukraińców i Żydów. „Wybuch wojny radziecko-niemieckiej nie zmienił polskich celów: odbudowy, poszerzonego na zachodzie i północy, niepodległego państwa i zbudowania ścisłej koalicji państw Europy Środkowej. Zmienił jednak, i to w zasadniczy sposób, warunki i możliwości osiągnięcia tych celów” – zauważa w książce *Pół wieku dziejów Polski* prof. Andrzej Paczkowski. Wielka Brytania natychmiast zaproponowała Stalinowi sojusz antyhitlerowski i daleko idącą pomoc. Oslabiło to pozycję rządu RP na uchodźstwie, co boleśnie ujawniło się w kolejnych tygodniach i latach. W relacjach ze Związkiem Radzieckim – choćby w negocjacjach w sprawie powojennych granic – Polska nie mogła liczyć na wsparcie Londynu. Dla Brytyjczyków to Sowici, biorący na siebie główny ciężar wojny z Hitlerem, byli bowiem cenniejszym sojusznikiem.



Fot. AIPN

Fot. AIPN



25 czerwca 1976: W Radomiu, Ursusie, Płocku i innych miastach wybuchły protesty przeciwko podwyżkom. Pogarszająca się sytuacja gospodarcza skłoniła władze PRL do przeprowadzenia drastycznej „operacji cenowej”. W czwartek 24 czerwca 1976 roku premier Piotr Jaroszewicz przedstawił w sejmie założenia „zmiany systemu cen”. Cukier miał podrożeć o 100 proc., mięso – średnio o 69 proc. Przewidziano wprawdzie rekompensatę, ale najwyższe mieli otrzymać najlepiej zarabiający. Podwyżkę zamierzano wprowadzić już od najbliższego poniedziałku, więc zapowiadane przez szefa rządu „konsultacje społeczne” były fikcją. Dodatkowo rozeszła się wieść, że nowe cenniki zostały już wydrukowane. W rezultacie następnego dnia w kilkudziesięciu zakładach pracy w różnych częściach Polski wybuchły strajki. W Radomiu robotnicy podpalili gmach Komitetu Wojewódzkiego PZPR i doszło do walk ulicznych z siłami milicyjnymi. W Ursusie protestujący zablokowali tory kolejowe. Władze, przestraszone skalą buntu, błyskawicznie odwołały podwyżkę. Zarazem jednak brutalnie potraktowano uczestników protestu. Rozpętano kampanię propagandową przeciwko „warchołom” z Radomia i Ursusa. Wielu zatrzymanych – demonstrantów, ale też przypadkowych przechodniów – pobito. Części osób wytoczono procesy, w których zapadały wyroki sięgające 10 lat więzienia. Kilka tysięcy ludzi zwolniono z pracy z wilczym biletem. Represje doprowadziły 23 września 1976 roku do powołania Komitetu Obrony Robotników, stawiającego sobie za zadanie niesienie prześladowanym pomocy prawnej, finansowej i medycznej, a także zbieranie i publikowanie informacji o przypadkach łamania prawa.

30 czerwca 1946: Odkonstytuowano II Sejm, który miał przeprowadzić referendum ludowe. Rok po zakończeniu II wojny światowej rządzący w Polsce komuniści nie czuli się jeszcze na tyle silni, by rozpisnąć wybory parlamentarne. W kraju działało niepodległościowe podziemie zbrojne, a dużymi wpływami w społeczeństwie cieszyło się Polskie Stronnictwo Ludowe. Szansę na odłożenie terminu wyborów dało ogłoszenie tzw. referendum ludowego. Społeczeństwu zadano trzy pytania, które nie budziły szczególnych kontrowersji: o zniesienie senatu, o utrwalenie w konstytucji reform społecznych (reformy rolnej i nacjonalizacji gospodarki – z utrzymaniem drobnej własności prywatnej) oraz o granicę zachodnią na

Odrze i Nysie. Komuniści z Polskiej Partii Robotniczej i ich sojusznicy zachęcali do głosowania „trzy razy tak”. PSL, by odróżnić się od PPR, opowiedziało się przeciwko zniesieniu senatu. O uczciwej kampanii przedreferendalnej nie mogło być mowy. Masowo usuwano peeselowców z komisji wyborczych, utrudniano im prowadzenie agitacji, a wielu aresztowano. Według oficjalnych wyników, podanych po niemal dwóch tygodniach od referendum, na pierwsze pytanie pozytywnie odpowiedziało dwie trzecie głosujących,

27 czerwca 1946:

Stanisław Sojczyński „Warszyc”, przywódca Konspiracyjnego Wojska Polskiego, został aresztowany przez UB. W latach trzydziestych pracował jako nauczyciel języka polskiego. Odbił też służbę wojskową i uzyskał stopień podporucznika. Wziął udział w wojnie obronnej 1939 roku. Wkrótce został zaprzysiężony w konspiracyjnej Służbie Zwycięstwu Polski. Z czasem został zastępcą komendanta Obwodu Radomsko Armii Krajowej i szefem tamtejszego Kierownictwa Dywersji. Zasłynął m.in. likwidacją szefa gestapo w Radomsku i odbiciem więźniów z tamtejszego aresztu. Powojenna komunistyczna Polska była, zdaniem Sojczyńskiego, „usankcjonowaniem wszelkiej podłości, zła i zdrady” – jak pisał w rozkazie z 3 stycznia 1946 roku. Po rozwiązaniu AK zdecydował się pozostać w podziemiu. Stworzył niepodległościową organizację Konspiracyjne Wojsko Polskie, działającą najaktywniej w okolicach Radomska, Piotrkowa Trybunalskiego, Częstochowy i Wielunia i liczącą w połowie 1946 roku ok. 2,6 tys. osób. KWP prowadziło walkę z aparatem bezpieczeństwa i działalność propagandową. Staralo się też chronić miejscową ludność przed rabunkami i gwałtami ze strony czerwonoarmistów. Niewątpliwym sukcesem oddziałów „Warszycy” było uwolnienie z więzienia w Radomsku – w nocy z 19 na 20 kwietnia 1946 roku – kilkudziesięciu osób zatrzymanych za pomoc partyzantom. Po tej akcji władze komunistyczne nasiliły walkę z podziemiem. Sojczyński został aresztowany w Częstochowie, przewieziony do Łodzi i poddany brutalnemu śledztwu. Wojskowy Sąd Rejonowy skazał go na karę śmierci. Wyrok wykonano 19 lutego 1947 roku (niemal pół wieku później został unieważniony). Do dziś nie udało się ustalić, gdzie pochowano „Warszycę” i pięciu straconych wraz z nim podkomendnych. W 2009 roku, na mocy postanowienia prezydenta Lecha Kaczyńskiego, Stanisław Sojczyński został pośmiertnie awansowany do stopnia generała brygady.



Fot. AIPN

► Stanisław Sojczyński „Warszyc” (1910–1947)



Fot. AIPN

na drugie – trzy czwarte, na trzecie zaś – jeszcze więcej. W rzeczywistości jednak „trzy razy tak” zagłosował zaledwie co czwarty wyborca. „Sfałszowanie referendum było kolejnym dowodem na to, że PPR w pełni panuje nad aparatem państwowym i jest gotowa na jego wykorzystanie, by uniemożliwić ujawnienie się prawdziwych preferencji społeczeństwa” – pisze

w książce *Polska. Losy państwa i narodu 1939–1989* prof. Andrzej Friszke.

DZIENNIK POZNAŃSKI

PISMO POLITYCZNE

POWIĘKOCIONE OBRODNE INTERESÓW ROLNICTWA, HANDELU, PRZEMYSŁU I RZEMIOSŁA

Nazwy redaktor: Dr. Adam Brzuch

2 czerwca 1926 roku

Zamach majowy marsz. Józefa Piłsudskiego pociągnął za sobą blisko czterysta ofiar śmiertelnych, doprowadził też 15 maja 1926 roku do dymisji rządu RP i prezydenta Stanisława Wojciechowskiego. 31 maja Zgromadzenie Narodowe wybrało na najwyższy urząd w państwie Piłsudskiego, ten jednak odmówił objęcia stanowiska. W tej sytuacji sejm i senat zebrały się powtórnie 1 czerwca i prezydentem został – zresztą z rekomendacji Marszałka – Ignacy Mościcki, w przeszłości związany z niepodległościowym ruchem socjalistycznym.

Sylwetkę Mościckiego i komentarz na temat jego wyboru zamieścił następnego dnia konserwatywny „Dziennik Poznański”, założony w 1859 roku przez przemysłowca Hipolita Cegielskiego. Gazeta informowała, że niespełna sześćdziesięcioletni prof. Mościcki nie brał dotychczas udziału w życiu politycznym, był natomiast „znakomitym uczonym i badaczem w dziedzinie chemji”. Dalej czytamy, że „na podstawie swych wynalazków zbudował we Fryburgu fabrykę azotu”, w 1912 roku wrócił ze Szwajcarii do Lwowa, „gdzie na politechnice lwowskiej objął katedrę elektro-chemji”, a później założył Chemiczny Instytut Badawczy.

Dziennik, raczej nieprzychylny nowym, piłsudczykowskiemu władzom, pisał zarazem: „Wybór [...] odbył się prawomocnie i legalnie i dlatego stoimy na stanowisku, że w tej ciężkiej chwili, gdy corychlej trzeba goić rany zadane krajowi przez ostatnie wypadki, musimy przyjąć ten wybór do wiadomości. [...] W zatrutej buntem i rozłamem w społeczeństwie atmosferze naszego życia politycznego dążyć dziś trzeba bezwzględnie do wewnętrznej pacyfikacji [...]. Trzeba corychlej zasypać ślady okopów i barykad, które pogłębiły przepaść między dwoma odłamami społeczeństwa [...]. Bierze nowy elekt na swe barki niezwykłą odpowiedzialność wobec narodu i własnego sumienia. Nad państwem wiszą ciężkie, ponure chmury przesileń wewnętrznych i gospodarczych. Osłabiony jest poważnie prestige kraju na zewnątrz, rozłam w armji podzielił siłę obronną państwa na dwa obozy, osłabiając to ramię obrony narodowej [...]. Leczyć trzeba państwo nasze od podstaw i naprawa musi być rychła i pełna energii, bo nie stać nas na długie szukanie dróg naprawy. A lekarzem musi być człowiek, który [...] zdobędzie się na obiektywizm i zrozumie, że siedmioletni konflikt między prawicowym a lewicowym obozem w Polsce jest tą raną, która zużywa sporo sił twórczych w narodzie na marne, hamuje normalny tok i rozwój pracy państwowej, a obecnie doprowadzony do zenitu rozpalonych namiętności, zaznaczył się już wpływem krwi bratniej, zmarnowanej na bezpłodny wysiłek, kończący się dziś na szczęście w elekcji nowej głowy państwa”.

DZIENNIK POLSKI

KRAKÓW
Piątek 29 VI 1956

Cena 20 gr.

Wzienne arrasy wawelskie wrócą do kraju?

Komunikat o wypadkach w Poznaniu

29 czerwca 1956 roku

„Poważne zaburzenia” – w taki sposób krwawe zamieszki, wywołane buntem poznańskich robotników, określono w komunikacie Polskiej Agencji Prasowej, zamieszczonym w „Dzienniku Polskim” z 29 czerwca 1956 roku, czyli następnego dnia po tragicznych wydarzeniach. Powód „zaburzeń”? „Od pewnego czasu agentura imperialistyczna i reakcyjne podziemie starały się wykorzystać trudności ekonomiczne i bolączki w niektórych zakładach Poznania dla sprowokowania wystąpień przeciwko władzy ludowej” – czytamy. Bo przecież sami robotnicy w państwie socjalistycznym nie mogli się zbuntować przeciwko złym warunkom. Tym bardziej nie do pomyślenia było, żeby ludzie protestowali przeciwko sowietyzacji, więc o tym w ogóle nie wspomniano. Dopiero w trzecim akapicie, po zastrzeżeniu, że Poznań przez owego wroga i agenta został wybrany nieprzypadkowo (bo akurat trwały Międzynarodowe Targi Poznańskie, a więc zła sława Polski Ludowej łatwiej się przedostała na Zachód), czytelnik się dowiaduje, na czym (w przybliżeniu) polegały owe „zaburzenia”: „doszło do napadów na niektóre gmachy publiczne, co pociągnęło za sobą ofiary w ludziach”. Istotnie, zginęło 58 osób, ale oczywiście nie dowiemy się z notatki, że ów rzekomy napad na niektóre gmachy to obrona przed ostrzałem z budynku Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Możemy się natomiast dowiedzieć (tak, z notatki agencyjnej!), jak na zaistniałą sytuację zareagować: „W obliczu wypadków w Poznaniu konieczna jest szczególna czujność wszystkich ludzi pracy, wszystkich patriotycznych sił narodu wobec wszelkich prób antypaństwowych wystąpień inspirowanych przez wrogów Polski Ludowej”. Rozwinięcie tych wskazówek, jakże zresztą twórcze, można znaleźć w odredakcyjnym komentarzu: „Naszym obowiązkiem jest przede wszystkim czujność. [...] Każde podżeganie do porzucenia pracy czy nieposłuszeństwa prawom i władzom Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej to wroga akcja, to dywersja, to prowokacja, którą trzeba unicestwić w zarodku. [...] Spokojni lecz zdecydowani skupiamy się wokół partii i rządu z głęboką świadomością, że potrafimy dać odpór wrogowi i uchronić od szkody bezcenny dorobek władzy ludowej w Polsce”.

Komunikat o wypadkach w Poznaniu

WARSZAWA (PAP). W dniu 29 czerwca br. doszło do poważnych zaburzeń na terenie miasta Poznania.

Sprawy rozruchów, które miały charakter szeroko zakrojonej i starannie przygotowanej akcji prowokacyjno-dywersyjnej, zostaną ukarane z całą surowością prawa.

Od pewnego czasu agentura imperialistyczna i reakcyjne podziemie starały się wykorzystać trudności ekonomiczne i bolączki w niektórych zakładach Poznania dla sprowokowania wystąpień przeciwko władzy ludowej. Wrog nie przypadkowo obrał sobie jako teren prowokacji miasto Poznań.

W obliczu wypadków w Poznaniu konieczna jest szczególna czujność wszystkich ludzi pracy, wszystkich patriotycznych sił narodu wobec wszelkich prób antypaństwowych wystąpień, inspirowanych przez wrogów Polski Ludowej.

Przed rozpoczęciem głosowania

Odczyt prof. Mościcki przy 58.

Przed rozpoczęciem głosowania

28 czerwca 1976 roku

„Masowe wiece w zakładach pracy i miastach dla poparcia polityki partii i rządu”, „Listy i depesze do Edwarda Gierka”, „Nierozzerwalna więź” – to tytuły trzech tekstów z pierwszej strony „Dziennika Bałtyckiego” z 28 czerwca 1976 roku. Wszystkie były echem protestów robotniczych m.in. w Radomiu, Ursusie i Płocku, a raczej zapewnieniem, że wystąpienia były jedynie chuligańskimi wybrykami, społeczeństwo zaś murem stoi za rządzącymi towarzyszami. O przebiegu zamieszek czytelnik nie miał szans przeczytać, podobnie jak o przyczynie protestu, którą było ogłoszenie drastycznej – o kilkadziesiąt procent – podwyżki cen żywności. Wyrażenie „podwyżka cen” w zasadzie nie funkcjonowało w słowniku socjalistycznej propagandy. Prasa pisała o „zmianach struktury cen”, których potrzeba świadoma część społeczeństwa, w przeciwieństwie do ludzi „nieodpowiedzialnych”, doskonale rozumiała: „W atmosferę wielkiej, poważnej debaty Polaków, debaty – nieodzownej i koniecznej, jak konieczną jest zmiana przestarzałej, nieodpowiadającej realiom gospodarczym i społecznym – struktury cen, wdarł się obcy i przykry zgrzyt”. Tym „obcym i przykrym zgrzytem” były wspomniane strajki w kilkudziesięciu zakładach w całym kraju. W odpowiedzi na nie partia zwołała wiece z wyrazami poparcia dla rządzących: „Sobotnio-niedzielne manifestacje, których miejscem były hale fabryczne, ulice i place naszych miast, stały się najlepszym odbiciem tego, co naprawdę czuje i myśli pracująca Polska. Słuchaliśmy tych głosów. Była w nich duma z osiągnięć, satysfakcja z rezultatów uzyskanych pod kierunkiem partii, z efektów, jakie przyniosła każdej polskiej rodzinie konsekwentnie realizowana polityka socjalna, wiara w przyszłość i głębokie zrozumienie realiów ekonomicznych dnia dzisiejszego. Było też uznanie dla wprowadzonej przez partię głęboko demokratycznej zasady konsultacji w sprawach dotyczących interesów narodu i socjalistycznego państwa”.

Wbrew propagandowym stwierdzeniom w prasie, komuniści spodziewali się protestów przeciwko drastycznym podwyżkom, dlatego zawczasu powołali przeznaczony do pacyfikacji buntu sztab ćwiczeń „Lato ’76” z wiceszefem MSW Bogusławem Stachurą na czele. Symbolem Czerwca ’76 stały się słynne „ścieżki zdrowia”, czyli zmuszanie zatrzymanych ludzi do przechodzenia między szpalerami pałujących milicjantów. Uczestników buntu skazywano w przyspieszonym trybie postępowania. Organizowanie prawnej i materialnej pomocy skazanym dało początek Komitetowi Obrony Robotników, który formalnie został powołany we wrześniu 1976 roku z inicjatywy Jana Józefa Lipskiego, Jacka Kuronia, Piotra Naimskiego i Antoniego Macierewicza. ❀

7 czerwca 1981 roku

Jeszcze przed stanem wojennym Milicja Obywatelska i Służba Bezpieczeństwa były nienawidzone przez dużą część społeczeństwa. W sierpniu 1980 roku wśród postulatów Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Gdańsku znalazło się zniesienie „przywilejów MO, SB i aparatu partyjnego”. Stróżom prawa powszechnie wytykano też brutalność – w Marcu ’68, Grudniu ’70 czy Czerwcu ’76, ale i na co dzień. 19 marca 1981 roku w trakcie interwencji milicji pobito w Bydgoszczy trzech działaczy Solidarności. W tej atmosferze głośnym echem odbił się nawet niepozorny incydent w Otwocku. 7 maja tamtejsi funkcjonariusze zatrzymali i pobili dwóch pijanych mężczyzn, którzy obrzucili kamieniami posterunek MO. Działacze mazowieckiej Solidarności z jednej strony starali się studzić nastroje, z drugiej – wydali oświadczenie potępiające nadużycia MO i „bezkarność milicji”. Domagali się także wskazania i ukarania „wszystkich winnych stosowania przemocy i wszystkich odpowiedzialnych za ten stan rzeczy”.

Zupełnie inne zdanie miał w tej sprawie tygodnik Milicji Obywatelskiej „W Służbie Narodu”. „Od dłuższego czasu w toku rozgorzałej walki politycznej funkcjonariusze resortu spraw wewnętrznych stali się głównym obiektem ataków ze strony wrogów ustroju, zwolenników anarchii oraz pospolitych mętów. Świadoma kampania propagandowa ma na celu dyskredytowanie w oczach społeczeństwa funkcjonariuszy MO i SB. Jej głównym elementem jest tendencyjna, przeważnie fałszywa ocena roli Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa w konfliktach społecznych, które miały miejsce w naszym kraju” – czytamy w artykule *Służba i obrona* z 7 czerwca 1981 roku. „Znaczna część plotek, zawartych w różnych biuletynach i ulotkach, dotyczy nadal rzekomych przywilejów socjalno-płacowych funkcjonariuszy MSW. Pracowników resortu pomawia się dalej o łamanie praworządności, organizowanie prowokacji, maltretowanie itd. Chodzi bowiem o wytworzenie wśród obywateli psychozy, że ich podstawowe prawa są zagrożone” – przekonywał red. Edward Nowak. Autor twierdził, że to milicjantom i esbekom należy się „precyzyjna obrona prawna”, tak „by funkcjonariusz wykonujący trudne, wyczerpujące psychicznie i fizycznie zadania [...] czuł mocny grunt pod nogami i społeczną akceptację swych przedsięwzięć, zmierzających do zapewnienia ludziom spokoju, bezpieczeństwa oraz warunków normalnego życia i pracy”. ❀

Listy i depesze do Edwarda Gierka

Masowe wiece w zakładach pracy i w miastach dla poparcia polityki partii i rządu

Przebieg wyborów w Portugalii

SŁUŻBA I OBRONA

oprac. FG, AS, KW

Sport, partia i dolary

Krzysztof Gottesman

Citius – altius – fortius, czyli szybciej – wyżej – silniej.

Sport w czystym, jak go sobie wyobrażał Pierre de Coubertin, olimpijskim wydaniu.

Taki, jakiego już od dawna nie ma, a może i nigdy nie było. A na pewno nie było go w PRL, bo polityka nie pozwalała, a i przelicznik dolarowy był tak kuszący.

Francuskie Euro. Znowu nas ogarnęła piłkarska gorączka. Oglądamy mecze, podziwiamy piłkarzy, liczymy na naszych. Widzimy w nich naszą reprezentację. Państwową, narodową, wspólnotową. Flagi w oknach, na samochodach. Nadzieje i emocje.

Te były zawsze. Piłka nożna, w ogóle wielki sport, towarzyszy mi od najmłodszych lat. Jako widowisko, również erzac innych emocji, kiedyś niedostępnych. Gdy nasi grali z Niemcami lub Związkiem Radzieckim, było najciekawiej i najgoręcej. Zwycięstwo na boisku, lepsze miejsce na mecie rekompensowały historyczne oraz współczesne klęski i upokorzenia. Były kiedyś takie hokejowe mistrzostwa, bodaj w 1976 roku w Katowicach, w których spadliśmy do niższej klasy, przegraliśmy prawie wszystkie mecze – ale wygraliśmy ten teoretycznie niemożliwy do wygrania. Ze Związkiem Radzieckim. I cała Polska była zadowolona, ba – zachwycona. I to nie na zasadzie „Polacy, nic się nie stało”. Przeciwnie, stało się coś bardzo wielkiego. I tak to w sporcie w PRL było zawsze.

Sport w PRL miał wymiar wyjątkowy nie tylko dla nas, kibiców. Polityczny uścisk odczuwali także sportowcy. Jeździli po świecie, widzieli, jak żyją ludzie za żelazną kurtyną, jak żyją ci, z którymi toczą sportową walkę. I porównywali, przeliczali.

Wstyd przyznać, ale nie mieliśmy wśród sportowców wielkich dysydentów. Takich, jak Věra Čáslavská czy Emil Zátopek z Czechosłowacji, którzy poparli Praską Wiosnę, potępili agresję wojsk Układu Warszawskiego na swój kraj i słono za to zapłacili. U nas tego nie było. Wybitni sportowcy raczej się dostosowywali do systemu, zgadzali się uczestniczyć w partyjnych i państwowych komitetach ku czci i ku chwale. Mieli za to spokój, choć na wszelki wypadek esbecja nie spuszczała ich z oczu.

Spokój był im potrzebny nie tylko do trenowania. To mieli jakoś tam zagwarantowane. Potrzebowali go, by choć w części wyrównać te różnice w poziomie życia, które tak ich raziły, gdy wyjeżdżali na Zachód. Byli młodzi, chcieli mieć to, co inni. Ubrania, samochody, pieniądze. Chociaż tak zwany sport amatorski był w demoludach fikcją, sportowcy dostawali wcale nie małe, z czasem coraz większe, pieniądze, ale gdzie tam im było do tego, co mieli ich koledzy na Zachodzie. Więc handlowali i przemycali. Wszystko, co się dało: złoto, kryształ, bele materiałów, ubrania, dolary, dzieła sztuki, nawet własny sprzęt sportowy. Kupowali, sprzedawali, opłacali celników i działaczy sportowych. I jakoś byli zadowoleni. Siedzieli cicho. Gdy przesadzili lub komuś podpadli, to wpadali – byli pryncypialnie potępiani i karani za zachowanie niegodne sportowca



Polски Ludowej. Wszechobecne fałsz i hipokryzja także i w sporcie dawały się we znaki.

Znana była historia dwóch piłkarzy warszawskiej Legii, bramkarza Władysława Grotyńskiego i prawoskrzydłowego Janusza Żmijewskiego, w 1970 roku przed półfinałowym meczem o Pu-



Rys. A. Szafrański

char Europy (!) z holenderskim Feyenoordem zostali przyłapani na przemyście i nawet poszli na krótko siedzieć.

Napisałem, że nie mieliśmy swoich sportowców dysydentów. To prawda. Ale nie wszyscy godzili się na pokrętnie zdobywany dobrobyt. Wielu naprawdę doskwierały brak wolności i duszna at-

mosfera. Ci – jak to się wówczas mówiło, gdy ktoś podczas oficjalnej podróży zostawał na Zachodzie – wybierali wolność. Najwięksi polscy sportowcy raczej się na to nie decydowali. Obawa przed nieznanym, nieuchronna rozłąka z rodziną, niepewność kariery skutecznie powstrzymywały przed podjęciem

ostatecznej decyzji. Dopiero w latach osiemdziesiątych, w drugiej ich połowie, takie wyjazdy stały się częstsze. Wtedy zdecydowali się wyjechać do RFN słynny z gestu na moskiewskich Łuźnikach Władysław Kozakiewicz, późniejszy mistrz świata, bokser Dariusz Michalczewski i kilku niezłych piłkarzy. Wcześniej zostawali na Zachodzie najczęściej młodzi sportowcy, pełni nadziei na przyszłość.

Młodszym czytelnikom należy się wyjaśnienie. Sportowcy, podobnie jak inni, choćby artyści, naukowcy, nie mogli ot tak sobie wyjeżdżać na Zachód, bo chcieli i ktoś ich chciał. To było zawsze kwestią jakiejś gry. Przyjmowało się, że najwybitniejsi sportowcy, gdy najlepsze lata kariery mają już za sobą, w nagrodę mogą wyjechać. Najczęściej dotyczyło to piłkarzy, czasem siatkarzy, koszykarzy. Najpierw jeździli gdzieś do polonijnych klubów w Ameryce, Kanadzie, Francji. Nawet te niewielkie zarobione tam pieniądze były bardzo atrakcyjne. Z czasem zasilali lepsze kluby, zarabiali więcej, choć dla tych najlepszych nie byli już interesujący.

A wcześniej mogli być. Do dziś krążą legendy, jakie to kluby chciały mieć u siebie młodych Lubańskiego czy Deynę. Real był tylko jednym z nich, a pieniądze na owe czasy rzeczywiście ogromne. Partia jednak zdecydowała inaczej. Był kiedyś taki piłkarz Janusz Kowalik. W 1961 roku wraz kolegami zdobył wicemistrzostwo Europy juniorów, świetnie sobie radził w reprezentacji dorosłej. W 1967 roku wyjechał prywatnie do Stanów i został. Trafił do Holandii, gdzie grał naprawdę dobrze, i to w czołowych klubach. Jaka karierę mogli więc zrobić piłkarze jeszcze lepsi od niego? A takich było co najmniej kilku. A jaką karierę – także finansową – zrobiłby Lewandowski, gdyby do dziś strzelał bramki dla Znicza lub najwyżej Lecha i tylko mógł marzyć o wyjeździe na Zachód? ■

Krzysztof Gottesman – dziennikarz i publicysta, pracownik Samodzielnego Wydziału Komunikacji Społecznej IPN

Tragiczna pamiątka

Ewa Wójcicka



Przy ul. Mszczonowskiej 3/5 w Warszawie, z dala od centrum, do dziś stoi szubienica – świadek ponurej zbrodni z października 1942 roku.

Nim przybliżymy jej historię, musimy się cofnąć w czasie. W sierpniu 1942 roku komendant główny Armii Krajowej, gen. Stefan Rowecki „Grot”, uzyskał zgodę Naczelnego Wodza, gen. Władysława Sikorskiego, na rozwinięcie działań dy-

wersyjnych na terenie okupowanej Polski. Na rozkaz Roweckiego dowódca Okręgu Warszawa AK, płk Antoni Chruściel „Monter”, rozpoczął przygotowania do akcji o kryptonimie „Wieniec I”. Na jej dowódcę wyznaczono kpt. inż. Zbigniewa Lewandowskiego „Zbyszka” (używał



► Widok współczesny szubienicy na ul. Mszczonowskiej

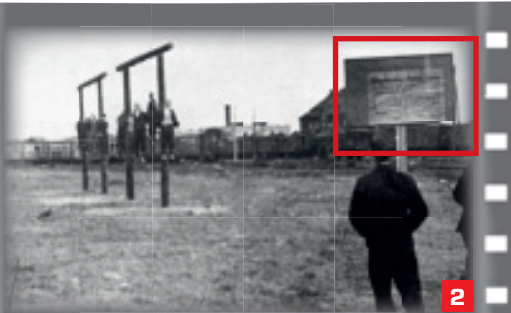


Fot. AIPN

też pseudonimu „Szyna”). Jej głównym celem było wysadzenie torów kolejowych w kilku punktach na przedpolach Warszawy, co miało skutecznie zdeorganizować i zablokować ruch kolejowy i tym samym uniemożliwić dostawy na front wschodni dla wojsk niemieckich. Akcja, przeprowadzona w nocy z 7 na 8 października 1942 roku, zakończyła się sukcesem. Osiem biorących w niej udział patroli podzielono na dwie części.

Cztery z nich, działające na prawym brzegu Wisły, dowodzone przez por. Józefa Pszennego „Chwackiego”, wysadziły tory na liniach prowadzących z Warszawy do Małkini, Dęblina, Siedlec i Działdowa. Udało się również wykoleić trzy pociągi, uszkadzając przy tym trzy parowozy i kilka wagonów. Patrolami na lewym brzegu Wisły (w tym jednym kobiecym) dowodził kpt. Lewandowski „Zbyszek”. Wysadziły one tory m.in. między Warsza-

wą Zachodnią a Włochami, gdzie ładunki o 2.10 w nocy zdetonowała grupa 7. dowodzona bezpośrednio przez kpt. „Zbyszka”. Patrole biorące udział w akcji nie poniosły żadnych strat. W wyniku akcji „Wieniec I” warszawski węzeł kolejowy był zablokowany przez cały poranek 8 października – mniej więcej do 11.30. Była to pierwsza tak duża akcja AK przeciwko niemieckiemu transportowi kolejowemu na terenie okupowanej Polski. ➤



Fot. AIPN

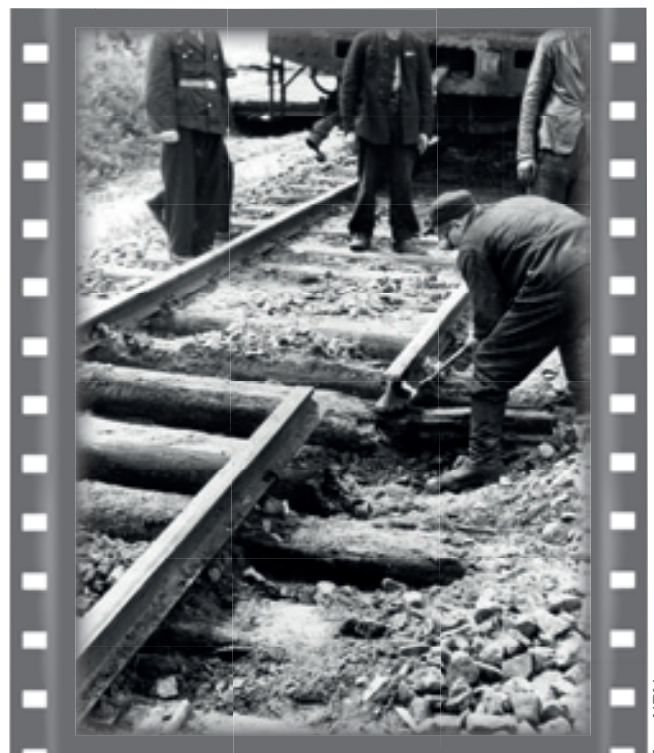
O brawurowo przeprowadzonych działaniach, a także ich konsekwencjach, napisał w swoim raporcie z 10 grudnia 1942 roku Ludwig Fischer, gubernator dystryktu warszawskiego. W części dotyczącej sytuacji politycznej podkreślił, że polskie podziemie w ostatnich miesiącach szczególnie dało o sobie znać, choć latem jego aktywność zmalała. Słowa te dowodzą, że akcja „Wieniec I” całkowicie zaskoczyła Niemców. Na reakcję ze strony okupanta nie trzeba było długo czekać.

► Nie zachowały się fotografie z akcji „Wieniec I”; na zdjęciu naprawa torów po podobnej akcji Kedywu AK pod Czarnocinem w czerwcu 1943 roku

Chociaż podziemie nie przyznało się do zorganizowania akcji oraz podjęło działania maskujące, mające skierować podejrzenia na sowieckie grupy dywersyjne przetrzymane drogą powietrzną, Niemcy wykorzystali akcję „Wieniec I” do zaostrenia terroru. W nocy z 15 na 16 października rozstrzelano na wydmach Łuże na skraju Puszczy Kampinoskiej 39 więźniów przywiezionych z Pawiaka. Był to dopiero początek krwawego odwetu. O świcie 16 października na przedpolach stolicy stanęły szubienice. Do ich wzniesienia użyto słupów telegraficznych produkowanych w fabryce w Ostrowi Mazowieckiej. Miejsca, w których je ustawiono, wybrano nieprzypadkowo. Szubienice stanęły obok przejazdu kolejowego przy ul. Mszczonowskiej na dzisiejszej dalekiej Woli, nieopodal wagonowni na Szczęśliwcach (fot. 2), na rogu ul. Toruńskiej i Wysockiego na Pelcowiznie (fot. 3), obok dworca kolejowego w Rembertowie (fot. 4) oraz niedaleko torów kolejki dojazdowej w Markach (fot. 5). Niezwłocznie na każdej z nich powieszono po dziesięciu więźniów przywiezionych z pawilonu V Pawiaka. Jeszcze tego samego dnia ukazało się obwieszczenie (fot. 2, 4) podpisane przez Ludwiga Hahna (fot. 6), komendanta Policji Bezpieczeństwa



Fot. AIPN



Fot. AIPN

i Służby Bezpieczeństwa na dystrykt warszawski, informujące o egzekucji pięćdziesięciu komunistów jako odwecie za wysadzenie torów kolejowych w okolicach Warszawy. Obwieszczenie opublikowano również ku przestrodze. Wśród ofiar byli głównie działacze Polskiej Partii Robotniczej i Gwardii Ludowej aresztowani od 28 do 30 września 1942 roku, m.in. Sylwester Bartosik, Józef Górka, Kazimierz Grodecki, Franciszek Iłski, Juliusz Kania i Witold Trylski, ale również przedstawiciele innych środowisk, w tym Armii Krajowej oraz Delegatury Rządu na Kraj. Jak na ironię, żaden z powieszonych nie miał związku z akcją „Wieniec I”, a gestapo nie zdołało wykryć jej pomysłodawców i wykonawców.

Ranikiem 16 października w pobliżu miejsc zbrodni pojawili się mieszkańcy stolicy, patrząc z przerażeniem na tragiczne dzieło okupanta. Była to pierwsza publiczna egzekucja w Warszawie. Próba zastraszenia społeczeństwa polskiego się nie powiodła. W odwecie za powieszenie więźniów Pawiaka GL przeprowadziła zamachy bombowe na kawiarnię „Café Club” oraz restaurację na

Dworcu Głównym. Z kolei AK ponownie uderzyła w linie kolejowe zaopatrujące front wschodni, jednak tym razem poza Warszawą (w ramach akcji „Odwet Kolejowy” wysadzono tory pod Łukowem, Dęblinem i Białą Podlaską).

Szubienica przy ul. Mszczonowskiej nie została zdemontowana po 1945 roku i jest jedyną pochodzącą z okresu okupacji, która przetrwała na terenie Warszawy. Obok niej znajdowała się druga, identyczna, jednak w niewyjaśnionych okolicznościach zniknęła w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Po wojnie ustawiono tutaj również drewniany krzyż. Ze względu na dużą odległość od centrum rzadko kto odwiedza to miejsce. Okolica ma charakter typowo przemysłowy, w ogóle nie czuje się w niej wielkomiejskiego klimatu, chociaż to jeszcze Warszawa. Będąc tu, ma się wrażenie, jakby się było na dalekich przedmieściach stolicy, chociaż zaledwie kilkaset metrów dalej powstaje nowe osiedle.

W Warszawie jest wiele miejsc pamięci, w których tablice autorstwa rzeźbiarza Karola Tchorka informują o dramacie Polaków w okresie okupacji. Szubienica przy ul. Mszczonowskiej, ponury



Fot. Ewa Wójcicka

► Widok współczesny szubienicy na ul. Mszczonowskiej

znak tych czasów, chyba najwymowniej uzmysławia tragizm tamtych dni – los tych, którzy walcząc o wolność, oddali swoje życie, a także tych, którzy niewinnie ponieśli śmierć z rąk niemieckich okupantów. 🌹

Ewa Wójcicka – archiwistka, pracowniczka Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN

O szubienicy przy ul. Mszczonowskiej pisaliśmy również w „Pamięci.pl” nr 4/2015.



Fot. AIPN

► Materiał wybuchowy i druty do wysadzenia torów z akcji pod Czarnocinem

Obywatele PRL bywali rozpracowywani nie tylko przez Służbę Bezpieczeństwa, lecz także przez Wojskową Służbę Wewnętrzną. Ta druga – wbrew powszechnym nadal opiniom – nie ograniczała się bynajmniej do chronienia tajemnic wojskowych Polski Ludowej i jej sojuszników.

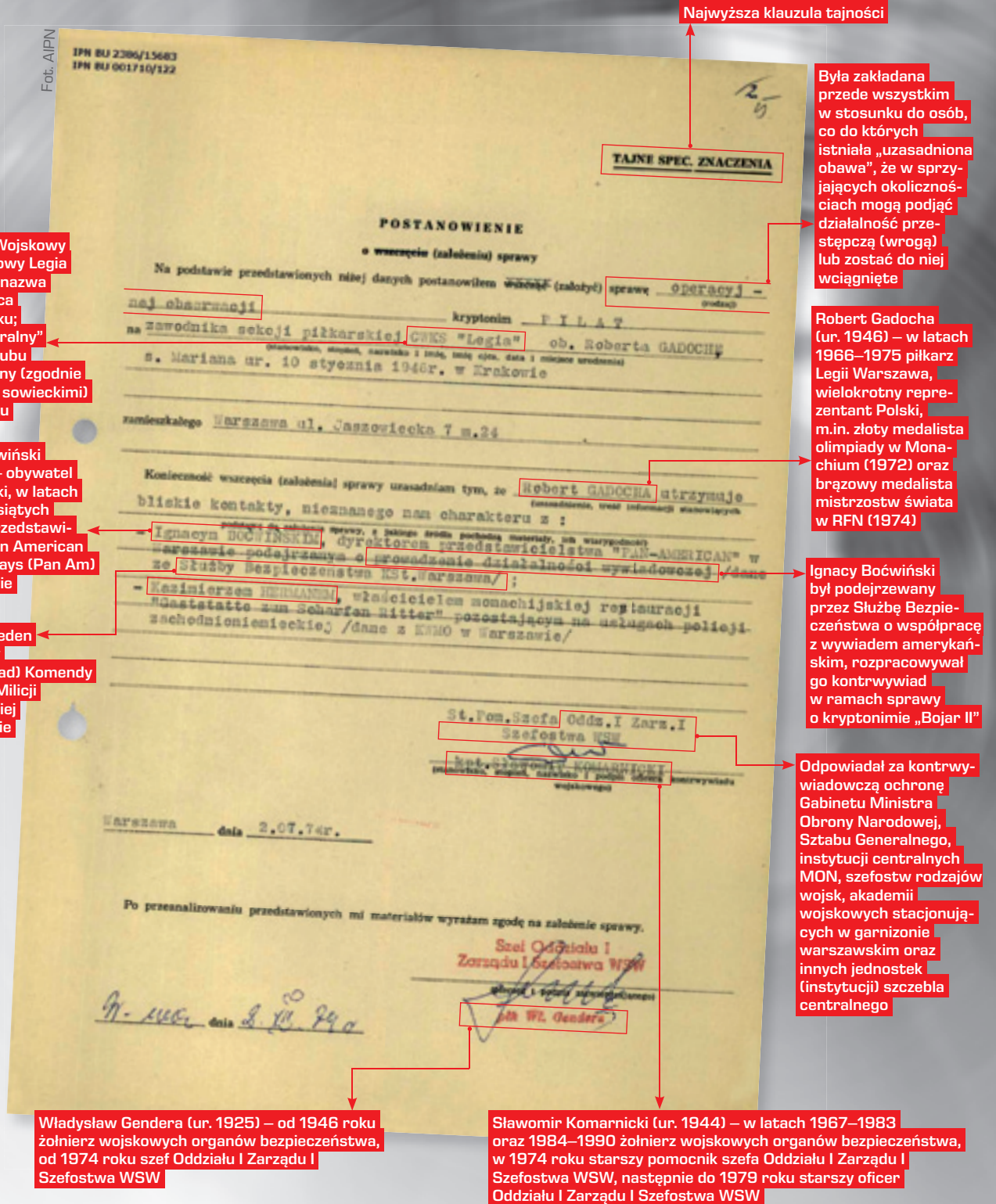
Wojskowa Służba Wewnętrzna w swej działalności dalece wykraczała poza kwestie obronności. Oficerowie rozpracowywali m.in. działaczy NSZZ „Solidarność”. Na celowniku WSW znaleźli się również polscy sportowcy reprezentujący kluby wojskowe. Byli oni bowiem, przynajmniej formalnie (zgodnie z ówczesną praktyką) zawodowymi żołnierzami, a nie profesjonalnymi sportowcami. Kluby wojskowe, takie jak Legia Warszawa, Śląsk Wrocław czy Zawisza Bydgoszcz, pozostawały pod „operacyjną ochroną” Wojskowej Służby Wewnętrznej. Na przykład Legia była „ochroniana” przez Oddział I Zarządu I Szefostwa WSW, odpowiedzialny m.in. za ochronę kontrwywiadowczą Gabinetu Ministra Obrony Narodowej i Sztabu Generalnego. Wojskowa Służba Wewnętrzna rozpracowywała zresztą nie tylko sportowców, lecz także trenerów, działaczy i inne osoby związane ze sportem wojskowym, zwłaszcza jeśli utrzymywały one uznane za podejrzane kontakty z cudzoziemcami oraz uciekinierami z kraju. Oficerowie WSW nie ograniczali się do działalności na terytorium PRL. „Zabezpieczali” również wyjazdy sportowców „żołnierzy” na najważniejsze imprezy poza granicami kraju, np. mistrzostwa świata (mundial w 1986 roku w Meksyku) czy igrzyska olimpijskie (latem w 1976 roku w Montrealu). Agenci Wojskowej Służby Wewnętrznej ze środowiska sportowego oprócz raportów o infrastrukturze NATO dostarczali swym oficerom prowadzącym również informacji o polskich zawodnikach przebywających za granicą – zarówno tych, którzy zdecydowali się na ucieczkę z PRL, jak i tych, którzy

wyjechali legalnie. Nieważne było, że z ludowym Wojskiem Polskim nie mieli oni już nic wspólnego.

W latach siedemdziesiątych WSW prowadziła cztery rodzaje spraw operacyjnych: 1) sprawy operacyjnego wyjaśnienia, 2) sprawy operacyjnego rozpoznania, 3) sprawy operacyjnego poszukiwania, 4) sprawy operacyjnej obserwacji. Te ostatnie zakładano w przypadku osób, które nie prowadziły co prawda przestępczej (wrogiej) działalności, ale w stosunku do których zachodziła – jak to stwierdzano – „uzasadniona obawa, że w sprzyjających okolicznościach mogą one taką działalność podjąć lub zostać do niej wciągnięte”. Możliwe było zatem – przynajmniej teoretycznie – rozpracowanie każdej osoby, którą zainteresowała się Wojskowa Służba Wewnętrzna. Jak doprecyzowywano w wewnętrznych wytycznych (instrukcji o pracy kontrwywiadowczej WSW z 25 lutego 1971 roku), sprawy operacyjnej obserwacji miały być prowadzone „w szczególności” wobec: osób, które były przedmiotem zainteresowania „wrogich ośrodków” (zarówno politycznych, jak i wywiadowczych), ludzi reprezentujących „poglądy rewizjonistyczne, szowinistyczne”, członków organizacji (związków) „aktywnie działających na szkodę PRL”, a także osób utrzymujących prywatne lub służbowe kontakty z osobami zamieszkałymi w państwach kapitalistycznych lub organizacjami i instytucjami mającymi tam swoje siedziby oraz pracownikami placówek dyplomatycznych tych państw, w razie gdyby pojawiły się „podejrzenia, że kontakty te mogą być wykorzystane we wrogich celach”, oraz osób mających dostęp do „szczególnie ważnych tajemnic”, w sytuacji gdy „ich postawa moralna, polityczna lub sposób bycia i postępowania wska-

zują na taką konieczność”. Zgodę na założenie sprawy operacyjnej obserwacji wydawali szefowie oddziałów (wydziałów) WSW.

Obok postanowienie o założeniu tego rodzaju rozpracowania w odniesieniu do zawodnika CWKS Legia Warszawa, chorążego WP, Roberta Gadochy. Ten wybitny piłkarz, jeden z filarów polskiej reprezentacji i stołecznego klubu, znalazł się na celowniku WSW we wrześniu 1972 roku. Miało to związek z zakupieniem przez niego samochodu podczas olimpiady w Monachium. Trzeba w tym miejscu przypomnieć, że on i inni piłkarze, którzy wywalczyli wówczas złoty medal, mieli na kupno aut zgodę Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Jednak, jak wynikało z danych zebranych przez wojskową bezpiekę, naszych futbolistów dysponujących – przynajmniej oficjalnie – skromną kwotą (200 dol. oraz 12 tys. złotych na wymianę) nie było na nie po prostu stać. Zakupione przez Gadochę nowe BMW miało być warte kilka tysięcy dolarów, według danych WSW – 2 tys. Podejrzewano, że środki na jego zakup zawodnik uzyskał w wyniku „nielegalnych transakcji dewizowych” albo „kaperownictwa [do] któregoś z zachodnich klubów”. Wojskowej Służbie Wewnętrznej nie podobało się, że piłkarz utrzymywał kontakty z właścicielem jednej z monachijskich restauracji, Kazimierzem Hermanem, który – według Służby Bezpieczeństwa – miał „pozostawać na usługach policji zachodnioniemieckiej”. Ponadto w kwietniu 1974 roku SB poinformowała WSW, że otrzymała „sprawdzone informacje”, jakoby Gadocha utrzymywał „bliski kontakt” z dyrektorem przedstawicielstwa linii lotniczych Pan Am w Warszawie, Ignacym Boćwińskim, podejrzewanym o prowadzenie działalności wywiadowczej w PRL. W tej sytuacji, w lipcu 1974 roku, zdecydowano się na rozpracowanie piłkarza w ramach sprawy operacyjnej obserwacji o kryptonimie „Piłat”. Zakończono ją w maju 1976 roku, bo Gadocha przebywał za grani-



Najwyższa klauzula tajności

TAJNE SPEC. ZNACZENIA

Była zakładana przede wszystkim w stosunku do osób, co do których istniała „uzasadniona obawa”, że w sprzyjających okolicznościach mogą podjąć działalność przestępczą (wrogą) lub zostać do niej wciągnięte

Centralny Wojskowy Klub Sportowy Legia Warszawa, nazwa obowiązująca od 1957 roku; członek „Centralny” do nazwy klubu został dodany (zgodnie z wzorcami sowieckimi) w 1949 roku

Robert Gadocha (ur. 1946) – w latach 1966–1975 piłkarz Legii Warszawa, wielokrotny reprezentant Polski, m.in. złoty medalista olimpiady w Monachium (1972) oraz brązowy medalista mistrzostw świata w RFN (1974)

Ignacy Boćwiński (ur. 1939) – obywatel amerykański, w latach siedemdziesiątych dyrektor przedstawicielstwa Pan American World Airways (Pan Am) w Warszawie

Ignacy Boćwiński był podejrzany przez Służbę Bezpieczeństwa o współpracę z wywiadem amerykańskim, rozpracowywał go kontrwywiad w ramach sprawy o kryptonimie „Bojar II”

Chodziło o jeden z wydziałów (kontrwywiad) Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej w Warszawie

Odpowiadał za kontrwywiadowczą ochronę Gabinetu Ministra Obrony Narodowej, Sztabu Generalnego, instytucji centralnych MON, szefostw rodzajów wojsk, akademii wojskowych stacjonujących w garnizonie warszawskim oraz innych jednostek (instytucji) szczebla centralnego

Władysław Gendera (ur. 1925) – od 1946 roku żołnierz wojskowych organów bezpieczeństwa, od 1974 roku szef Oddziału I Zarządu I Szefostwa WSW

Sławomir Komarnicki (ur. 1944) – w latach 1967–1983 oraz 1984–1990 żołnierz wojskowych organów bezpieczeństwa, w 1974 roku starszy pomocnik szefa Oddziału I Zarządu I Szefostwa WSW, następnie do 1979 roku starszy oficer Oddziału I Zarządu I Szefostwa WSW

cą (od kwietnia 1975 roku był zawodnikiem FC Nantes) i wojskowa bezpieka nie miała możliwości kontrolowania go w sposób operacyjny. Mimo prowadzonych na dużą skalę działań wobec piłkarza (podstuchiwa-

nie rozmów telefonicznych, cenzura korespondencji, werbowanie agentury wśród znajomych, sprawdzanie stanu kont jego i żony w polskich bankach) nie udowodniono mu działalności przestępczej. Jedynym sukcesem WSW –

czy szerzej wojska – było opóźnienie o cztery miesiące jego transferu do francuskiego klubu. 🍀

dr Grzegorz Majchrzak – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN

Wyzwania na wiele lat

Ofiary totalitaryzmów są najważniejszym punktem odniesienia instytucji takich jak nasza. Ale istotna jest też pomoc narodowi w stawaniu się wolnym po dziesięcioleciach dyktatury – mówi dr Łukasz Kamiński, prezes IPN, w rozmowie z Andrzejem Brzozowskim i Karoliną Wichowską

Do czego i komu jest dziś potrzebny Instytut Pamięci Narodowej?

Potrzebny jest wszystkim: społeczeństwu, bo zajmując się najważniejszym z punktu widzenia dzisiejszej rzeczywistości fragmentem naszej historii, IPN pomaga zrozumieć Polakom, co przeżyliśmy i kim dziś jesteśmy. Dzięki pracy nad przeszłością, która polega na jej rozliczaniu, przywracaniu sprawiedliwości, odkrywaniu prawdy, pokazujemy współczesnym Polakom ważne wartości. Jest potrzebny Polsce, bo wykonuje na rzecz państwa ważne zadania, począwszy od lustracji, a skończywszy na procedurach prowadzących do nadania Krzyża Wolności i Solidarności. Poza tym IPN jest aktywny za granicą, starając się opowiedzieć polską historię, czyli pomóc innym narodom zrozumieć Polaków.

Postulowałby Pan zwiększenie aktywności IPN na tym polu?

W ostatnich pięciu latach aktywność IPN na forum międzynarodowym znacznie wzrosła. Wystarczy spojrzeć na liczbę wystaw – w porównaniu z rokiem 2009, w 2015 było ponad pięć razy więcej prezentacji wystaw IPN za granicą. Można oczywiście zrobić więcej i zależy to nie tylko od finansów i przepisów, lecz także od współpracy z Ministerstwem Spraw Zagranicznych. A największym mankamentem od lat jest brak koordynacji i spójnej strategii. Nie chodzi o to, żeby wszystko dokładnie zaplanować, ale o to, żebyśmy – także ponad podziałami politycznymi – wybrali kilka elementów, na których warto się skupiać, takich jak historia Solidarności czy polskiej walki o wolność, polski wkład w światowe dziedzictwo kulturalne, w rozwój nauki.

Nie bez powodu zapytaliśmy o to, czy IPN jeszcze jest potrzebny. W 2008 roku w wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego” śp. prezes Janusz Kurtyka na pytanie, jak długo instytut powinien istnieć, odpowiedział, że około trzydziestu lat, czyli tyle, ile trwa wymiana pokoleniowa, i wyjaśnił, że zapewne tyle czasu potrzeba do przemiany świadomości historycznej w społeczeństwie, zwłaszcza tej dotyczącej komunizmu. Jak dzisiaj Pan by się do tego odniósł?

Instytucje takie jak IPN dzielą się na dwa podstawowe modele: pierwszy to instytucje pojednania, takie jak ta powołana w RPA do rozliczenia apartheidu. One działają intensywnie, ale krótko i mają za zadanie przebudować świadomość społeczną. Zbierają świadectwa ofiar i doprowadzają do ukarania sprawców bądź do

jakiejs formy pojednania narodowego. Drugi model to instytucje permanentne, które powołuje się do wyczerpania misji – takie jak IPN. A odnosząc się do tego, zawsze cytuję Rolanda Jahna, szefa niemieckiego odpowiednika instytutu: misja obejmuje przede wszystkim czas, kiedy jeszcze żyją ofiary. Od siebie dodaję przypomnienie losu Izraelitów, którzy mogli wejść do Ziemi Obiecanej dopiero wtedy, kiedy nie będzie już wśród nich ludzi pamiętających niewolę egipską. W obu przypadkach mówimy o całym pokoleniu, zgodnie ze słowami prezesa Kurtyki. Ofiary reżimu są najważniejszym punktem odniesienia instytucji takich jak nasza. Ale istotna jest też pomoc narodowi w stawaniu się wolnym po dziesięcioleciach dyktatury. Z czasem niektóre elementy tej misji wygasną: np. jeśli nic się nie zmieni (to był jeden z naszych postulatów – nieuwzględnionych – przy zmianie ustawy), to większość zbrodni komunistycznych już w 2020 roku nie będzie mogła być ścigana. Z czasem wygasną też zadania związane lustracją. Dość powiedzieć, że w ciągu czterech lat liczba nowych oświadczeń lustracyjnych składanych w wyborach samorządowych spadła z ponad 150 tys. do niecałych 70 tys.

Miarą przydatności instytucji jest też to, jakie odnosi sukcesy i ponosi porażki. Koniec kadencji to dobry moment na takie podsumowanie. Co się udało zrealizować z programu, który przedstawił Pan pięć lat temu jako kandydat?

Zacznijmy od tego, czego nie ogłaszałem kandydując, a co tuż po objęciu funkcji zacząłem realizować. Mam na myśli projekt poszukiwań miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego, a wkrótce później projekt ich identyfikacji. To jest jedno z najważniejszych dokonań tej kadencji.

Które zresztą też było z różnych stron i powodów krytykowane...

Pytano np., dlaczego przez poprzednie dwadzieścia lat nikt się tym nie zajął. Później borykaliśmy się z problemami, których nie mogliśmy przewidzieć, rozpoczynając tę pracę. Na przykład okazało się, że duża część szczątków – na Powązkach i w wielu innych miejscach – leży pod późniejszymi nagrobkami. Udało się to rozwiązać dopiero przez zmianę ustawy, która wprowadziła mechanizm przeniesienia tych szczątków. W przypadku „Łączki” do zamknięcia tego procesu od strony formalnej brakuje jeszcze tylko dwóch decyzji wojewody wobec ponad trzystu już wydanych. Postulatem, który wysuwałem, obejmując urząd, a który



dr Łukasz Kamiński (ur. 1973) – historyk, zajmuje się m.in. historią oporu społecznego wobec reżimu komunistycznego w Polsce i Czechosłowacji; współautor podręcznika *Od niepodległości do niepodległości. Historia Polski 1918–1989*; od 2000 roku pracownik IPN – najpierw jako naczelnik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej we Wrocławiu, później kierownik tamtejszego Referatu Badań Naukowych, Dokumentacji i Zbiorów Bibliotecznych, od 2006 roku wicedyrektor, a następnie dyrektor BEP; od 28 czerwca 2011 roku prezes IPN

nie został spełniony – więc to jest porażką – było stworzenie etatów naukowych. Teraz one istnieją tylko formalnie, bo przepis w ustawie o IPN odsyła do innych, nieistniejących już przepisów o jednostkach badawczo-rozwojowych. Wiele elementów naszej działalności jest regulowanych w ustawie i za porażkę można też uznać to, że nie udało się posłów ani poprzedniej kadencji, ani teraz przy okazji prac nad nowelizacją, przekonać do naszych racjonalnych propozycji zmian w ustawie. Należą do nich dostęp do dokumentów, bardziej w IPN skomplikowany niż w archiwach państwowych, oraz brak mechanizmów kontroli prezesa IPN nad działalnością pionu ścigania – nowelizacja ustawy o prokuraturze wręcz pogorszyła sytuację, bo teraz prezes nie bierze nawet udziału w procedurze mianowania dyrektora Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Ostatnia ważna rzecz nieuwzględniona w nowelizacji to dostosowanie struktury terenowej instytutu do podziału administracyjnego.

To są sprawy formalne związane z nowelizacją ustawy. A jeśli chodzi o działalność merytoryczną IPN w ciągu ostatnich pięciu lat?

Spektakularnych „wpadek” chyba nie było... Ale przyznam, że liczyłem na większą mobilizację pionu śledczego. To nie znaczy, że nie ma on sukcesów – jednym z nich jest otwarcie się na media, dzięki czemu obraz jego pracy jest dużo lepszy. Sukcesem – choć niestety w kategoriach czysto symbolicznych – było skazanie gen. Czesława Kiszczaka. Samego Wojciecha Jaruzelskiego już nie udało się skazać, ale udało się doprowadzić do weryfikacji badań lekarskich – wcześniej nawet nie podejmowano takich prób. Udało się też zwiększyć po 2011 roku liczbę aktów oskarżenia wobec członków aparatu represji PRL, są też takie sukcesy jak śledztwo w sprawie Obławy Augustowskiej. Ono wprawdzie nie doprowadziło jeszcze do odnalezienia szczątków ofiar, ale udało się ustalić dużo i jesteśmy coraz bliżej finału. Teraz czekamy na zgodę strony białoruskiej na sprawdzenie dwóch miejsc, w których ci ludzie zostali zamordowani i najprawdopodobniej pochowani. Jednym z ważnych osiągnięć IPN jest przywrócenie daty 13 grudnia i jej symbolicznego znaczenia. W akcję „Zapał Światło Wolności” od kilku już lat włączają się prezydent, premier, od zeszłego roku Kościół katolicki. Udało się odwrócić panujący przez wiele lat trend, czyli opisywanie stanu wojennego w wersji Jaruzelskiego, którego archiwalne i bieżące wypowiedzi były wciąż powtarzane w mediach. Udało nam się skupić uwagę społeczną na ofiarach, bo gest zapalenia świecy świadczy o pamięci o nich. Ale tu też nie można mówić o pełnym sukcesie, ponieważ, jak wynika z corocznych badań opinii publicznej dotyczących odbioru stanu wojennego, zmiana wciąż jest niewielka. A dodajmy, że ta akcja jest tylko jednym z licznych działań IPN związanych z mówieniem prawdy o stanie wojennym.

Z czego wynika duże wciąż poparcie dla decyzji Jaruzelskiego z 1981 roku?

Najciekawsze jest to, że Polacy zmienili nastawienie do tego faktu dopiero po roku 1989. Propaganda Jaruzelskiego nie odnosiła

sukcesów na taką skalę w latach osiemdziesiątych. O ile sam stan wojenny poniósł klęskę, bo nie udało się zniszczyć Solidarności, o tyle w wymiarze pamięci jego autorzy w latach dziewięćdziesiątych odnieśli sukces. Myślę, że udało się to dlatego, że nie było Instytutu Pamięci Narodowej wtedy, gdy kształtowało się wyobrażenie Polaków o latach osiemdziesiątych. Gdyby IPN, tak jak jego niemiecki odpowiednik, powstał w roku 1990 lub 1991, sytuacja byłaby inna.

A inne kwestie, w których udało się zmienić świadomość społeczną? Myśli Pan o Żołnierzach Wykłychych?

Na zmianę świadomości, która się tutaj dokonała, instytut pracował od początku, a wiele innych środowisk o tę pamięć zabiegało już w latach dziewięćdziesiątych. Jednak jakościowa zmiana nastąpiła w ostatnim czasie. Na wyobrażenie Polaków, czym był komunizm, wpłynął projekt poszukiwań szczątków ofiar reżimu. To były sugestywne obrazy. Pokazanie konkretnych ludzi, którym właśnie przywracamy tożsamość, zobaczenie, jak zostali potraktowani nawet po śmierci. Ludzie przeżywają szok: jak to możliwe, że była tak wielka historia, tak wspaniali bohaterowie, a ja do tej pory nic o tym nie wiedziałem? Do tego projekt „Śladami zbrodni” i pokazanie miejsc kaźni. To wszystko powoduje, że ta historia jest namacalna i przestaje być suchym zapisem z podręcznika. Ta zmiana w podejściu do tego, czym w ogóle był komunizm, zaszła w dużym stopniu dzięki IPN. Jest zresztą wiele innych tematów, które dziś są wciąż jeszcze zmarginalizowane, np. historia polskiego wychodźstwa niepodległościowego – jeden z głównych tematów badawczych IPN w ostatnich pięciu latach. Tych wyzwań jest jeszcze na wiele lat.

Duża część wysiłków IPN została skierowana na edukację młodszego pokolenia – to dlatego, że jest to łatwiejsze niż zmiana ugruntowanych wyobrażeń ludzi dorastających w innej rzeczywistości?

Kiedy zaczynaliśmy w roku 2000, to wszyscy dorośli pamiętali stan wojenny i jakąś część PRL – i trzeba było się skupić na młodych, którzy nic o tych czasach nie wiedzieli. Zgadzam się, że edukacja dorosłych – z której nie zrezygnowaliśmy – jest wyzwaniem trudniejszym. Pokazują to też wyniki sondaży, o których wspominałem: jest wyraźna różnica w ocenie stanu wojennego wśród młodych ludzi i tych starszych. To pokazuje, że nasza praca z czasem przyniesie efekty.

W ciągu ostatniej dekady zwiększyła się liczba publikacji dotyczących historii najnowszej skierowanych do dzieci i młodzieży, choć wciąż uważam, że proporcje między naszymi publikacjami naukowymi a popularnonaukowymi są zachwiane na niekorzyść tych drugich. Najważniejszym sukcesem na tym polu jest miesięcznik „Pamięć.pl”, w którym udało się znaleźć formułę łączącą poważną opowieść o historii z atrakcyjną formą, przystępną dla młodego odbiorcy. Nie mniej ważne są portal Pamięć.pl i cała nasza aktywność w Internecie. Ona oczywiście też nie zaczęła się w ostatnich pięciu latach, bo wiele portali edukacyjnych powstało



Fot. Maciej Foks

► Konieczność rozbioru budynku przy ul. Towarowej to porażka całego państwa – mówi Łukasz Kamiński

już wcześniej. Teraz sięgnęliśmy jednak po nowe formy, jak kanał IPN TV na portalu Youtube. Sukces teledysku o „Ince”, który ma blisko pół miliona wyświetleń, pokazuje, że to jest metoda pozwalająca dotrzeć do młodego człowieka. Bo jeśli mówimy o największym sukcesie książkowym, publikacji *Od niepodległości do niepodległości*, która od 2010 roku rozeszła się w nakładzie 150 tys. egzemplarzy, to z pewnością nie wszystkie trafiły do rąk młodych ludzi, ale jeśli mówimy o teledysku na Youtube, to można śmiało założyć, że większość odsłon jest dziełem młodych odbiorców. Okazało się też, że staromodne narzędzia są bardzo efektywne – mam na myśli gry planszowe. Początek to rok 2009, ale erupcja popularności przypada na 2011. Nie spodziewałem się – wówczas jeszcze jako dyrektor Biura Edukacji Publicznej – że przyniosą one tak duże sukcesy: zainteresowanie wydarzeniami, których te gry dotyczą oraz zbudowanie interakcji między ludźmi i okazji do rozmowy między pokoleniami, opowiadania historii z osobistej perspektywy.

Jeśli dodamy do tego jeszcze komiksy, które IPN wydaje, to widać, że instytut wszedł w świat gadżetów popkulturowych. Łatwo tu o zarzut infantylizowania historii.

To dorzucmy jeszcze projekt „Polak mały”. IPN powinien się angażować w działania skierowane do dzieci, choć za pomocą takich metod nie da się opowiedzieć każdej historii – np. historii zbrodni. Nie można też poprzestać na edukacji przez zabawę. Gdyby cała oferta IPN ograniczała się tylko do tego, to sam zgodziłbym się z zarzutami, że to jest pójście w złą stronę. To jest tylko pierwszy krok – wielu młodych ludzi zacznie od gry *303*, a potem będzie chciało coś więcej przeczytać o dywizjonie. Tej grze zresztą od początku towarzyszyła wystawa.

Czy przez takie rzekome infantylizowanie lub wybieranie i eksponowanie poszczególnych wątków w historii nie wpadamy w pewną pułapkę? Z jednej strony zrymamy się na postrzeganie PRL przez pryzmat komedii Barei, ale z drugiej pojawia się zarzut o patrzeć na lata tużpowojenne wyłącznie z perspektywy Żołnierzy Wyklętych, którzy stanowili niewielki procent społeczeństwa.

W edukacji zawsze wybieramy pewne elementy. Kierujemy się przy tym dwoma wartościami: szukamy tego, co trafi do młodego człowieka – albo do społeczeństwa w ogóle – co zainteresuje odbiorców i okaże się pierwszym krokiem do głębszego poznania, ale też wybieramy sprawy istotne, symboliczne, będące źródłem wartości. Postawa Żołnierzy Wyklętych nie była najpowszechniejsza w tamtym czasie, choć większość Polaków z nimi sympatyzowała. Przede wszystkim jednak reprezentowali oni wartości, które i dziś są dla nas ważne: niepodległość, wierność ideałom, gotowość do poświęcenia. Nie da się opowiedzieć całej historii, dlatego zawsze coś wybieramy. Najważniejsze, żeby przy tym wyborze mieć dobre intencje, kierować się wartościami, a nie chęcią manipulacji.

Takie właśnie zarzuty się pojawiają: że gloryfikujemy tych, którzy walczyli z bronią w ręku, a nie tych, którzy odbudowywali Polskę w zaistniałych warunkach.

To jest znowu spór o ludzkie postawy w trudnych sytuacjach. Te postawy możemy podzielić na trzy kategorie: opór, zaangażowanie i – najczęstsza – przystosowanie. Gdybyśmy w mówieniu o przeszłości chcieli przyjmować reguły statystyki, czyli najwięcej mówić o tych, których było najwięcej, to cały przekaz byłby taki: niezależnie od okoliczności szukaj metody przystosowania. Nie jestem przekonany, czy taka właśnie nauka powinna płynąć z historii.

Wspomniał Pan, że IPN pomaga innym narodom zrozumieć historię Polski. Jaka jest rola instytutu w sytuacjach konfliktowych, takich jak usuwanie „pomników wdzięczności” Armii Czerwonej czy upamiętnienie Zbrodni Wołyńskiej?

Zacznijmy od dialogu z Ukrainą. Przez ponad dwadzieścia lat usiłowano odgórnie zadekretować pojednanie, zakończyć dialog, zanim się rozpoczął. Przecież ogromna część Ukraińców i wielu Polaków po prostu nie zna podstawowych faktów z historii naszych relacji w czasie II wojny światowej. To kolejny przykład na to, jak bardzo takie instytucje jak nasza są potrzebne. W każdym dialogu zawsze trzeba zacząć od powiedzenia prawdy. Powstało Polsko-Ukraińskie Forum Dialogu Historycznego, odbyły się dwa niełatwe spotkania, ale dialog trwa i będzie trwał jeszcze wiele lat. Niewątpliwym sukcesem IPN było wydanie podręcznika historii Polski w języku ukraińskim. Nasi partnerzy mają czasem krytyczne uwagi do poszczególnych fragmentów, ale samo jego pojawienie się zostało przyjęte bardzo pozytywnie.

Nasze relacje z instytucjami partnerskimi za granicą są bardzo dobre. Polski IPN stał się wzorem do naśladowania dla instytucji na świecie. W powstawaniu wielu z nich uczestniczyliśmy, prowadząc

szkolenia – w tym również dla naszego ukraińskiego odpowiednika. W 2012 roku w Moskwie otrzymałem wewnętrzny dokument dotyczący polityki historycznej. Znalazło się tam stwierdzenie, że „w całej Europie powstają instytuty pamięci narodowej”. To świadczy o naszej marce, podobnie jak to, że kiedy powstawał IPN, to komuś z Zachodu trzeba było tłumaczyć, że to taki polski urząd Gaucka. Dzisiaj częściej słyszę, że BStU to taki niemiecki IPN.

Ostatni wątek to konflikt z Rosją spowodowany usuwaniem „pomników wdzięczności”. Dlaczego ich usuwanie jest potrzebne – tego nie trzeba tłumaczyć. A co do odbioru tej sprawy w Rosji – ona jest absolutnie zrozumiała dla przedstawicieli społeczeństwa obywatelskiego, np. stowarzyszenia „Memoriał”. To nieprawda, że usuwanie pomników sowieckich niszczy relacje z Rosjanami. Oczywiście generuje to konflikt z władzami rosyjskimi, ale dlatego, że w Rosji nie ma systemu demokratycznego. Jeśli kiedyś Rosja stanie się krajem demokratycznym, to jednym z pierwszych działań będzie rozliczenie z przeszłością. Tutaj niestety musimy wybierać między podejściem do przeszłości opartym na prawdzie a unikaniem za wszelką cenę konfliktu z putinowską Rosją. Wybieram to pierwsze.

Mówiąc o sukcesach IPN, wymienił Pan głównie działania Biura Edukacji Publicznej, które nowa ustawa dzieli na dwie jednostki: Biuro Edukacji Narodowej i Biuro Badań Historycznych. Jakie będą tego konsekwencje?

Nie widzę żadnej wartości dodanej wynikającej z tego podziału, przeciwnie – raczej dodatkowe problemy. Jeśli jest BEP, który ma dwie części – naukową i edukacyjną – to współpraca między nimi jest dosyć łatwa, w tym sensie, że dyrektor w centrali albo naczelnik w terenie może naukowcom wydać polecenie np. poprowadzenia zajęć edukacyjnych. W nowej formule ta sama czynność będzie wymagała obiegu korespondencji między dyrektorami dwóch biur, co tylko spowoduje wzrost biurokracji. To nie jest racjonalne podejście.

Jeśli chodzi o sukcesy innych biur, to Biuro Lustracyjne, mimo że nie nastąpił wzrost zatrudnienia, weryfikuje w tej chwili dwa razy więcej oświadczeń niż na początku swojej działalności. Udało się osiągnąć dzięki lepszej organizacji pracy, ale też dzięki zmianom w archiwum. Ta część instytutu jest na co dzień niewidoczna, ale to przecież ona jest podstawą działalności całego IPN. Z archiwum korzysta też wiele osób z zewnątrz i każdy, kto ma porównanie z tym, co było pięć lat temu i jest dzisiaj, widzi, że zmiany zaszły wszędzie: od uproszczenia i skrócenia procedur udostępniania, przez cyfrowy system informacji, który jest najlepszym tego typu systemem w Polsce i jednym z lepszych na świecie, aż po digitalizację zasobów.

Postulował Pan uproszczenie procedur dostępu do archiwów. A jak Pan ocenia kryteria doboru osób, które mogą mieć wgląd do dokumentów?

One niewiele się zmieniły od czasu powstania instytutu. Materiały z czasów dyktatury komunistycznej często zawierają dane wrażliwe o konkretnych ludziach, więc przy udostępnianiu musimy ▶



zważyć dwie wartości: pierwsza to ochrona dóbr osobistych, często ochrona ofiar zbrodni albo inwigilacji, druga to prawo społeczeństwa do prawdy o przeszłości i do jej zrozumienia. W Niemczech wyżej postawiono ochronę ofiar. Trzeba mieć zgodę osób zainteresowanych, żeby uzyskać dostęp do dotyczących ich materiałów, a nazwiska wszystkich osób, które nie są powszechnie znane, są zaczernione. Zupełnie inny jest model czeski, który wszystkim gwarantuje nieograniczony dostęp do dokumentów. Model polski jest pośrodku – dostęp jest, ale tylko dla pewnej kategorii osób: pokrzywdzonych i ich najbliższych oraz badaczy i dziennikarzy. Ustawodawca przyjął, że społeczeństwo będzie poznawać prawdę właśnie za pośrednictwem tych grup. Pytanie, jak długo taki model chroniący pokrzywdzonych – w mniejszym stopniu niż w Niemczech, ale jednak chroniący – należy utrzymywać. Na pewno nie w nieskończoność, ale nie umiem powiedzieć, jak długo jeszcze. Model ten się sprawdził, zwłaszcza że są pewne grupy dokumentów dostępne dla wszystkich, mianowicie dokumenty funkcjonariuszy, a więc sprawców represji, a także te dotyczące najważniejszych osób w państwie, które w czasie pełnienia przez nie funkcji są dostępne dla każdego obywatela, zapewniając transparentność życia publicznego. Temu zresztą też służy lustracja.

Bodaj jedynym momentem, w którym IPN przez Pana kierowany budził emocje i kontrowersje, było przejęcie dokumentów bezprawnie przechowywanych w domu Kiszczaków. Wcześniej, jak twierdzą Pana surowsi krytycy, unikał Pan konfliktów z powodu zbyt-niej ich zdaniem ostrożności. Ci umiarkowani dodają, że takiej ostrożności wymagała sytuacja, w której rządzący byli niechętni IPN w ogóle, i apelują o wyrozumiałość, bo dzięki temu ocalił Pan instytucję. Jedno z pierwszych założeń, które przyjąłem jeszcze w trakcie kandydowania, było takie, że żadnych decyzji nie będę podejmował z powodów pozamerytorycznych, czyli np. z obawy o to, co po-

myślą politycy albo co napiszą media. To, co bywało oceniane jako ostrożność, wynikało z zupełnie innych przyczyn. Nasza działalność jest sferą i tak bardzo wrażliwą i nie ma potrzeby, żeby prezes instytutu eskalował emocje. Jeśli trzeba było zająć jednoznaczne stanowisko w trudnych sprawach, jak np. kwestia pochowania Wojciecha Jaruzelskiego na Powązkach, to je zajmowałem. To też nie wszystkim się podobało. Podobnie było z upamiętnieniem Zbrodni Wołyńskiej w jej 70. rocznicę – były głosy, że nie należy zaogniać relacji polsko-ukraińskich. Ale podjęliśmy merytoryczną decyzję: to nasz obowiązek, żeby tę zbrodnię upamiętnić. Wydarzenia wokół szafy Kiszczaka też w gruncie rzeczy pokazują, że droga podejmowania decyzji uwzględniająca tylko to, co naszym zdaniem jest dobre, nie tyle nawet dla IPN, ile w ogóle dla Polski, okazała się słuszna. Mieliśmy w lutym kilka dni napięcia, ale dzięki sprowadzeniu całej sprawy na grunt czysto merytoryczny, a więc postępowania według procedur, coś, co na miesiące mogło dawać paliwo do sporów – tak naprawdę wygasło w ciągu kilku dni od udostępnienia dokumentów.

Wracając do sukcesów i porażek: sukcesem niewątpliwie była sprawna, niezakłócająca normalnej działalności, przeprowadzka z nieistniejącego już budynku przy ul. Towarowej do obecnej siedziby. Ale to, że przeprowadzka była konieczna, to chyba porażka. Tak, chociaż była to porażka nie tylko IPN, ale całego państwa. Przez ponad dziesięć lat nie zdołano doprowadzić do wymiany nieruchomości ze spółką, która przez większość tego czasu należała do skarbu państwa. Zmarnowano wysiłek wielu osób i ogromne środki, które można było przeznaczyć na realizację wielu ważnych projektów.

Czy kończąc kadencję, obawia się Pan, że któreś z działań IPN podejmowanych w ciągu ostatnich pięciu lat, a może nawet wcześniej, zostanie zaniechane?

Nie mam podstaw do takich obaw, choćby dlatego, że nie wiem, kto zdecyduje się kandydować i z jakim programem przystąpi do konkursu. Miałem pewne obawy w związku pracami nad nowelizacją ustawy, na szczęście w dużej mierze udało się ryzykowne zmiany ograniczyć, niestety nie całkiem. Nowa ustawa nakłada na nas obowiązek badania całej historii porozbiorowej, tj. całego XIX wieku. To okres ważny, ale preambuła ustawy mówi o ofiarach systemów totalitarnych i bohaterach, którzy się tym systemom przeciwstawiali. Widzę więc zagrożenie w tym, że jeśli instytut zacznie się zajmować najważniejszymi wydarzeniami z całej historii Polski, o czym również mowa w ustawie, to podstawowa misja może ulec rozmyciu.

Jaka będzie następna publikacja naukowa lub popularyzacyjna doktora Łukasza Kamińskiego?

Na pewno najpierw wrócę do książki o historii Solidarności. Chodzi o słynny nieskończony dotąd pierwszy tom siedmiotomowej syntezy dziejów związku. 📖



Fot. Piotr Życieński

► Prezes IPN, Łukasz Kamiński, wręcza statuetkę Kustosza Pamięci Narodowej gen. Januszowi Brochwicz-Lewińskiemu

Urzędnicy getta łódzkiego

Praca w administracji getta początkowo mogła dawać poczucie bezpieczeństwa. Szybko okazało się jednak, że nie zwiększa ona szans na przetrwanie – mówi **dr Adam Sitarek**, autor książki *Otoczone drutem państwo*, w rozmowie z Andrzejem Czyżewskim

Zajął się Pan dziejami administracji – tematem uznanym zazwyczaj za niewdzięczny, żmudny i mało spektakularny. Co sprawiło, że podjął się Pan zbadaania instytucji działających w getcie łódzkim w czasie okupacji?

Jednym z fenomenów getta łódzkiego jest ogromna zachowana po nim spuścizna. Niezwykły zbiór dokumentów liczący setki tysięcy kart to w większości wynik działania rozbudowanego aparatu administracyjnego. Przez wiele lat

badacze getta łódzkiego wykorzystywali ów zbiór do badań nad różnymi aspektami działalności getta i martyrologii jego mieszkańców, jednak do tej pory nikt nie podjął się próby usystematyzowania wiedzy na temat wytwórcy tej bogatej dokumentacji.

Postanowił więc Pan wypełnić tę dużą lukę w badaniach.

Tak, ale to nie znaczy, że pierwszy zainteresowałem się tematem. Jeszcze w latach sześćdziesiątych minionego wieku Danuta Dąbrowska z Żydowskiego Instytutu Historycznego zgłębiała tę kwestię, jednak wydarzenia Marca '68 i emigracja autorki do Izraela przerwały na wiele lat badania nad tym aspektem dziejów „dzielnic zamkniętej” w okupowanej Łodzi. Dąbrowskiej udało się wstępnie przebadać sytuację w getcie zaledwie do grudnia 1940 roku. Po wyjeździe, odcięta od dużej części źródeł, nie miała już jak kontynuować swojej pracy, ale niezmiennie mówiła o konieczności dalszego ▶

zainteresowania tematem. *Otoczone drutem państwo* jest więc z jednej strony rozwinięciem zagadnienia wskazanego przez Dąbrowską, a z drugiej podsumowaniem moich wcześniejszych doświadczeń z prac nad materiałami pozostawionymi przez żydowską administrację getta.

Właśnie, to nie jest przecież Pańska pierwsza styczność z problemem dziejów „dzielnic zamkniętej” w Łodzi.

To prawda. Miałem to szczęście i ten przywilej, że wchodziłem w skład zespołów redakcyjnych przygotowujących takie przedsięwzięcia naukowe, jak np. edycja *Kroniki getta łódzkiego* czy ostatnio *Encyklopedia getta*. Równolegle wspólnie z dr. Michałem Trębaczem wydaliśmy książkę z przemówieniami Chaima Mordechaja Rumkowskiego – przełożonego Starszeństwa Żydów w getcie łódzkim. To właśnie praca przy tych projektach dobitnie mi uświadomiła, że jest pałaca potrzeba usystematyzowania stanu badań i zebrania w jednym miejscu wszystkich rozproszonych dotąd informacji na temat aparatu administracyjnego getta łódzkiego.

Uściślijmy kwestię zakresu samodzielności administracji żydowskiej wobec władz niemieckich. O jakich sprawach można było rozstrzygać na poziomie „dzielnic zamkniętej”, a jakie były narzucane z zewnątrz?

Kwestia stopnia niezależności żydowskich organów administracyjnych w stosunku do niemieckich instytucji zwierzchnich jest bardzo złożona. Niemożliwy do pominięcia jest kontekst niemieckiej polityki w stosunku do Żydów, którzy

od początku wojny byli traktowani z niezwykłą brutalnością jako „rasa podludzi”, a w połowie roku 1941 zostali skazani na całkowitą zagładę. W ramach tolerowanej przez niemieckie władze „swobody” Rumkowski mógł urządzić w getcie szeroki aparat administracyjny, który swoim kształtem, oczywiście z zachowaniem odpowiednich proporcji, przypominał tytułowe państwo. Jej i tak mocno ograniczony zakres kończył się definitywnie tam, gdzie stało ogrodzenie z drutu kolczastego. Niejednokrotnie władze niemieckie ingerowały w wewnętrzne sprawy getta, domagając się absolutnego podporządkowania. W istocie mimo pozornej swobody Rumkowski wraz ze swoimi urzędnikami stał się jedynie trybem w mechanizmie Zagłady.

Innymi słowy, nie powinniśmy zapominać, że cały czas mamy do czynienia przede wszystkim z więźniami, a zatem sytuacją przymusu.

Aby zapewnić realizację niemieckich celów, lokalne władze okupacyjne musiały ułożyć stosunki z reprezentacją społeczności żydowskiej, której ustanowienie zapowiadał słynny rozkaz Reinharda Heydricha z 21 września 1939 roku. W przypadku Łodzi pozostawiona Rumkowskiemu „swoboda” w organizacji życia wewnętrznego getta miała zapewnić spokojne, czyli bezproblemowe spełnienie wszystkich żądań władz niemieckich. Główne miejsce zajmowała produkcja w działających w getcie i stale rozbudowywanych zakładach zwanych resortami, która zaspokajała w dużym stopniu potrzeby niemieckiej armii. Wypadki w getcie niejednokrotnie pokazały, że granice „swobody” wyznaczali Niemcy i od Rumkowskiego zależało niewiele, chociaż w opinii wielu mieszkańców „dzielnic zamkniętej” to właśnie on był odpowiedzialny za ich los.

Jak długo istniało tytułowe „otoczone drutem państwo”?

Getto łódzkie powstało wcześniej, pierwsze ogłoszenie o jego utworzeniu nosiło datę 8 lutego 1940 roku. Budowa zębów administracji żydowskiej rozpoczęła się jeszcze jesienią 1939 roku od wyznaczenia Rumkowskiego na stanowisko przełożonego Starszeństwa Żydów. Wykazując się inicjatywą, nowy reprezentant łódzkich Żydów przystąpił do przekształcania organów nieistniejącej już gminy żydowskiej, dostosowując je do nowej sytuacji, przede wszystkim do oczekiwań okupanta. Wraz z ogłoszeniem informacji o powstaniu getta kierowany przez Rumkowskiego aparat urzędniczy wkroczył w kolejny etap. Dalsze wydarzenia związane z polityką władz niemieckich w stosunku do Żydów wymuszały rozbudowę i liczne reorganizacje administracji żydowskiej, która działała aż do likwidacji getta w sierpniu 1944 roku.

Jakie instytucje ją współtworzyły?

Administracja żydowska getta objęła niemal każdą dziedzinę życia więźniów „dzielnic zamkniętej”. Oprócz komórek prowadzących ewidencję ludności i produkcji istniały m.in. roz-



budowana służba zdrowia (szpitale, przychodnie i pogotowie ratunkowe), policja, sąd, straż pożarna, wewnętrzna poczta, a także system szkolny, kolonie letnie oraz komórki zajmujące się wywozem nieczystości, transportem towarów czy produkcją rolną. Absolutnym fenomenem był działający oficjalnie w getcie Wydział Archiwum, zbierający dokumentację dotyczącą niemal każdej dziedziny życia w „dzielnicę zamkniętej”, który można porównać jedynie z konspiracyjną działalnością grupy Oneg Szabat i jej archiwum getta warszawskiego. Listę można by rozszerzyć o kilkadziesiąt rozmaitych wydziałów, referatów, komisji i biur, będących swojego rodzaju „otoczonym drutem państwem”. W szczytowym okresie w administracji było zatrudnionych ponad 14 tys. pracowników (17 proc. ogółu pracujących w getcie), co było wyjątkowo wysokim odsetkiem w porównaniu z innymi „dzielnicami zamkniętymi”.

Kto zasilał kadry urzędnicze getta łódzkiego?

Trudno jest prześledzić życiorysy wszystkich. Wśród odgrywających najważniejszą rolę w getcie, a tym samym zajmujących najwyższe stanowiska w urzędniczej hierarchii, można odnaleźć osoby związane jeszcze w czasach przedwojennych z Rumkowskim – łódzkich działaczy społecznych czy przedsiębiorców. Wśród elity byli także ludzie z bałuckiego półświatka, którzy świetnie odnaleźli się w realiach „dzielnicę zamkniętej”. Nie bez znaczenia było też to, że przy obsadzie niektórych stanowisk głos miały także władze niemieckie. Do pracy w urzędach i jednostkach podlegających Rumkowskiemu zaangażowano również nielicznych pozostałych w Łodzi intelektualistów, ludzi pióra i przedstawicieli wolnych zawodów; wielu z nich kontynuowało w getcie swoją przedwojenną działalność. Po deportacji do getta grupy Żydów z Rzeszy oraz Protektoratu Czech i Moraw, jesienią 1941 roku w „dzielnicę zamkniętej” znalazła się grupa wybitnych lekarzy, muzyków czy dziennikarzy, których również szybko zaangażowano do pracy w aparacie urzędniczym. Wiele spośród tych osób pozostawiło po sobie cenne świadectwa.

Czy mamy prawo zakładać, że części z nich praca w administracji mogła dawać poczucie względnego bezpieczeństwa i w tym sensie mogła być elementem strategii obliczonej na przetrwanie?

Jeśli nawet tak było w istocie, to tylko na początku. Życie w getcie brutalnie weryfikowało te wyobrażenia. Szybko okazywało się bowiem, że praca w administracji nie daje immunitetu. Wszyscy mieszkańcy getta byli więźniami. Zdecydowana większość urzędników, podobnie jak pozostali mieszkańcy „dzielnicę zamkniętej”, prędzej czy później została zamordowana w obozach zagłady



dr Adam Sitarek (ur. 1985) – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Łodzi oraz Centrum Badań Żydowskich Uniwersytetu Łódzkiego, członek Polskiego Towarzystwa Studiów Żydowskich, laureat tegorocznej Nagrody Historycznej „Polityki” w kategorii Najlepszy Debiut za książkę *Otoczone drutem państwo. Struktura i funkcjonowanie administracji żydowskiej getta łódzkiego* (2015)



Fot. Aleksandra Turska

w Chełmnie nad Nerem lub w Auschwitz-Birkenau bądź zginęła na skutek warunków panujących w getcie – głodu czy często wybuchających epidemii. Ocalała tylko nieliczna grupa.

Jakie największe trudności natrafił Pan w trakcie swoich badań?

Największą trudność, a jednocześnie wyzwanie, stanowiła trójjęzyczność zachowanej dokumentacji administracji żydowskiej getta. Zjawisko to zresztą jest kolejnym z fenomenów getta łódzkiego. Do przełomu 1941 i 1942 roku w oficjalnej wewnętrznej korespondencji i piarstwie urzędników getta dominował język polski. Później coraz częściej występował niemiecki. Z jednej strony spowodowała to polityka władz okupacyjnych, narzucająca stosowanie niemieckiego również w korespondencji wewnętrznej, z drugiej przyczyniło się do tego zasilenie kadr urzędniczych ludźmi deportowanymi do getta z miast Rzeszy i Protektoratu, m.in. ludzi pióra jak Oskar Singer czy Oskar Rosenfeld. Niezależnie od wspomnianych dwóch języków popularny był także jidysz, który był językiem ojczystym większości Żydów więzionych w getcie.

Jakie ma Pan plany naukowe na przyszłość?

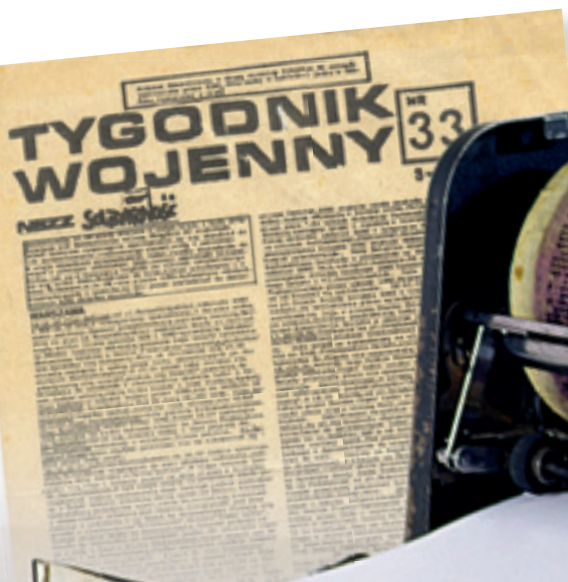
W mojej książce skupiłem się na odtworzeniu pewnej struktury – czyli dziejach poszczególnych urzędów, wydziałów, czy pojedynczych komórek, które razem składały się na niezwykle rozbudowaną sieć powiązań i zależności instytucjonalnych. Tylko jeden z rozdziałów poświęciłem postaciom zajmującym najwyższe stanowiska w hierarchii urzędniczej, a więc odgrywającym najważniejszą rolę w historii getta. I to właśnie historią ludzi zaangażowanych w działalność administracji getta chciałbym się teraz zająć. Nie zamierzam przy tym ograniczyć się tylko do szeroko rozumianych elit urzędniczych, lecz skupię swoją uwagę na osobach wywodzących się z grupy średniej i niższej kadry administracyjnej. Chciałbym, aby następna książka stała się czymś na kształt portretu zbiorowego urzędników getta łódzkiego. 📖

Rewolucja wolnego słowa

Bronią pokojowej rewolucji Solidarności nie były pistolety i karabiny, tylko powielacze – maszyny, które wypluwały z siebie setki kartek papieru zapisanych wolnym słowem i niezależną myślą – mówi **dr Jan Olszek**, autor książki *Rewolucja powielaczy*, w rozmowie z Przemysławem Gasztoldem-Seniem i Karoliną Wichowską

Książka o niezależnym ruchu wydawniczym w PRL powstała ponad ćwierć wieku od upadku komunizmu. Z jakiego powodu fenomen drugiego obiegu nie był wcześniej zauważany?

Polacy nie zdają sobie sprawy z tego, jak wyjątkowym zjawiskiem był drugi obieg wydawniczy. Historia Solidarności w ogóle przez pierwsze lata III RP nie cieszyła się dużym zainteresowaniem. Był to temat kojarzony ze sporami i konfliktami politycznymi. Częściowo jest tak do dzisiaj, ale badacze coraz



dr Jan Olszek (ur. 1985) – historyk, pracownik IPN, autor m.in. książki *Rewolucja powielaczy*, nagrodzonej tegoroczną Nagrodą Historyczną tygodnika „Polityka” w kategorii prac naukowych i popularnonaukowych



Fot. Paweł Sasanka

częściej podejmują tę problematykę. Nadal jednak zwłaszcza młode pokolenie Polaków bardzo mało wie o drugim obiegu i nie ma świadomości, że to, co wydarzyło się w ich kraju, nie miało odpowiednika na taką skalę w żadnym innym państwie bloku komunistycznego. Dlatego chciałem wyjść z tym tematem poza krąg kolegów badaczy i spróbować dotrzeć do szerszego grona czytelników.

Jak należy rozumieć tytuł książki? Czy powielacze zrewolucjonizowały drugi obieg?

Tytuł można rozumieć dwojako. Z jednej strony rzeczywiście powielacze zrewolucjonizowały działalność opozycji w PRL. Właśnie m.in. dzięki nim niezależny obieg wydawniczy w Polsce różnił się od samizdatu w innych państwach bloku sowieckiego, w których nielegalnie krążące teksty były po prostu przepisywane przez kolejnych czytelników w kilku egzemplarzach, więc siłą rzeczy krąg ich odbiorców był ograniczony. Tymczasem w Polsce pisma o największych nakładach – jak korowski „Robotnik” czy później „Tygodnik Mazowsze” lub „Z Dnia na Dzień” – drukowano w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy.

Z drugiej strony, jeżeli założymy, że Solidarność była rewolucją – to jest oczywiście temat wciąż dyskutowany przez historyków – to musimy przyjąć, że głównym polem działania rewolucjonistów był właśnie ruch wydawniczy. Rewolucja jest na ogół pojmowana jako działanie z użyciem siły i przemocy. Solidarność była ruchem *non violence*, czyli odcinającym się od przemocy. Bronią tej rewolucji nie były pistolety, granaty, karabiny, tylko właśnie powielacze – maszyny, które wypluwały z siebie setki kartek papieru zapisanych wolnym słowem i niezależną myślą. W państwie komunistycznym robiło to niesamowite wrażenie.

Czy możemy mówić o rewolucji świadomości, do której doprowadził drugi obieg?

Jednym z najważniejszych skutków powstania Solidarności była właśnie zmiana świadomości społecznej. Tu niezależny ruch wydawniczy odgrywał decydującą rolę. Dzięki niemu Polacy mieli możliwość zapoznać się z klasykami sowietologii, zagranicznej myśli politycznej i dziełami emigracyjnymi, które

w Polsce były niedostępne. Dzięki niezależnej prasie mogli na bieżąco dowiadywać się o rzeczywistej sytuacji w Polsce. To wszystko wpływało na obraz systemu, który wytwarzali sobie czytelnicy prasy. Odbiór treści opozycyjnych publikacji nie ograniczał się jednak tylko do bezpośrednich czytelników podziemnych czasopism i książek. Był znacznie szerszy dzięki Radiu Wolna Europa, na którego falach czytano fragmenty drugoobiegowych książek i omawiano niektóre czasopisma.

Dlaczego akurat w PRL drugi obieg przybrał masowy charakter?

Jesteśmy tutaj blisko pytania o naturę komunizmu w Polsce, o różnice między PRL a innymi państwami bloku wschodniego. Z pewnością podobny ruch wydawniczy nie miałby szans rozwinąć się w państwach tak represyjnych jak ZSRR, Czechosłowacja po Praskiej Wiośnie czy Rumunia pod rządami Nicolae Ceaușescu. Liberalizacja polityki wobec opozycji za rządów Edwarda Gierka miała znaczenie, ale nie jest to jedyny czynnik. Warto zwrócić uwagę na ogromny rozwój drugiego obiegu w stanie wojennym, kiedy PRL była państwem bardzo represyjnym. Rewolucja Solidarności spowodowała, że niezależny ruch wydawniczy stał się trwałym elementem tego systemu i stan wojenny nie był w stanie go wymazać.

Nie tylko represyjność systemu jest istotnym kontekstem tego zjawiska. W NRD, czyli państwie policyjnym inwigilującym obywateli na dużą skalę, wśród opozycji potrzeba tworzenia niezależnego słowa była mniejsza, bo dostępne były media Niemiec Zachodnich, do których opozycjoniści przekazywali swoje artykuły przez zagranicznych korespondentów. Węgry są jeszcze innym przypadkiem, bo tam zaakceptowany przez znaczną część społeczeństwa „gulaszowy socjalizm” spowodował, że działalność opozycji przybrała skromniejsze rozmiary.

Warto też wspomnieć o szczególnej roli polskiej emigracji. Mam na myśli przede wszystkim środowisko paryskiej „Kultury”. Również późniejsza emigracja – ta po Marcu '68 oraz ta z okresu stanu wojennego – aktywnie wspierała polski niezależny ruch wydawniczy. Także Kościół katolicki – szczególnie silny w Polsce – pomagał przemycać powielacze.

Wreszcie trzeba wspomnieć o pewnym sprzężeniu zwrotnym. Ponieważ niezależny ruch wydawniczy w Polsce był najprężniejszy, to automatycznie był też najbardziej wspierany przez Zachód, zwłaszcza Stany Zjednoczone, przez co stawał się jeszcze silniejszy.

W PRL ukazało się ponad 6,5 tys. drugoobiegowych wydań książek i ponad 5,5 tys. tytułów czasopism. Dla porównania – w ZSRR liczbę czasopism w samizdacie szacuje się na ok. 300, w kilku innych państwach bloku wydawano ich po kilkadziesiąt. Ale na przykład





Fot. Anna Pietusko/FORUM

► Zamaskowani na potrzeby zdjęcia drukarze prezentują powielacz napędzany elektrycznie

w Bułgarii ukazały się tylko dwa czasopisma w 1988 roku. Gdyby zebrać wydawnictwa (czasopisma i książki) we wszystkich tych państwach łącznie, byłoby ich znacznie mniej niż w PRL.

Jaka była strategia władz wobec niezależnego słowa?

Zmienna. W latach siedemdziesiątych stosunek do drugiego obiegu był pochodną postawy władz wobec opozycji w ogóle. Komuniści wtedy zdecydowali się na przeprowadzenie procesów politycznych i skazywanie opozycjonistów, a za-



miast tego starali się ich nękać. Zgodnie z tą taktyką drukarze i kolporterzy bywali aresztowani na 48 godzin, konfiskowano im sprzęt drukarski, zwalniano ich z pracy; zdarzały się też pobicia.

Ponadto Służba Bezpieczeństwa wprowadzała do środowiska opozycyjnego agentów – warto wspomnieć Pawła Miłkasa, który paraliżował działalność wydawniczą Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, czy Henryka Karkoszę, który podobną rolę odgrywał w krakowskim drugim obiegu.

W czasach legalnej Solidarności sposób postępowania władz nieco się zmienił, bo miały tyle problemów z samym związkiem zawodowym, że niezależny ruch wydawniczy pod parasolem związku był tolerowany. Następnie wszystko znowu zmienił stan wojenny. Wtedy za drukowanie, kolportaż, a nawet posiadanie bibuły można było trafić na kilka lat do więzienia. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych władze chyba się pogodziły z istnieniem drugiego obiegu i starały się ten ruch raczej kontrolować, niż dążyć do jego likwidacji. Efekty były różne. Były przypadki, że SB kontrolowała poszczególne wydawnictwa, wręcz inspirowała ich działalność. Przykładem jest wydawnictwo Rytm, kierowane przez Mariana Kotarskiego (w rzeczywistości: Pękalskiego), oficera kontrwywiadu PRL. Znamy też jednak spektakularne porażki SB, jak choćby nieudana próba znalezienia twórców „Tygodnika Wojennego” w latach 1982–1985.

Po amnestii 1986 roku władze w zasadzie zrezygnowały z represji karnych wobec opozycji, a jedną z głównych form zwalczania wolnego słowa stały się sankcje administracyjno-skarbowe, zwłaszcza konfiskowanie samochodów, którymi przewożono niezależne publikacje. Warto jednak przypomnieć, że opozycja znalazła na to sposób i założyła fundusz, z którego zwracano pieniądze za skonfiskowane mienie.

Kto był najbardziej narażony na komunistyczne represje: drukarze, kolporterzy czy autorzy tekstów?

Drukarze w razie wypadki byli łapani na gorącym uczynku i nie mieli żadnego wytłumaczenia. Kolporterzy, przemierzając miasto z plecakiem pełnym nielegalnych publikacji,

byli bardzo narażeni na zatrzymanie. Kiedy do niego dochodziło, czasem się tłumaczyli, że nie widzieli, co przewożą, ale represje w stanie wojennym były wobec nich surowe. Jeśli redaktorom prasy niezależnej udowodniono, że tworzyli te pisma – np. znaleziono u nich maszynopisy bądź rękopisy tekstów – to też mogli dostać wyrok kilku lat więzienia.

Z jakich środowisk wywodzili się uczestnicy niezależnego ruchu wydawniczego?

W dużej mierze był to ruch inteligencji, jeśli chodzi o sferę redagowania czasopism. Co więcej, wśród ludzi tworzących drugi obieg było wielu przedstawicieli elit naukowych czy kulturalnych. Należał do nich słynny reżyser Stanisław Bareja, który swoim maluchem przywiózł do Polski jeden z pierwszych powielaczy.

Jednocześnie wiele podziemnych biuletynów zakładowych tworzyli robotnicy. Wśród kolporterów i drukarzy byli ludzie o najróżniejszych profesjach i pochodzeniu. Można podać przykład słynnego drukarza Andrzeja Górskiego, wywodzącego się z rodziny robotniczej, bez wyższego wykształcenia, który współpracował z Maciejem Radziwiłłem, pochodzącym z rodu arystokratycznego. Dla rodziny Radziwiłła z kolei to było ważne wydarzenie, że słynny drukarz NOW-ej pojawił się w ich domu.

Twórcy niezależnego ruchu wydawniczego w PRL mogą się pochwalić sukcesami, wśród których chyba najbardziej spektakularnym było przeprowadzenie wywiadu z prezydentem Stanów Zjednoczonych Jimmym Carterem, który w 1977 roku przyjechał do Warszawy. Jak to się udało?

Wizyta prezydenta USA była dla opozycji szansą na zwrócenie uwagi zachodnich mediów na sytuację w Polsce. Uczestnicy Komitetu Obrony Robotników i ROPCiO nie tylko wysłali listy do Cartera, lecz także – w przypadku ROPCiO – chcieli wziąć udział w konferencji prasowej prezydenta. Adam Wojciechowski i Marian Piłka zgłosili akredytację jako przedstawiciele pism niezależnych – „Opinii” i „Bratniaka”. Ochrona ich nie wpuściła, ale udało im się przesłać telegram z pytaniami. Carter na konferencji zapowiedział, że odniesie się do tych pytań pisemnie. Jakiś czas później uczestnicy ROPCiO otrzymali jego odpowiedź, która wraz z pytaniami została opublikowana na łamach „Opinii”. Było to wydarzenie bez precedensu: pismo, które formalnie nie istniało, przeprowadziło wywiad z amerykańskim przywódcą. Mniej istotne były same odpowiedzi Cartera, który z jednej strony podkreślał znaczenie demokracji oraz przestrzegania praw człowieka, za drugiej zaś starał się nie zadrażniać stosunków z władzami PRL. Ważniejsza była symboliczna wymowa tego, że prezydent Stanów Zjednoczonych uznał znaczenie niezależnego ruchu wydawniczego w Polsce.



Fot. Marcin Jabłoński/zb. zbiorów Osrodka KARTA

► Konspiracyjna drukarnia NOW-ej; z lewej stoi Zenon Pałka, w głębi Konrad Bieliński

Z jakich wzorców korzystali uczestnicy drugiego obiegu?

Była to synteza dwóch tradycji. Pierwsza to ponadstuletnia historia niezależnego ruchu wydawniczego w Polsce, sięgająca Powstania Styczniowego, później „Robotnika” Józefa Piłsudskiego, jeszcze później konspiracyjnej prasy II wojny światowej. Czerpano z tej tradycji, choćby dzięki wykładom Władysława Bartoszewskiego o prasie podziemnej w okupowanej Polsce, które stały się inspiracją dla Janusza Krupskiego, Piotra

Jeglińskiego i Bogdana Borusewicza, prekursorów drugiego obiegu. Nawiązania do przeszłości widać w metodach tworzenia pism, symbolach, tytułach. Z drugiej strony ważną była tradycja sowieckiego i czeskosłowackiego samizdatu. Niezależny ruch wydawniczy lat siedemdziesiątych bardzo szybko przyjął formułę tajnego druku, ale podpisywania się swoimi nazwiskami, czyli występowania jawnego, tak jak sowieccy dysydenci. Połączenie dwóch tradycji stworzyło ten fenomen.

Jaką rolę odgrywał niezależny ruch wydawniczy w latach osiemdziesiątych?

Była to główna, a czasami wręcz jedyna forma działalności opozycyjnej. Prawie każdy, kto działał w podziemiu, coś drukował, kolportował albo redagował. Ten „długi marsz”, czyli przetrwanie solidarnościowej konspiracji, od stanu wojennego do 1989 roku, był możliwy dzięki niezależnemu ruchowi wydawniczemu. On dawał możliwość zaangażowania się właściwie wszystkim, zarówno pisarzowi, który przygotowywał tekst do niezależnego czasopisma, zawodowemu opozycjonistcie, który mógł poświęcać drukowaniu całe dni, jak i starszej pani, która popierała Solidarność i udostępniała mieszkanie redakcji, lub matce z dzieckiem, która nie miała czasu na większe zaangażowanie, ale raz w tygodniu mogła przenieść paczkę z częścią nakładu czasopisma z punktu A do punktu B lub przewieźć bibułę w wózku. To był ruch bardzo inkluzywny.

Czy można było zarobić na niezależnych publikacjach?

To się zmieniało. Była to ciężka praca, której trzeba było poświęcić sporo czasu, często w nocy, dlatego jeszcze w latach siedemdziesiątych postanowiono płacić drukarzom. Z czasem, w latach osiemdziesiątych, niektórzy kolporterzy też zaczęli pobierać procent od sprzedanych egzemplarzy. Pisma stały się płatne, a kolporter rozpowszechniając je, podejmował ryzyko. Również redaktorzy najważniejszych pism podziemnych dostawali pensje. Trzeba dodać, że byli to ludzie, którym władze PRL albo nie pozwalały pracować, albo którzy nie byli w stanie pracować, bo byli tak mocno zaangażowani w działalność podziemną. Warto wspomnieć książkę Mateusza Falkowskiego *Biznes patriotyczny*, przedstawiającą filozofię działania Czesława Bieleckiego, który przekonywał, że niezależne wydawnictwa nie mogą być jedynie grupą polityczną robiącą coś dobrego, ale powinny być też sprawnie działającą firmą. To była filozofia dużych wydawnictw, w których starano się płacić. Trzeba jednak pamiętać o małych inicjatywach, gdzie kilka osób powiełało jakieś pisma na niewielką skalę i nie dostawało za to pieniędzy.

Twórcy drugiego obiegu wciąż starali się usprawniać swoją pracę. Jakie mieli sposoby?

Można przypomnieć historię Adama Kerstena – jednej z barwniejszych postaci drugiego obiegu lat siedemdziesiątych. Ponieważ zmarł w 1983 roku, to czasem zapomina się o jego

dorobku opozycyjnym, ale zostawił po sobie pewien ślad. Był twórcą wydawnictwa NOW-a 2 i jednym z jego osiągnięć było spopularyzowanie metody ulepszania farby drukarskiej przez dodawanie do niej pasty do prania Komfort lub pasty BHP do mycia rąk. Temu właśnie zawdzięczał swój pseudonim „Lord Komfort”. Takich pozornie drobnych wynalazków, które miały rewolucyjne znaczenie, było więcej. Ciekawa jest też historia Witolda Łuczywy, który zrewolucjonizował używanie ramki, czyli najprostszej maszyny drukarskiej ręcznej roboty. Początkowo do jej obsługi były niezbędne trzy osoby. Pewnego dnia, gdy Łuczywo miał drukować „Robotnika”, jedna z osób nie przyszła, a była potrzebna do podnoszenia ramki w górę, żeby wyjąć kartkę. Wówczas Łuczywo zaczął się zastanawiać, jak zastąpić nieobecnego, i wpadł na pomysł wykorzystania gumki od majtek, którą zawiązał na ramce i żyrandolu – i ona sama odsłaniała.

Czy opozycyjne doświadczenie uczestników drugiego obiegu znalazło odzwierciedlenie w ich losach w III RP?

Część tych ludzi trwale związała się z dziennikarstwem i ruchem wydawniczym, część nie odnalazła się w nowej sytuacji, co często wynikało z wyrwy w życiorysie, którą była działalność opozycyjna. Jeszcze inni wcale nie chcieli być drukarzami czy dziennikarzami i kiedy Polska odzyskała suwerenność, poświęcili się innym zajęciom. Najlepszym przykładem jest Krystyna Starczewska, która była redaktorką podziemnego pisma „KOS”, a w wolnej Polsce założyła pierwsze liceum społeczne w Warszawie przy ul. Bednarskiej i wiele lat była jego dyrektorką. Wielu ludzi do zaangażowania się w opozycję zmusiła sytuacja, a później wrócili do swojego życia. Udział w tym ruchu formował jednak elity. Na łamach mojej książki przewijają się nazwiska przedstawicieli mediów, ministrów, premierów i prezydentów, którzy wcześniej tworzyli enklawy wolnego słowa.

Twoja książka została uhonorowana Nagrodą Historyczną tygodnika „Polityka” – jaki jest przepis na zwycięską pracę?

Wydaje mi się, że wielu innych autorów bardziej zasłużyło na tę nagrodę, więc odpowiem raczej, na co zwracałem uwagę podczas pisania. Chociaż korzystałem m.in. z materiałów zebranych do mojego doktoratu, postanowiłem trochę odejść od zasad tworzenia pracy *stricte* naukowej, przeznaczonej tylko dla specjalistów. Staralem się pisać tę książkę w taki sposób, żeby spełniała wymogi warsztatu naukowego, a jednocześnie była zrozumiała dla wszystkich. Chciałem, żeby obok poważnych analiz znalazły się również historie bardziej anegdotyczne, które opisywałyby barwne zjawisko i pokazywały koloryt tamtych czasów. Może nie udało mi się sprawić, że czytelnik poczuje zapach pasty Komfort czy usłyszy stukot powielacza, ale chciałem, żeby chociaż trochę mógł zasmakować atmosfery pracy konspiracyjnych redaktorów, drukarzy i kolporterów. 🍀

Głosowanie w cieniu represji

Michał Siedziako

Pierwsze powojenne głosowanie powszechne, w którym wzięli udział Polacy, nie miało, wbrew jałtańskim ustaleniom tzw. wielkiej trójki, nic wspólnego z wyborami ani tym bardziej nie było „wolne i nieskrępowane”.

Komuniści, przejmując władzę w Polsce po II wojnie światowej, doskonale zdawali sobie sprawę z tego, jak nikła jest ich popularność w społeczeństwie. Swoją siłę zawdzięczali przede wszystkim poparciu Stalina i przebywających w Polsce zbrojnych formacji sowieckich. W interesie liderów Polskiej Partii Robotniczej było zatem maksymalne opóźnienie terminu wyborów parlamentarnych. O tym, że prawdziwie demokratyczna elekcja może zakończyć się ich porażką, świadczył przykład Węgier. Jesienią 1945 roku wybory parlamentarne wygrała tam Niezależna Partia Drobnych Rolników, której odpowiednikiem w Polsce było Polskie Stronnictwo Ludowe Stanisława Mikołajczyka.

Początkowo liderzy PPR próbowali grać na czas, wysuwając koncepcję wspólnego bloku wyborczego wszystkich działających legalnie stronnictw politycznych. Gdyby do tego doszło, podział mandatów w przyszłym sejmie zostałyby dokonany zawczasu, i to w taki sposób, że usankcjonowano by dominację komunistów i ich „sojuszników” z Polskiej Partii Socjalistycznej, Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego. Układu sił nie mógł zmienić sojusz PSL z chadeckim Stronnictwem Pracy Karola Popiela, które już wkrótce komuniści mieli rozbić od wewnątrz. Choć Mikołajczyk przystąpił do rozmów, przedstawił żądania na tyle wygórowane (zapewnienia przed-

► Kolejka do głosowania przed lokalem wyborczym





Fot. PAP/Jerzy Baranowski

► Uczestnicy głosowania wrzucają karty do urny

stawicielom wsi 75 proc. mandatów poselskich), że negocjacje zostały szybko zerwane. Jednocześnie podsunął jednak komunistom pomysł na wyjście z sytuacji. Wspomniał mianowicie o Francji, gdzie w październiku 1945 roku odbyło się referendum konstytucyjne, i przekonywał, że także Polacy powinni uzyskać możliwość wypowiedzenia się na temat planowanych zmian ustrojowych. Postulat ten, początkowo zignorowany, został powtórzony w oficjalnym stanowisku Naczelnego Komitetu Wykonawczego PSL w lutym 1946 roku. Podchwycili go wówczas socjaliści. Szybko przypadł też do gustu liderom PPR, co przesądziło organizację „głosowania ludowego”, którego termin wyznaczono na 30 czerwca 1946 roku.

Polacy mieli ustosunkować się do następujących pytań: „1) Czy jesteś za zniesieniem Senatu?, 2) Czy chcesz utrwalenia w przyszłej konstytucji ustroju gospodarczego zaprowadzonego przez reformę rolną i unarodowienia podstawowych gałęzi gospodarki krajowej z zachowaniem ustawowych uprawnień inicjatywy prywatnej?, 3) Czy chcesz utrwalenia zachodnich granic Państwa Polskiego na Bałtyku, Odrze i Nysie Łużyckiej?”. Zostały one skonstruowane

w taki sposób, aby „trzy razy tak”, zgodnie z wezwaniem komunistów, mogli odpowiedzieć zarówno ich zwolennicy, jak i przeciwnicy. Stawiało to w trudnej sytuacji PSL, które musiało się odróżnić w kampanii przedreferendalnej od PPR. Negatywny stosunek do senatu był częstokroć podnoszony przez ludowców jeszcze w okresie II Rzeczypospolitej. Jako partia chłopska nie mogli sprzeciwić się reformie rolnej. Negatywna odpowiedź na trzecie pytanie stała z kolei w oczywistej sprzeczności z polską racją stanu. Ostatecznie ludowcy zdecydowali się na otwartą konfrontację z komunistami, wzywając swoich zwolenników do głosowania przeciwko zniesieniu dwuizbowości parlamentu. Do głosowania wbrew agitacji PPR nawoływały także konspiracyjne organizacje i grupy niepodległościowe, co dawało komunistom dodatkowy pretekst do represji skierowanych przeciwko ludowcom, oskarżanym o współpracę z nielegalnym podziemiem.

„Chłopie, pamiętaj, wróg nie drzemie...”

Najbardziej widoczną częścią kampanii przedreferendalnej była zakrojona na ogromną skalę akcja propagandowa

PPR i jej „sojuszników”, w której brały udział zdominowane przez komunistów struktury państwowe. Polskę dosłownie zalały różnego rodzaju materiały propagandowe. Z samolotów zrzucano ulotki, z murów i płotów krzyczały hasła mające przekonać odbiorców, że wyrazem polskości będzie tylko głosowanie „trzy razy tak”: „Jesteś Polakiem – powiedz tak”, „Trzy razy tak – Niemcom nie w smak”, „TAK to polskości twojej znak”. Inne odwoływały się do negatywnych emocji, miały wzbudzać strach przed domniemanymi konsekwencjami głosowania „nie” – „Chłopie, pamiętaj, wróg nie drzemie, wróg chce odebrać twoją ziemię”, „Każde »nie« Polaka to »tak« dla niemieckich dążeń odwetowych, to »tak« dla protektorów Niemiec”.

Podstawową formą agitacji bezpośredniej prowadzonej przez komunistów były różnego rodzaju zebrania (tzw. masówki) i wiece, urządzone nawet w najmniejszych miejscowościach. Według danych Ministerstwa Informacji i Propagandy, w całym kraju odbyło się ich łącznie przeszło 28,5 tys. Do ludzi w domach miały z kolei docierać specjalne grupy i brygady agitacyjne. Szczególną wagę przywiązywano do przekonania do głosowania „trzy razy tak” mieszkańców wsi. Do agitacji na wieś kierowano urzędników i robotników z dużych przedsiębiorstw miejskich. W masowej akcji propagandowej nie mogło zabraknąć mediów. Ważną rolę odgrywały prasa oraz radio, w którym treści polityczne przekazywano w audycjach w różnorodnych formach, także *quasi*-rozrywkowych, wierszem i piosenką.

W kampanię poprzedzającą referendum zaangażowano także wojsko, które, poza walką z podziemiem niepodległościowym oraz ochroną instytucji organizujących głosowanie, brało udział w agitacji. Prowadzono ją przede wszystkim przez organizację wieców, kolportaż materiałów oraz rozmowy (także w najmniejszych miejscowościach, podczas gdy propaganda partyjna była prowadzona głównie w miastach i większych wsiach). Zdobyciu zaufania ludzi miało służyć włączanie

się żołnierzy do różnego rodzaju prac: robót polowych, odbudowy zniszczonych zabudowań czy dróg.

Ubeckie metody

Propaganda stanowiła tylko jeden z elementów kampanii przedreferendalnej. Drugim była szeroko zakrojona działalność aparatu represji. W miesiącach poprzedzających głosowanie komuniści rozwinęli na dobre walkę ze stronnictwem Mikołajczyka, ukierunkowaną na usunięcie niezależnego ugrupowania ludowego z polskiej sceny politycznej.

Najpowszechniejszą formą represji wobec działaczy PSL były aresztowania, najczęściej pod zarzutami prowadzenia agitacji przeciwko głosowaniu „trzy razy tak”, lżenia komunistów i Związku Sowieckiego, niszczenia materiałów propagandowych PPR i partii z nią współpracujących lub wspomnianych kontaktów z podziemiem. Przed głosowaniem powiatowe urzędy bezpieczeństwa publicznego na polecenie ministerstwa przygotowały specjalne listy osób, które miały zostać aresztowane „prewencyjnie”. W poszczególnych powiatach znalazło się na nich od kilku do kilkudziesięciu osób. W oficjalnym proteście władz PSL przeciwko nadużyciom w kampanii, wystosowanym 9 lipca 1946 roku, wskazano imiennie 268 członków stronnictwa aresztowanych w czerwcu, zaznaczając, że nie jest to pełna lista osób pozbawionych wolności, których liczbę w samym województwie poznańskim szacowano na 3 tys.

Zamykanie w aresztach nie było jedyną metodą zwalczania ludowców. Do innych należały zwolnienia z pracy, konfiskaty mienia czy pobicia. Znane są także przypadki zabójstw osób związanych ze stronnictwem, które miały miejsce jeszcze przed oficjalnym początkiem kampanii referendalnej, kiedy toczyły się rozmowy w sprawie utworzenia bloku sześciu stronnictw. Do morderstwa doszło np. we wsi Olszowiec w Lubelskiem, gdzie funkcjonariusze UB zastrzelili Zygmunta Jakubiaka, jednego z uczestników spotkania Koła Młodzieży Wiejskiej „Wici”. Wskutek odniesionych obrażeń zmarł także Edward

Czuchajewski, którego podczas przesłuchań w PUBP w Kraśniku bito żelaznym prętem i rażono prądem elektrycznym.

Represje dotyczyły nie tylko pojedynczych członków PSL. Wykorzystując najczęściej jako pretekst podejrzenie o współpracę z nielegalnym podziemiem, dokonywano rewizji w siedzibach ugrupowania, podczas których dochodziło do konfiskaty legalnych materiałów propagandowych. Zaostrzono także cenzurę wobec wydawnictw stronnictwa. W wielu miejscowościach (m.in. w Augustowie, Suwałkach, Pułtusku, Szczecinku, Gryfinie, Sławnie, Giżycku) władze zdelegowały struktury powiatowe partii.

Tuż przed referendum, 27 czerwca, z inspiracji komunistów powstała konkurencyjna wobec ugrupowania Mikołajczyka partia polityczna – PSL „Nowe Wyzwolenie”. Jej założycielami byli działacze o nastawieniu prokomunistycznym, wykluczeni z właściwego PSL, na czele z Tadeuszem Rekiem. Umożliwienie jego stronnikom legalnego działania było elementem peeperowskiej strategii rozbijania niezależnego ruchu ludowego, realizowanej wszelkimi dostępnymi metodami.

Represjom wobec PSL towarzyszyły różne formy zastraszania szerszych kręgów społeczeństwa. Nakłonić ludzi do głosowania „trzy razy tak” miały groźby aresztowań czy konfiskaty mienia, zdarzały się przypadki pobic i zwolnień z pracy osób kolportujących opozycyjne ulotki. W maju i czerwcu w całym kraju przeprowadzono szeroko zakrojone „akcje pacyfikacyjne”, oficjalnie skierowane przeciwko nielegalnemu podziemi. W rzeczywistości najczęściej chodziło o zademonstrowanie siły organów bezpieczeństwa i wzniesienie wśród ludzi poczucia zagrożenia. Tragiczną w skutkach była akcja przeprowadzona przez funkcjonariuszy UB we wsi Wąwolnica – zginęły trzy osoby, spalono 101 domów oraz kilkaset budynków gospodarczych.

Pułkownik Pałkin liczy głosy

Komuniści zawczasu podjęli także przygotowania do sfalszowania wyników głosowania. Miała temu służyć tendencyjna

obsada personalna organów odpowiadających za przeprowadzenie referendum – okręgowych i obwodowych komisji oraz aparatu Generalnego Komisarza Głosowania Ludowego, który nadzorował prace w terenie za pośrednictwem swoich inspektorów. Komuniści przy konstruowaniu składu tych gremiów wykorzystywali swoją dominację w strukturach państwowych – właściwie decyzje zapadały więc w komitetach PPR i urzędach bezpieczeństwa.

Aby pomóc w przeprowadzeniu fałszerstwa, 20 czerwca 1946 roku na prośbę prezydenta Krajowej Rady Narodowej ▶

▶ Przywódca PSL Stanisław Mikołajczyk w lokalu wyborczym



Bolesława Bieruta do Warszawy przybył płk Aron Pałkin, naczelnik samodzielnego Wydziału „D” w Ministerstwie Bezpieczeństwa Państwowego (MGB) Związku Sowieckiego, zajmującego się ekspertyzami i fałszowaniem różnego rodzaju dokumentów. Wspólny plan działania ustalono 22 czerwca na spotkaniu w gronie: Pałkin, Bierut, sekretarz generalny PPR Władysław Gomulka i Siemion Dawydow – doradca MGB w Polsce. Do jego realizacji do Warszawy przybyła grupa funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa Związku Sowieckiego, którzy pracowali w Polsce aż do 27 sierpnia.

Głosowanie nie obyło się bez incydentów. Już w nocy z 29 na 30 czerwca doszło do kilkudziesięciu starć między oddziałami podziemia niepodległościowego a komunistycznym wojskiem i funkcjonariuszami UB. Zdarzały się napady na lokale wyborcze i urzędujących w nich członków komisji. Dochodziło także do awantur z udziałem ludzi domagających się udziału w głosowaniu, którzy zostali z premedytacją wykreślani z list wyborczych ze względu na „wrogą” postawę polityczną. Roszczenia te nie były jednak uwzględniane. Z drugiej strony stosowano różnego rodzaju formy nacisku mające na celu osiągnięcie jak najwyższej frekwencji: grupy osadników kierujących się na przejęte przez Polskę ziemie poniemieckie przymuszano do zbiorowego oddawania głosów, czym warunkowano umożliwienie dalszej podróży; organizowano darmowe środki transportu dla osób zamieszkałych w dużej odległości od lokali wyborczych, chorych i starszych; opornych mieszkańców wsi do udziału w referendum zmuszano groźbami i siłą. Władze naciskały na oddawanie głosów jawnie i bez wpisywania odpowiedzi – czyste karty były bowiem uznawane za głosy „trzy razy tak”, co było znacznym ułatwieniem przy manipulacjach wynikami. Częstym widokiem przed lokalami wyborczymi były kolejki, które tworzyły się, kiedy ludzie szli do głosowania bezpośrednio po nabożeństwach. Innymi powodami zatorów były zbiorowe głosowania całych wsi pod przewodnictwem

sołtysów czy nieefektywna praca komisji. Frekwencja była bowiem w istocie bardzo wysoka, co niekiedy zaskakiwało nawet władze, jej poziom był jednak różny w poszczególnych regionach. Najniższa frekwencja, według danych UB, była w województwach: lubelskim, białostockim, rzeszowskim, krakowskim, niektórych rejonach Warszawy i w Katowicach; odsetek głosujących wyższy niż w miastach był na terenach wiejskich.

W dniu referendum komuniści kontynuowali zarówno działalność propagandową, jak i represje wobec przeciwników politycznych. Nie licząc członków komisji, 30 czerwca aresztowano dalszych 400–500 osób, głównie członków PSL, którym zarzucano niszczenie materiałów propagandowych nawołujących do głosowania „trzy razy tak”, kolportaż własnych ulotek i „propagandę szeptaną”. Pretekstem do zatrzymań była również sama obserwacja głosowania. Aresztowania dotknęły także ok. 210 członków komisji obwodowych, wielu innych zmuszono do opuszczenia lokali wyborczych po zakończeniu głosowania.

Działania te miały ułatwić przeprowadzenie fałszerstw, które rozpoczęto już na szczeblu obwodów, podczas liczenia głosów. Nie wszędzie, ze względu na obecność przedstawicieli opozycji, takie praktyki były możliwe, dalszych manipulacji dopuszczano się więc w siedzibach powiatów, gdzie fabrykowano dokumentację komisji obwodowych. W fałszowaniu wyników na szczeblu centralnym uczestniczyli wspomniani funkcjonariusze MGB. Według rosyjskiego badacza Nikity Pietrowa, sfalszowano w ten sposób 6 tys. protokołów głosowania w obwodach, podrabiając przy tym ok. 40 tys. podpisów. Sowietci fabrykowali dokumenty, których nie zdążyli podrobić Polacy. Fałszerstwa przebiegały więc wielopłaszczyznowo, a ich skala była ogromna.

„Leć pan na skargę do Churchilla”

Według oficjalnego ogłoszenia Generalnego Komisarza Głosowania Ludowego, opublikowanego dopiero 12 lipca 1946 roku w „Monitorze Polskim”,

na 13 160 451 uprawnionych do głosowania w referendum miało wziąć udział 11 857 986 osób, w tym odpowiadając „tak” na pierwsze pytanie – 7 844 522 (66,15 proc.), na drugie – 8 896 105 (75,02 proc.), na trzecie – 10 534 697 (88,84 proc.). Niemniej komuniści, zainteresowani rozpoznaniem rzeczywistych nastrojów społeczeństwa przed przyszłymi wyborami do sejmu, gromadzili także prawdziwe dane. Spływały one m.in. na biurko Bieruta, żywo zainteresowanego przebiegiem głosowania. W pozostawionej po nim kolekcji dokumentów, przechowywanej obecnie w Archiwum Akt Nowych, można odnaleźć wyniki głosowania, które należy uznać za najbardziej zbliżone do rzeczywistości (nie obejmują one jedynie 182 obwodów zamkniętych, w których głosowało 165 400 osób, a więc tylko 1,4 proc. ogółu głosujących w kraju). Dokumentacja ta ujrziała światło dzienne dopiero w latach dziewięćdziesiątych, kiedy opublikował ją prof. Andrzej Paczkowski. Wynika z niej, że istotnie zdecydowana większość Polaków (11 691 500 na 12 971 978 uprawnionych) wzięła udział w głosowaniu, odpowiadając jednak na pytania inaczej, niż chcieliby tego przywódca PPR. Na pytanie pierwsze „tak” odpowiedziało bowiem zaledwie 26,9 proc., na drugie – 42 proc., na trzecie zaś 66,9 proc. głosujących, przy czym trzykrotnej odpowiedzi „tak” udzieliło 26,9 proc., jeden raz „nie”, dwa razy „tak” – 14,9 proc., dwa razy „nie”, jeden raz „tak” – 25,1 proc., trzy razy „nie” – 33,1 proc.

Oficjalnie od danych z całego kraju istotnie różniły się jedynie wyniki głosowania w Krakowie, według których na pierwsze pytanie „nie” odpowiedziało 84 proc. głosujących, na drugie – 59 proc. oraz na trzecie – 30 proc. Po latach Jakub Berman, jeden z przywódców PPR, na pytanie dziennikarki Teresy Torańskiej, dlaczego dla Krakowa władze podały prawdziwe wyniki referendum, odparł, że „prawdopodobnie napięcie opozycyjności było tam większe niż w innych ośrodkach”. Dla komunistów zapewne był to po prostu „wypadek przy pracy”.

Po ogłoszeniu sfałszowanych wyników głosowania w kierowniczych gremiach PSL nastąpiła dezorientacja. Żadnych wymiernych efektów nie przyniósł protest złożony przez władze stronnictwa na ręce Generalnego Komisarza Głosowania Ludowego, w którym opisywano konkretne przypadki nadużyć i łamania prawa w okresie przed i w trakcie referendum.

Zdezorientowane były także władze PPR, znając prawdziwe wyniki, zaskoczony rozmiarami swojej klęski. Gomułka na posiedzeniu rządu 5 lipca 1946 roku miał jednak arogancko odpowiedzieć Mikołajczykowi, protestującemu przeciwko działaniom podejmowanym przez komunistów: „Leć pan na skargę do Churchilla”. Tymczasem władze Wielkiej Brytanii i USA, na których poparcie w istocie liczył Mikołajczyk,

ograniczyły się do złożenia rządowi polskiemu not dyplomatycznych, w których niejako odcięto się od sprawy referendum, postulując przeprowadzenie w Polsce wyborów, w których wszystkie legalnie działające partie będą mogły swobodnie prowadzić kampanię wyborczą. Noty, za radą samego Stalina, zostały uznane przez rząd w Warszawie za „wtrącanie się w wewnętrzne sprawy Polski” i nie pociągnęły za sobą żadnych konsekwencji.

Głosowanie 30 czerwca 1946 roku stanowiło swoistą próbę sił między komunistami, dążącymi do ustanowienia w Polsce systemu politycznego polegającego na dominacji jednej partii, a działającą legalnie opozycją (taka była faktycznie rola PSL Mikołajczyka, mimo obecności jego przedstawicieli w Tymczasowym Rządzie Jedności

Narodowej). Znając prawdziwe wyniki głosowania, liderzy PPR dowiedzieli się, gdzie poparcie dla opozycji jest największe i na jakich terenach narzucenie ich władzy wymaga szczególnych środków i wysiłków. Kampania przedreferendalna pozwoliła również komunistom na przeciwczenie metod, które miały być przydatne w przyszłości, w tym sposobów walki z przeciwnikami politycznymi oraz manipulacji i fałszerstw. Wykorzystali je już kilka miesięcy później, w kampanii wyborczej i wyborach do Sejmu Ustawodawczego w styczniu 1947 roku, a niektóre z nich na stałe wpisały się do katalogu peerelowskich praktyk wyborczych, stosowanych przez blisko pół wieku. ■

Michał Siedziako – politolog, pracownik Oddziału IPN w Szczecinie, zajmuje się m.in. wyborami, opozycją demokratyczną i Kościołem katolickim w PRL

► Sklepik z różnościami w oficynie zburzonej kamienicy przy skrzyżowaniu Krakowskiego Przedmieścia z Nowym Światem i ul. Świętokrzyską; nad wejściem napis z czasów referendum; Warszawa, październik 1947 roku



Hańba, towarzysze,
pod waszym adresem,

czyli listy w sprawie Czerwca '56

Grzegorz Majchrzak

Przed sześćdziesięciu laty doszło do buntu robotników Poznania. W „czarny czwartek” 28 czerwca zginęło kilkadziesiąt osób. Wbrew peerelowskiej propagandzie Poznański Czerwiec niemal natychmiast przeszedł do ogólnonarodowej legendy. Doskonale oddają to listy zwykłych obywateli.

Rankiem 28 czerwca 1956 roku pracy nie podjęli robotnicy Zakładów im. Józefa Stalina w Poznaniu ZISPO (obecnie H. Cegielski Poznań S.A.), którzy wyszli na ulice. Przyłączyli się do nich pracownicy Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego i innych zakładów ze stolicy Wielkopolski, a potem kolejne, często przypadkowe osoby. Początkowo protestowało kilka tysięcy ludzi, jednak liczba manifestantów rosła z każdą godziną – pod siedzibą Miejskiej Rady Narodowej zgromadziło się już ok. 100 tys. – co trzeba dodać – spokojnych ludzi. Wyłoniona z demonstrantów delegacja udała się na rozmowy z przewodniczącym prezydium

MRN Franciszkiem Frąckowiakiem. Żądano (oczywiście bezskutecznie) przyjazdu premiera Józefa Cyrankiewicza lub I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR Edwarda Ochaba.

„Czarny czwartek”

Z czasem wzrastało zdenerwowanie zgromadzonych. Demonstranci dostali się do gmachu Komitetu Wojewódzkiego PZPR i Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej, które po „zwiedzeniu” opuścili. Po rozejściu się nieprawdziwej pogłoski o aresztowaniu delegatów ZISPO, którzy wcześniej wrócili ze stolicy, część demonstrantów ruszyła do więzienia przy ul. Młyńskiej,

aby ich uwolnić. W tym samym czasie kolejna grupa zniszczyła urządzenia służące do zagłuszania zachodnich audycji radiowych, zrzucając je z dachu budynku Zakładu Ubezpieczeń Społecznych.

Jeszcze przed południem doszło do szturm na więzienie. Po jego zdobyciu (władze więzienne nie zdecydowały się na użycie broni) uwolniono wszystkich więźniów. Zostały również splądrowane budynki sądu wojewódzkiego i prokuratury. W tym samym czasie rozpoczęły się starcia przed gmachem Wojewódzkiego Urzędu ds. Bezpieczeństwa Publicznego przy ul. Kochanowskiego, dokąd protestujący się udali, aby uwolnić rzekomo aresztowanych delegatów. Demonstrantów obłano wodą, na co odpowiedzieli kamieniami. Wówczas z budynku padły strzały, zginęły pierwsze osoby. Atmosferę dodatkowo podgrzały in-



Zeskanuj kod i pobierz broszurę o Poznańskim Czerwcu

POZNAŃSKI
CZERWIEC '56

formacja, że ubecy mordują kobiety i dzieci, oraz towarzysząca jej pogłoska, że strzelają Sowietci przebrani w polskie mundury. Demonstranci, którzy zdobyli broń w więzieniu lub w komendach milicji, zaczęli ostrzeliwać budynek WUBP, inni obrzucali go butelkami z benzyną.

Władze zdecydowały się na użycie wojska – ok. 10 tys. żołnierzy, ponad 400 czołgów, wozów pancernych i transporterów opancerzonych oraz niemal 900 samochodów. To oczywiście spowodowało znaczne straty wśród demonstrantów. Do dziś liczba ofiar śmiertelnych pozostaje kwestią sporną. W każdym razie – według ustaleń prokuratorów IPN – śmierć poniosło co najmniej 58 osób (w tym trzech funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa, czterech żołnierzy Wojska Polskiego oraz funkcjonariusz MO). Zginęły głównie osoby młode. Najmłodszym zabitym był trzynastoletni Romek Strzałkowski, który stał się symbolem Poznańskiego Czerwca 1956.

Mimo użycia znacznych sił i środków oraz wprowadzenia (jeszcze 28 czerwca wieczorem) godziny milicyjnej, starcia trwały do następnego poranka, a strzały było słychać jeszcze 30 czerwca do późnych godzin nocnych.

Oczywiście, władze próbowały zrzuć z siebie winę za zaistniałą sytuację. W pierwszym komunikacie wyemitowanym w Polskim Radiu winą obarczono „agenturę imperialistyczną i reakcyjne podziemie”. Miały one rzekomo „starać się wykorzystać trudności ekonomiczne i bolączki w niektórych zakładach Poznania dla sprowokowania wystąpień przeciwko władzy ludowej”. Jak stwierdzano, „rozruchy [...] miały charakter szeroko zakrojonej i starannie przygotowanej akcji prowokacyjno-dywersyjnej”. Zapowiedziano też „ukaranie z całą surowością prawa” ich sprawców. Wtedy też po raz pierwszy użyto w tym kontekście terminu „wypadki poznańskie”. Z czasem władze zmieniły sposób przedstawiania i interpretowania Poznańskiego Czerwca. Pojawiła się teoria dwóch nurtów: robotniczego rozgoryczenia i niezadowolenia oraz wrogiego wystąpienia przeciwko ludowej władzy. Obowiązywała ona przez kilka kolejnych miesięcy, aż do powrotu do wła-

Wszyscy Polacy wstrząśnięci jesteśmy i wzruszeni bohaterstwem naszych braci z Poznania.

dzy Władysława Gomułki. Zaczęto wtedy głosić, że protest robotniczy był słuszny, ale skierowany nie przeciwko władzy, tylko „błędom i wypaczeniom”.

Listy „z pozycji wrogich”

Poznański bunt stał się oczywiście głównym tematem rozmów i dyskusji w całym w kraju, o czym świadczą chociażby dokumenty aparatu bezpieczeństwa. Jednak za najlepszy probierz stosunku Polaków do Poznańskiego Czerwca można chyba uznać listy nadsyłane do Polskiego Radia. Jak informował podczas obrad VII Plenum KC PZPR (18–28 lipca 1956 roku) przewodniczący Komitetu ds. Radiofonii „Polskie Radio” Włodzimierz Sokorski, z ok. 2 tys. listów dotyczących Czerwca ’56, które zostały nadesłane do radia, jedynie 10 proc. zawierało potępienie poznańskiego buntu i jego uczestników, podczas gdy aż 80 proc. – oskarżenie pod adresem władz „o bezdusność, biurokrację, defensywność”. Ponadto kolejnych 10 proc. było pisanych „z pozycji wrogich”.

Niestety korespondencja nie zachowała się w oryginale. Na szczęście dysponujemy tworzonymi na jej podstawie „Biuletynami” oraz „Biuletynami Specjalnymi”, w których ujmowano jedynie niektóre, starannie wybrane listy. Były one przygotowane dla stałego, ściśle ograniczonego kręgu odbiorców, na czele z I sekretarzem KC PZPR. Całkiem niezłe oddają one ówczesny sposób postrzegania wydarzeń, które rozegrały się w stolicy Wielkopolski.

Powszechne było poparcie dla robotników poznańskich. „Stały słuchacz »Fali 49«” (główniej audycji propagandowej w tym okresie) stwierdził: „Naprawdę dumam i radość rozpięra serca nasze, że nareszcie znalazł się ktoś w Polsce, kto potrafił uzewnętrznić bolączkę całej klasy robotniczej [...]. Listem tym, wraz z całą załogą naszych zakładów, przyłączam

się do naszych bohaterów z Poznania”. „Piotrkowianka” pisała: „Wszyscy Polacy wstrząśnięci jesteśmy i wzruszeni bohaterstwem naszych braci z Poznania. [...] My, Polacy, potrafimy wyciągnąć z tego powstania nauki na przyszłość. Poznaniacy wskazali nam drogę, którą należy kroczyć aż do zwycięstwa!”. Natomiast „Prawdziwa Polka” wyrażała nadzieję, że „strajk w Poznaniu to pobudka i otucha dla wszystkich gnębionych przez komunę Polaków”. „Odnosnie co do wypadków poznańskich, to tylko jest jeden błąd, że nie nastąpiły one wszędzie i jednocześnie, bo cóż nam pozostało, gdy zostaliśmy doprowadzeni głodowymi placami na brzeg przepaści” – można przeczytać w liście „Byłego działacza społecznego” z Błonia.

„Brat strajkujących robotników w Poznaniu” słusznie zauważył: „Nasze pokolenie po wieki będzie uczyć się historii, że we krwawy czwartek 28.VI.1956 r. połała się krew na poznańskim bruku (od zdrajców narodu polskiego) – krew niewinna, krew robotników w kombinezonach, żądających chleba dla swych rodzin, dla swych małych dzieci. Tej zbrodni nie zetrą w pamięci społeczeństwa żadne kłamstwa i wykrety”. Podobną opinię wyraził „Głupi” z Jarosławia: „Dzień 28 czerwca będzie dniem wielkiej rewolucji po tylu latach niewoli komunistycznej. A ci, którzy krew swą przelali w dniu tym, stali się bohaterami i wciągnięte ich nazwiska będą do kart książki historii Polski”.

W wielu listach odrzucano tezy komunistycznej propagandy. „Skrzywdzony Polak” pisał: „Krew zalewa człowieka słuchającego waszych plugawych słów. Walkę o chleb nazywacie prowokacją, która miała godzić w naszą praworządność socjalistyczną”. „Nie jest to namowa imperialistów zagranicznych ani rodzimej reakcji, jest to gniew ludu, bunt przeciw despotyzmowi i bezprawiu, jakie panuje w naszym kraju, jest to wołanie o chleb, o możliwość do życia. Te rozruchy podję-

Nasze pokolenie po wieki będzie uczyć się historii, że we krwawy czwartek 28.VI.1956 r. połała się krew na poznańskim bruku

strajk w Poznaniu to pobudka i otucha dla wszystkich gnębionych przez komunistów Polaków

ła polska partia robotnicza, ludzie pracy, członkowie PZPR” – konkludował mieszkaniec Starego Kurowa w województwie zielonogórskim. Z kolei robotnik rolny z Wyrzyskiego (województwo bydgoskie) stwierdził: „To nie imperialiści zrobili, wy sami w to nie wierzycie, ale głód i nędma wśród klasy pracującej spowodowała ten stan, który miał miejsce w Poznaniu”. „Z tego, co podaje radio i prasa, wynika, że mieszkańcy m[ia]sta Poznania składają się z siedmiu kategorii – mordercy, bandyci, męty społeczne, chuligani, kryminaliści, otumanieni robotnicy i robotnicy patrioci. Poznań liczy 250 tysięcy mieszkańców, więc podług radia i prasy w Poznaniu mieszka 35 tysięcy i 700 robotników – patriotów, a reszta, tj. 214 tysięcy mieszkańców Poznania, to same łotry i zbrojce!” – ironizował „Stary tkacz łódzki”. „Jeden z wielu, który był w Poznaniu” pytał retorycznie: „Przed wojną w Krakowie [w 1923 roku], tak jak teraz w Poznaniu, połała się krew robotnicza. Tam i tu chodziło o poprawę bytu robotnika. W Krakowie komunizm stał po stronie robotnika, w Poznaniu zaś komunizm stanął przeciw robotnikowi. W Krakowie strajk był chwalony, w Poznaniu potępiony – dlaczego?”. Bolesne dla przywódców PRL porównania z okresem międzywojennym były zresztą częstsze. „Fakt jest nieodwracalny: ludowe wojsko i milicja strzelali do robotników Poznania. Czy to samo w sobie nie jest tragedią? A mówiono nam, że sanacja i burżuazja strzelała do robotników. Okazuje się, że rząd i partia nasza [nie ma] nic wspólnego z klasą robotniczą, a jest aparatem ucisku i przemocy” – pisał Ryszard z Zabrze. I dodał: „Autorytet partii i rządu zachwiał się poważnie w oczach członków partii i bezpartyjnych. Splamili sobie ręce robotniczą krwią nasz robotniczo-chłopski rząd i nasza partia. Tego nie zmyje żadna farba drukarska naszych gazet. Skompromitowaliśmy się w oczach własnych i za granicą”.

„Polak”, nadawca listu ze stolicy, tłumaczył: „Żyłem w okresie Polski przedwrześniowej, będąc chłopcem, pamię-

tam doskonale lata ucisku. Sam je srogo doświadczyłem i dlatego uwierzyłem święcie, że tylko socjalizm i komunizm przyniesie wolność narodowi. Włączyłem się z całym sercem do budowy zrębów socjalizmu. Dziś ja i wielu innych dostrześliśmy kłamstwo i fałsz – tym nas karmiliście i dlatego plujemy wam i sobie w oczy”.

Oczywiście, zdarzały się też (zdecydowanie rzadsze) przypadki powielania też peerelowskiej propagandy. Na przykład autor listu z miejscowości Przywózki (powiat Sokołów Podlaski) pisał: „Ja i miliony innych żądamy, aby prowokatorzy zajścia w Poznaniu nie znaleźli się więcej pomiędzy nami, aby więcej nie mogli burzyć tego, co zbudowaliśmy. Dla nich nie ma miejsca u nas, nie mamy dla nich przebaczenia”. Mieszkaniec Piotrkowa podkreślał zaś: „Nie mogę się z tym pogodzić, że po jedenastu latach władzy ludowej, w czasie wielkich

przemian, jakie obecnie zachodzą, i to przemian na dobre, ma miejsce taki incydent. Uważam, że jest to hańbą nie tylko dla Poznania, ale całego kraju”.

„Chcemy chleba!”

Nagminnym wręcz elementem listów było potępienie postępowania peerelowskich władz. Autor listu z Częstochowy zauważył: „Za taką krew niewinnie przełaną odpowiedzialność spada na władzę ludową, która nie troszczy się o człowieka pracy”. Z kolei „Robotnik z Kutna” pisał: „Wstydem i hańbą po wieczne czasy okryła się partia i rząd Polski Ludowej”. Podobnego zdania był „Winniczanie” (ponoć były członkiem Komsomolu, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej w latach 1919–1920 w szeregach „7 pułku czerwonoarmiejskiego”): „Rezultat tej waszej dygnitarskiej krótkowzroczności to leżące ofiary na bruku, to nowe sieroty, to hańba, tow[arzysze], pod waszym adresem”.

Częstym motywem listów była trudna sytuacja materialna Polaków, zwłaszcza robotników. Na przykład „Urzednik pań-



Fot. AIPN

Żyje się z miesiąca na miesiąc. Oprócz skromnego bardzo wyżywienia, absolutnie nie można nic kupić

Fakt jest nieodwracalny: ludowe wojsko i milicja strzelali do robotników Poznania. Czy to samo w sobie nie jest tragedią?

stwowy” z Dzierżoniowa oskarżał: „Warunki płacy stworzyliście takie, że 60% ludzi nie może z nich wyżyć, nie mówiąc już o odzieży czy też innych potrzebach życiowych”. Jeszcze dosadniejsza była wypowiedź Marii z Tomaszowa Lubelskiego: „Żyje się z miesiąca na miesiąc. Oprócz skromnego bardzo wyżywienia, absolutnie nie można nic kupić, a przecież z gołym tyłkiem chodzić nie można. Zwłaszcza że widzi się pewnych uprzywilejowanych ludzi, »volksdeutschów« dzisiejszej doby, których stać i na mięso, na czeresnie i truskawki dla dzieci. Nasze dzieci tego nie widzą”. Jeszcze ostrzej kwestię tę postawił „Członek Komunistycznej Partii Polski od 1939 r.”: „Ludzie mówią: dosyć nas, towarzysze, oszukujecie, a dzieci nasze z głodu konają”. A „Irka z Kutna” pytała retorycznie: „Jak to miało się nie stać w Poznaniu, kiedy to wszędzie ten głód?”

Protestowano przeciwko represjonowaniu uczestników Poznańskiego Czerwca. „Domagam się zwolnienia aresztowanych podczas krwawej manifestacji w Poznaniu” – żądał S.G. z Warszawy. „Uważam, że zamiast aresztować robotników czy szukać winnych w osobach, które może nawet nie myślały działać przeciw Polsce Ludowej, należy przede wszystkim wziąć za »mordę« wszystkie szyszki z Urzędu Bezpieczeństwa w Poznaniu, które dopuściły do rozlewu polskiej krwi w Poznaniu” – pisała „Stała słuchaczka z Wrocławia”. Z kolei „Obywatel Warszawy” postulował pociągnięcie do odpowiedzialności działacze partyjnych zarówno szczebla wojewódzkiego (z Poznania), jak i centralnego, działacze Centralnej Rady Związków Zawodowych i ministra „właściwego resortu”, odpowiedzialnych przez swe zaniechania za „wypadki poznańskie”. Bo – jak zauważył – „oni byli winni nagromadzeniu prochu, na który byle łobuz może rzucić zapalną”.

W listach znalazły się również opisy wieców organizowanych w celu potępie-

nia „wydarzeń poznańskich”. Tak jeden z nich relacjonował „Reakcjonista z prowincji”: „Byłem obecny na masówce w sprawie Poznania. Na 2000 pracujących, przyszło około 100 osób. Zabrało głos dwóch pracowników umysłowych, partyjnych. Tylko dlatego przemawiali, żeby poprawić zachwianą reputację przed zarządem partyjnym. Zebranie było po godzinach pracy. Po 30 minutach milczącej masówki połowa zebranych (z liczby 100 osób) wyparowała”. I całkiem przytomnie podsumowywał: „Za rezolucją



Fot. AIPN

była większość i to potwierdzono niezbi-
cie, że mniejszość rządzi większością”.

Niektórzy próbowali doszukiwać się pozytywnych aspektów tego, co się stało. „Patriota” stwierdził naiwnie: „Poznań zmusił do myślenia władców. Nie będą oni tak hojnie szafować groszem narodowym, dadzą go więcej dla narodu, nie będą czynili miliardowych strat”. Z kolei anonimowy nadawca z Warszawy wyrażał nadzieję: „Musi więc być wreszcie podjęte i zapoczątkowane dzieło naprawy. Taka chwila przyjść musiała. Dzieło to zapoczątkowują robotnicy Poznania”.

Zdarzały się też listy z radami, jak w przyszłości nie dopuścić do podobnej sytuacji. „Przyjaciół 282” proponował

rządowi wyciągnięcie wniosków z tego, co się zdarzyło. Wśród siedmiu propozycji znalazło się m.in. ustanowienie płacy minimalnej na poziomie 800–1000 zł czy niedopuszczanie do „takich dziwolałów jak np. była obniżka cen, a później pewne gatunki towarów znikają, pojawiają się na ich miejsce inne, ale już po wyższych cenach”. Z kolei „Nieprzekonany” z Warszawy pisał: „Uważam, że najwyższy czas, aby oprzeć się na własnych nogach (bez pomocy naszych wschodnich doradców), a przyjrawszy się narodom o lepszym systemie rządów – czerpać z nich wiedzę i przykłady”. „Robotnik metalowy” wysyłający list ze stolicy wskazywał nawet z czyich: „Powinniśmy brać wzór z gospodarki w Chińskiej Republice Ludowej, z Jugosławii, a nawet z krajów kapitalistycznych”.

Pojawiały się również żądania demokratyzacji kraju. „Nie chcemy wojny, ale chcemy prawdziwej wolności. Chcemy chleba! Nie chcemy być wykorzystywanymi przez partię i rząd. Chcemy i domagamy się wolności. Chcemy, żeby obywatel ufał rządowi, ale rządowi nie temu, co po instrukcje jedzie do Moskwy” – można przeczytać w liście sygnowanym przez Komitet Wolnej Polski. „Aby naprawić zło, musimy szybko zmienić rząd, który nie cieszy się żadnym autorytetem w społeczeństwie, usunąć tępych ministrów, ich wujków i stryjków i innych krewnych, i przeprowadzić prawdziwe demokratyczne wybory” – sugerował Ryszard z Zabrze. Na w pełni demokratyczne wybory do parlamentu jednak trzeba było poczekać jeszcze trzydzieści pięć lat. ■

dr Grzegorz Majchrzak – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, współredaktor tomu „My głodujemy – my chcemy chleba”. Poznański czerwiec 1956 r. w listach opublikowanych w Biuletynach Biura Listów Komitetu do Spraw Radiofonii „Polskie Radio” (2011)

A ci, którzy krew swą przelali w dniu tym,
stali się bohaterami i wciągnięte ich nazwiska
będą do kart księgi historii Polski

Czerwcowe dni

Elżbieta Wojcieszuk

Sześćdziesiąt lat po poznańskim buncie 1956 roku możemy już dość precyzyjnie odtworzyć bieg wydarzeń.

Przejęcie władzy przez komunistów w Polsce, podobnie jak i w innych państwach Europy Środkowo-Wschodniej, przyniosło polityczne i kulturowe zniewolenie i upadek gospodarczy. Próby zbrojnego oporu stłumiono w latach

czterdziestych, ale powszechny sprzeciw wobec rządów „robotniczo-chłopskich” pozostał. Oczekiwano poprawy sytuacji socjalno-ekonomicznej, wolności politycznej i religijnej. Społeczny bunt uwidocznił się zaraz po śmierci Stalina w 1953 roku – podczas krwawo stłumionych protestów robotniczych w czerwcu w Czechosłowacji i NRD.

Lud przeciwko władzy „ludowej”

Nastroje oczekiwania na zmiany nasiliły się po XX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego w Moskwie w dniach 24–25 lutego 1956 roku. Nikita Chruszczow wygłosił wówczas przełomowy, potępiający zbrodnie stalinowskie, referat *O kulcie jednostki i jego następstwach*. Na szczytach Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej pogłębiły się podziały i dyskusje na temat sposobów wyjścia z sytuacji. Żądania robotników dotyczące po-

prawy sytuacji społeczno-ekonomicznej były powszechne i coraz głośniej wyrażane. O eskalacji nastrojów i możliwości wybuchu strajku w czerwcu 1956 roku w Poznaniu meldowali kierownik poznańskiego UB, mjr Feliks Dwojak, i płk Józef Lipiński, dowódca 10. Wielkopolskiego Pułku Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Poznaniu.

Czy z narastającego gniewu poznańskich robotników zdawał sobie sprawę premier Józef Cyrankiewicz, który przebywał w Poznaniu 19 czerwca 1956 roku – nie wiadomo. Natomiast 27 czerwca na spotkaniu władz miejskich w gmachu Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Poznaniu wiedziano o rosnącym napięciu i zapewne zdawano sobie sprawę z tego, że sytuacja staje się niebezpieczna, tym bardziej że następnego dnia, w czwartek 28 czerwca, w mieście przewidywano



obecność wyjątkowo wielu ludzi. Trwały Międzynarodowe Targi Poznańskie, mieli też przybyć wierni z całej archidiecezji poznańskiej na wyznaczoną na ten dzień uroczystość rekoncylacji katedry odbudowanej po profanacji i zniszczeniach wojennych.

Niezrealizowane i pokrętnie obietnicę przedstawicieli władz centralnych dotyczącej poprawy sytuacji ekonomicznej robotników stały się bezpośrednim powodem decyzji o protestacyjnym wyjściu na ulice pracowników Zakładów im. Stalina (ZISPO) w Poznaniu. 28 czerwca o 6.00 robotnicy z ZISPO, a później także z Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego (ZNTK) i innych zakładów, sformowali pochód kilku tysięcy ludzi, który skierował się pod znajdujący się w zamku urząd Miejskiej Rady Narodowej. Dawało się zauważyć znaczny udział młodzieży. Krążyły w tym czasie pogłoski, że przed gmachem KW PZPR przy ul. Armii Czerwonej (obecnie Święty Marcin) ma się odbyć wiec, na którym będzie przemawiał Cyrankiewicz. W pochodzie nie było jeszcze transparentów z postulatami. Pojawiły się dopiero na placu przed zamkiem. Widniały na nich hasła z żądaniami nie tylko chleba, lecz także wolności narodowej. Śpiewano pieśni religijne i wznoszono okrzyki dopominające się uwolnienia więzionego przez komunistów prymasa Stefana Wyszyńskiego i powrotu religii do szkół.

Według różnych źródeł, zebrało się tam od 30 do 100 tys. osób. Zgromadzeni na placu przed Miejską Radą Narodową manifestanci żądali rozmów z przedstawicielami władzy. Spontanicznie powołana delegacja protestujących udała się na rozmowę z przewodniczącym MRN Franciszkiem Frąckowiakiem, a następnie przeszła do gmachu KW PZPR, gdzie odważył się z nią rozmawiać tylko sekretarz ds. propagandy i kultury, Wincenty Kraśko. Rozmowy jednak nie przyniosły uspokojenia.

Około 10.00 protestujący się rozdzielili. Część udała się pod więzienie przy ul. Młyńskiej, które zdobyto, uwalniając 252 więźniów. Manifestanci weszli do budynku sądu powiatowego i pro-

Fot. AIPN

kuratury, gdzie zniszczyli zgromadzone tam akta. Inna grupa poszła w stronę gmachu Wojewódzkiego Urzędu ds. Bezpieczeństwa Publicznego przy ul. Kochanowskiego. Po drodze zniszczono urządzenie zagłuszające audycje rozgłośni zachodnich umieszczone na gmachu Zakładu Ubezpieczeń Społecznych przy ul. Mickiewicza. Funkcjonariusze WUBP początkowo odkręcili wodę z hydrantów, żeby powstrzymać nacierających, ale już ok. 11.00 w kierunku manifestujących padły strzały. Pierwsze kule dosięgły młodych tramwajarek, które niosły polski sztandar. Wiadomości o strzałach oraz rannych i zabitych obiegły miasto i na ul. Kochanowskiego zaczęły ściągać z różnych stron kolejne grupy ludzi. Rozgorzała regularna bitwa. Demonstranci używali butelek z benzyną, później także oddawali strzały ze zdobycznych karabinów.

Krwawa pacyfikacja

W tym czasie Komendant Oficerskiej Szkoły Wojsk Pancernych i Zmechanizowanych (OSWPiZ), płk Antoni

Filipowicz, skierował do ochrony wyznaczonych obiektów trzystu elewów szkoły, szesnaście czołgów, dwa transportery opancerzone i trzydzieści samochodów. Kilka czołgów manifestanci podpaliłi butelkami z benzyną, zmuszając żołnierzy do opuszczenia pojazdów. Demonstranci zatrzymali też drugą grupę wysłaną z OSWPiZ, opanowali dwa czołgi i rozbili załogi. O 13.00 szef Sztabu Generalnego WP, gen. Jerzy Bordziłowski, na prośbę komendanta OSWPiZ zarządził alarm bojowy dla 2. Korpusu Pancernego stacjonującego na poligonie w Biedrusku. Grupa uderzeniowa z Biedruska, złożona ze 120 podchorążych i ośmiu czołgów, stoczyła dwugodzinną walkę z demonstrantami oblegającymi budynek WUBP przy ul. Kochanowskiego i dopiero ok. 17.30 udało się jej przedrzeć do gmachu.

Po stronie manifestujących główną siłę stanowiła młodzież. Demonstranci zdobyli broń w Studium Wojskowym na Politechnice Poznańskiej, w Komisariacie V przy ul. Krzyżowej oraz w Komisariacie VIII przy ul. Grunwaldzkiej. ➤



Pod odparciem ataku przez milicjantów z Komendy Dzielnicowej Poznań-Jeżyce przy ul. Nad Wierzbakiem i Komisariatu VI Poznań-Dębiec przy ul. Dzierżyńskiego (obecnie 28 Czerwca 1956 r.) młodzi ludzie nadal poszukiwali broni na terenie powiatu. Zdobyli posterunek MO w Swarzędzu (częściowo został rozbrojony), w Puszczykowie (posterunek zdobyty, ale milicjanci ukryli broń), w Rokietnicy (rozbrojono komendanta) i w Mosinie. Uwolnili więźniów politycznych obozu NKWD i UB w Mrowinie. Nie udało się im natomiast zdobyć posterunku MO w Czempiniu.

Biuro Polityczne KC PZPR, zwołane w Warszawie 28 czerwca na 10.00 – w obecności m.in. I sekretarza KC PZPR Edwarda Ochaba, premiera Józefa Cyrankiewicza i marsz. Konstantego Rokossowskiego – podjęło decyzję o „podciągnięciu do Poznania oddziałów KBW

i wojska”, co oznaczało krwawą pacyfikację miasta. O 14.30 na poznańskim lotnisku Ławica wylądowali Cyrankiewicz, członek Biura Politycznego Edward Gierek oraz gen. Stanisław Popławski ze sztabem. Popławski przejął kierownictwo nad siłami porządkowymi w Poznaniu. Wtedy zdecydowano o użyciu całej broni piechoty i broni pancernej, a w razie potrzeby także artylerii. Między 16.00 a 18.00 do miasta wjechała kolumna czołgów Śląskiego Okręgu Wojskowego pod dowództwem gen. Wsiewołoda Strażewskiego. Żołnierzom powiedziano, że w Poznaniu są Niemiec- cy dywersanci. Około 20.00 do Poznania wjechały kolejne czołgi, a w nocy sprowadzono jeszcze dwie dywizje piechoty. W Środzie Wielkopolskiej mieszkańcy zdołali na krótko zatrzymać jednostkę Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego zmierzającą do Poznania.

Do 13.00 milicja przyjmowała raczej postawę defensywną. Natomiast wieczorem milicjanci zostali włączeni do wojskowych grup likwidujących stanowiska ogniowe. Brali też udział w wyłapywaniu uczestników zająć, bili zatrzymanych i znęcali się nad nimi. Wprowadzono godzinę milicyjną od 21.00 do 4.00 rano dnia następnego.

W zmaganiach na ul. Kochanowskiej i w innych częściach miasta łącznie walczyło około czterystu powstańców. W nocy i następnego dnia trwały jeszcze potyczki w różnych zakątkach Poznania, ale wojsko stopniowo je tłumilo. Ostatnie punkty oporu zlikwidowano 29 czerwca ok. 17.00. Tego dnia w rejonie Swarzędza manifestanci podjęli próbę organizacji pochodu protestacyjnego, ale udaremniła ją interwencja UB. Strajki w Luboniu, Swarzędzu i Kostrzynie zostały stłumione przez wojsko.

► Demonstracje odbywały się podczas Międzynarodowych Targów Poznańskich; na zdjęciu widać zagraniczne flagi

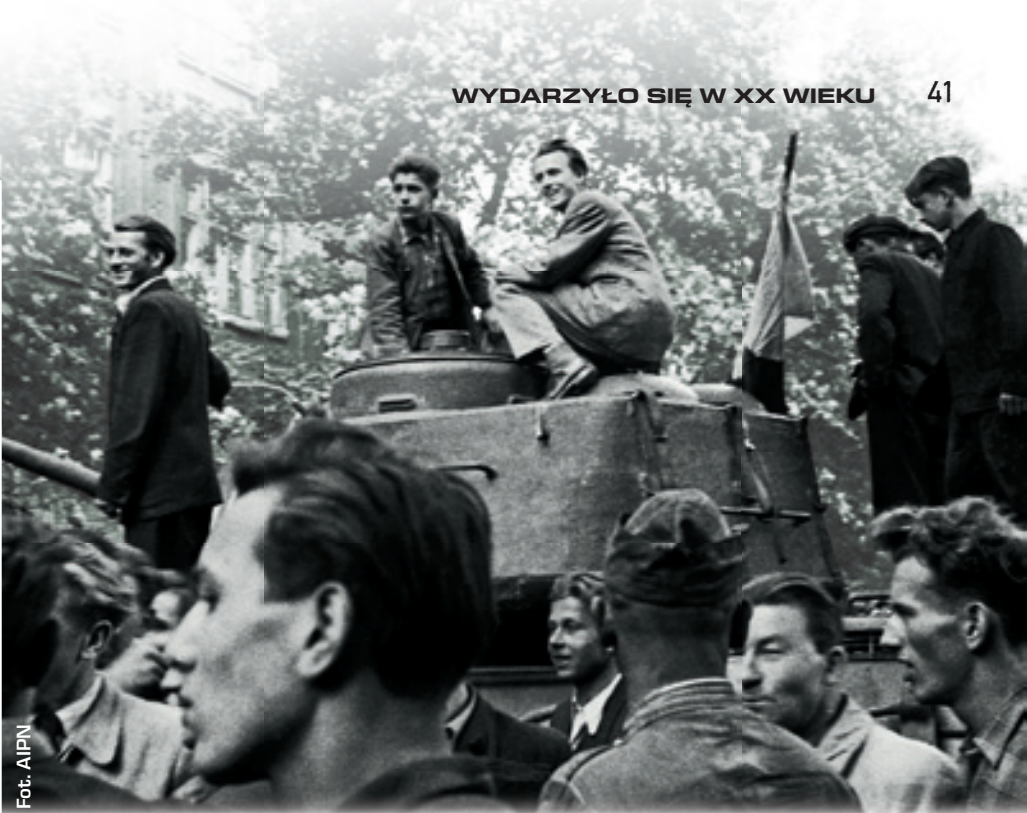


29 czerwca o 19.30 nadano przemówienie radiowe Cyrankiewicza do mieszkańców Poznania. Premier PRL groził: „Każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw władzy ludowej, niech będzie pewny, że mu tę rękę władza ludowa odrąbie, w interesie klasy robotniczej, w interesie chłopstwa pracującego i inteligencji, w interesie walki o podwyższenie stopy życiowej ludności, w interesie dalszej demokratyzacji naszego życia, w interesie naszej ojczyzny”. 30 czerwca po południu rozpoczęto wycofywanie z miasta jednostek wojskowych.

Do pacyfikacji Poznania wykorzystano 10. Sudecką Dywizję Pancerną, 19. Dywizję Pancerną z 2. Korpusu Pancernego, 4. Pomorską Dywizję Piechoty im. Jana Kilińskiego, 5. Saską Dywizję Piechoty z 2. Korpusu Armijnego, 10. Wielkopolski Pułk Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz inne oddziały KBW – kompanię motocyklową i pododdziały transporterów opancerzonych, wydzielone z 1. Specjalnej Brygady KBW z Góry Kalwarii, 2. brygady KBW z Białegostoku i 12. pułku KBW ze Szczecina. Do akcji pacyfikacyjnej użyto czołgów i gazów łzawiących. W sumie do walk zaangażowano 12 461 żołnierzy i oficerów, 359 czołgów, 31 dział pancernych, 30 transporterów opancerzonych, 6 armat przeciwlotniczych, 880 samochodów, 68 motocykli. Wystrzelono ok. 180 tys. sztuk amunicji. Pacyfikacja Poznania w czerwcu 1956 roku wykazała niemoc decyzyjną i brak koordynacji działań. Były momenty, w których każda ze służb mundurowych działała indywidualnie.

Tragiczny bilans

Zginęło lub zmarło z ran 58 osób, w tym: 50 cywilów, 4 żołnierzy, 3 funkcjonariuszy UB i milicjant, a ranne zostały co najmniej 573 osoby, w tym 523 cywilów, 15 funkcjonariuszy UB, 7 funkcjonariuszy MO oraz 28 żołnierzy. Liczby ofiar nie opublikowano. Pochówki odbywały się potajemnie pod czujnym okiem funkcjonariuszy UB. Chodziło o ukrycie bezlitosnego, z użyciem wojska, spacyfikowania pokojowej demonstracji.



Fot. AIPN

Zatrzymano i aresztowano 575 osób. 27 września 1956 roku przed Sądem Wojewódzkim w Poznaniu rozpoczęły się procesy. Zostały jednak przerwane 5 października, ponieważ od 19 do 21 października w Warszawie miało obradować VIII Plenum KC PZPR. Właśnie wtedy Władysław Gomułka został wybrany na I sekretarza. W wygłoszonym referacie przewartościował ocenę Poznańskiego Czerwca, prezentując podejście znacznie łagodniejsze

niż Cyrankiewicz, ale już w czerwcu 1957 roku, w rocznicę zajęć, rozkazał rozciągnąć „żałobną kurtynę milczenia”. Rozpoczęła się walka o pamięć. Poznańskie powstanie zostało stłumione, ale jego uczestnicy – jak napisano na jednej z szarf wieńca złożonego na grobie zabitych w rok po zajęciach – „polegli dla przyszłości”.

dr hab. Elżbieta Wojcieszek – historyk,
pracowniczka Oddziałowego Biura Edukacji
Publicznej IPN w Poznaniu



Fot. AIPN

Zamach na

Paweł Miedziński

Marszałek Marian Spychalski nie mógł przypuszczać, że wizyta w egzotycznym Pakistanie nieomal skończy się dla niego śmiercią.

1 listopada 1970 roku. Jak zwykle o tej porze roku, było duszno i upalnie. Temperatura w mieście wynosiła 30 stopni Celsjusza, ale na lotnisku była znacznie wyższa. Słońce silnie prażyło, rozgrzewając betonowy pas startowy. Gorące powietrze męczyło oczekujących od pewnego czasu przedstawicieli władz, dziennikarzy i pracowników ambasady. Samolot wylądował bez problemów i podkołował na miejsce dla gości. Po kilku minutach zatrzymały się silniki ła 18 i podjechał pojazd ze schodkami. Czarny rolls-royce phantom w otoczeniu motocykli eskorty stał nieopodal, chłodząc klimatyzacją wnętrze.

Trzy minuty po 11.00 marsz. Marian Spychalski pojawił się na trapie i zszedł, by się przywitać z oczekującymi. Tytuł przewodniczącego Rady Państwa, który nosił, nie miał swojego odpowiednika w świecie dyplomacji, dlatego w krajach anglojęzycznych tłumaczono go „Mr. President” i traktowano Spychalskiego jak głowę państwa, mimo że urząd, który pełnił, był zupełnie fasadowy. Spychalski witał się z kolejnymi dygnitarzami, zgodnie z protokołem dyplomatycznym. Oczekiwali na niego miejscowi notable z Komisarzem Stanu Wyjątkowego na czele, przedstawiciele polskiej ambasady i konsulatu, sowiecki ambasador, działacze Towarzystwa Przyjaźni Pakistańsko-Radzieckiej. Uścisk dłoni marszałek miał doskonale wyćwiczony.

Takie powitanie na lotnisku w Karači było piątym w ciągu ostatnich dni, ostatnim przewidzianym w czasie wizyty w Pakistanie. Gdy Spychalski wymieniał uprzejmości z przedstawicielką Polonii, kilka metrów obok – pięć, może

► Marian Spychalski, marszałek Polski; Warszawa, 1965 rok

Fot. Aleksander Jabosiński/FORUM

„prezydenta”

szczęść – dostrzegł ciężarówkę oznakowaną symbolami narodowego przewoźnika gospodarzy – Pakistan International Airlines. Pojazd nie jechał szybko, ale wprost w kierunku szpalery witających, po czym nagle przyspieszył. Rozległ się kobiecy krzyk i ciężarówka wjechała w tych, którym moment wcześniej marszałek podawał dłoń. Niezatrzymywana pojechała dalej, wlokąc ze sobą ciała i zderzając się z motocyklem obstawy honorowej. Przestrzeń wypełniły wrzaski, nawoływania i przekleństwa w językach polskim, urdu i angielskim. Po kilkunastu minutach podjechał podnośnik i udało się wydobyć uwięzionych pod kołami. Trzy osoby nie żyły, jedna zmarła w karetce. Osiemnaście, w tym trzej dzieci, zostało rannych.

Chaos na lotnisku, pośpiech w szpitalu

Początkowo nie było jasne, co się wydarzyło – czy był to nieszczęśliwy wypadek, czy zamach. Zapanował chaos – jedni po-



▶ Powtarzalność ceremonii powitania na każdym etapie podróży spowodowała, że w Karaczi wydano polecenie, by pracownicy mediów udali się od razu do samochodów, które miały przewieźć delegację do miasta; ta decyzja być może uratowała im życie, choć na pewno pozbawiła szansy na zrobienie zdjęcia na miarę „World Press Photo”

biegli, by wyciągać rannych, inni zastęgli w bezruchu. Ośmiu funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu, na czele ze swoim szefem, było równie zaskoczonych sytuacją co dzieci dyplomatów oczekujące z kwiatami na marszałka Polski. Ten ostatni przerwał powitania i, zgodnie z sugestią gospodarzy, udał się wraz z oficerami ochrony do budynku portu lotniczego. Sytuacja rozegrała się tak szybko, że żaden z nich nie tylko nie sięgnął po broń, by powstrzymać zamachowca, ale nawet nikt nie osłaniał Spychalskiego. Zdawało się, że masakrująca ludzi ciężarówka zahipnotyzowała tych, którzy patrzyli na rozgrywające się wydarzenia.

„Mr. Presidentowi” towarzyszył w podróży do Pakistanu wiceminister spraw zagranicznych Zygfryd Wolniak. Roztrzęsiony Spychalski chciał z nim ustalić dalsze działania. Wolniaka jednak nie było w poczekalni terminalu. Zaczęto go szukać. Jedni twierdzili, że pojechał ▶



Fot. Stefan Czarnogórski/CAF

▶ Ciężarówka użyta przez zamachowca; plk Jan Górecki raportował później, że polecił polskiej ekipie filmowców i fotoreporterowi z CAF udokumentować miejsce zdarzenia; zrobiono to jednak dopiero po upływie dłuższego czasu, a nie – jak zapewnił swoich przełożonych – zaraz po zdarzeniu



► Chociaż do Pakistanu poleciał fotoreporter CAF, to agencja dostarczyła polskiej prasie zdjęcia z serwisu Associated Press; „Express Wieczorny” i „Gazeta Krakowska” opublikowały zdjęcie pakistańskiego fotoreportera, przedstawiające polskich dyplomatów niosących trumnę ze szpitala w Karaczi

z ranną dziewczynką do szpitala, inni, że sam został ranny i przebywa w klinice. Jeszcze inni, że nie żyje. Gospodarze nalegali na przejazd do rezydencji. Spychalski nie umiał się zdecydować. Być może bał się kolejnego zamachu w trakcie przejazdu kolumny pojazdów.

W recepcji terminalu lotniska powstał sztab. Stąd wyruszano do konsulatu, do szpitala i do portu, by z pokładu stojącego tam polskiego statku nadać informacje do kraju. W tym czasie przepakowano bagaż podręczny z pojazdów, sprawdzono go i załadowano z powrotem na pokład samolotu. Iła przeparkowano; szef BOR, płk Jan Górecki, który poleciał ze Spychalskim, nie chciał się zgodzić na tankowanie z cysterny, lecz z losowo wybranego zbiornika. Butelkę z próbką paliwa przekazano do ambasady, drugą zabrano na pokład.

Pakistańczycy grali na zwłokę, najpierw informując, że Wolniak żyje, ale jest nieprzytomny, później, że jego stan jest krytyczny, a gdy do szpitala dotarli przedstawiciele ambasady – że zmarł. Żona zabitego, korzystając z pomocy le-



► Towarzyszący Marianowi Spychalskiemu przedstawiciele polskich mediów nie widzieli i nie zarejestrowali momentu zamachu; ani operator Dziennika Telewizyjnego, ani dwaj operatorzy Polskiej Kroniki Filmowej, ani fotoreporter CAF nie uwiecznili na kliszach najdramatyczniejszej chwili; znajdowali się bowiem – na polecenie Mariana Kruczkowskiego z Biura Prasy KC – w oddalonym o dwieście metrów wozie prasowym, który miał jechać w kolumnie z lotniska do rezydencji; oficjalne powitanie dokumentowali fotoreporterzy pakistańscy: jeden z nich dostał się pod koła ciężarówki i poniósł śmierć na miejscu, operator lokalnej telewizji został ranny – ich zniszczone aparaty i kamera leżały jeszcze jakiś czas na płycie lotniska

Fot: Stefan Czarnogórski/CAF

karza BOR, umyła ciało, które zostało złożone do prowizorycznej trumny. Strona polska nalegała na pośpiech, chcąc jak najszybciej odlecieć. W rezultacie trumna do Taszkientu leciała niezamknięta, gdyż nie chciano czekać, aż znajdzie się w szpitalu odpowiedni śrubokręt do przykręcenia wieka. Gospodarze zaproponowali specjalny samolot do przewiezienia zwłok, którym lecieliby także rządowi oficjele. Odrzucono tę propozycję.

Do Spychalskiego zadzwonił prezydent Pakistanu Yahya Khan. Górecki proponował, by do telefonu podszedł ktoś inny i udawał przewodniczącego Rady Państwa. Spychalski odrzucił jednak tę sugestię i przyjął kondolencje. O 15.15 samolot wystartował w drogę powrotną przez Związek Radziecki. Pół godziny po odlocie Spychalskiego z Taszkientu, gdzie miał międzylądowanie, wysłano radiotelegram z ambasady do MSZ. Nie informowano w nim jednak o zamachu, lecz o wypadku na lotnisku i śmierci Wolniaka. Co ciekawe, treść telegramu została przekazana nie tylko wiceministrowi, lecz także Komendzie Wojewódzkiej MO w Katowicach z prośbą o dostarczenie do Komitetu Wojewódzkiego PZPR dla jego I sekretarza, Edwarda Gierka.

Raport Góreckiego

Dramatyczne zdarzenie zelektryzowało media. Korespondenci zagranicznych agencji – AFP, AP, UPI, Reuter – natychmiast nadali szczegółowe komunikaty do swoich central, te z kolei rozesłały je do odbiorców na całym świecie. Informacje agencji, zebrane przez nasłuch i ocenione przez Stanisława Kanię, ówczesnego kierownika Wydziału Administracyjnego KC PZPR, zostały przesłane dalej, do wybranych członków KC. Nie było sensu ukrywać zamachu. Biuro Prasy KC przygotowało odpowiedni komunikat i wyraziło zgodę na oszczędne informowanie społeczeństwa na łamach gazet. Pierwsza oficjalna informacja była nader lakoniczna: „Minister Wolniak zmarł w szpitalu, kierowca stracił panowanie nad kierownicą”. Nie znalazła się tam naturalnie wzmianka o tym, o czym informowali korespondenci zachodni, mianowicie że zamachowiec miał krzyczeć podczas zatrzymania



▶ Anglojęzyczny dziennik „Dawn” z 2 listopada 1970 roku zamieścił zdjęcia wykonane w chwili uderzenia ciężarówki oraz z przebiegu akcji ratunkowej

„Śmierć komunistom!”. Za agencjami prasowymi liczne gazety na całym świecie podawały tę informację na swoich szpaltach.

4 listopada na biurko ministra spraw wewnętrznych Kazimierza Świątły tra-

fił sześciostronicowy raport szefa BOR. Górecki nie miał kierowanej przez siebie służbie nic do zarzucenia. Nie bez znaczenia było to, że w chwili zdarzenia był on na miejscu i bezpośrednio odpowia-



Fot. CAF

▶ Na terminalu portrety marszałka Polski Mariana Spychalskiego i prezydenta Pakistanu, gen. Yahyi Khana; w sali recepcyjnej zorganizowano punkt opatrunkowy dla lżej rannych



Fot. Stefan Czarnogórski/CAF

► Pakistańczycy próbowali choć symbolicznie uhonorować zmarłego wiceministra Zygryfda Wolniaka, niosąc jego trumnę z karawaną; nie pozwolono im



Fot. Stefan Czarnogórski/CAF

► W Taszkencie trumnę zamieniono na cynkową; na Okęciu Spychalskiego przywitani Władysław Gomułka i inni członkowie Biura Politycznego KC PZPR

dał za bezpieczeństwo Spychalskiego. Nawet gdyby chciał, nie miał na kogo przerzucić odpowiedzialności. Górecki, będąc sędzią we własnej sprawie, nadmieniał, że wizyta została poprzedzona rekonesansem, który przeprowadzili ambasador PRL w Pakistanie, Alojzy Bartoszek, oraz zastępca szefa BOR, płk Stefan Pawłowski. Pozytywnie oceniono stosunek pakistańskiej bezpieki, „mimo niezyczliwości szefa Protokołu Dyplomatycznego”, do życzeń i oczekiwań strony polskiej.

Jak wynika z raportu szefa BOR, jeszcze przed wizytą Spychalskiego ustalono szczegółowo trasy przejazdu, układ pojazdów w kolumnie, sposób zabezpieczenia hoteli, samolotu etc. Arshad Husain, szef policji w liczącym 2,5 mln ludności Karaczi, zapewniał, że „miejscowe elementy kryminalne” będą pod nadzorem policji, a wrogich wystąpień politycznych nie należy się spodziewać. Na lotnisku samolot miał zaś być chroniony przez policję i wojsko. Port lotniczy trzy dni przed przyjazdem delegacji planowano poddać kontroli. W materiałach dotyczących przygotowania wizyty nie było cienia wzmianki o potencjalnych zagrożeniach. A MSZ powinien był być dobrze zorientowany – w Karaczi działał bowiem konsul generalny PRL.

Górecki w swym raporcie nie pozostawiał wątpliwości: „Wypadek zaistniał na lotnisku w Karaczi był zorganizowanym zamachem”. Świadczyć o tym miały odwołanie przez gospodarzy zaplanowanego zwiedzania stoczni (z uwagi na strajki) oraz pojawienie się w mieście samochodów „z propagandą wizualną i słowną przeciwko wizycie”. Istotniejsze jednak były oczywiste fakty bezpośrednio związane z samym zdarzeniem – kierowca czekał w ciężarówce na dogodny moment i ruszył tak, aby trafić w cel. Górecki w swoim raporcie informował ministra o działającej w Karaczi „skrajnie prawicowej antykomunistycznej partii fanatyków muzułmańskich finansowanej przez CIA”, walczącej przeciwko obecnemu prezydentowi Pakistanu, „posiadającej zdecydowane wpływy w Zarządzie Pakistańskich Linii Lotniczych”. Bez podawania źródła informował też, że „w ostatnich dniach krążyły po Karaczi pogłoski, że przygotowują oni w związku z wizytą akcję protestacyjną na ulicach miasta”. Jeśli zatem szef BOR wiedział o tym wszystkim, dlaczego nie uczynił nic, by przeciwdziałać zamachowi? Zapewne dlatego że były to informacje zebrane *post factum*, głównie z rozmów z osobą przedstawiającą się jako dziennikarz „Izwestii”. Górecki zalił się na pakistańską policję. Win-

ne, jego zdaniem, były także media, które informowały o wizycie i jej planowanym przebiegu. Szef BOR wyciągał zarazem wnioski na przyszłość – były to postulaty lepszego rekonesansu przed wizytą, pogłębionej analizy sytuacji wewnętrznej odwiedzanego kraju oraz zwiększenia „sił i środków służby ochronnej”.

Minister spraw zagranicznych Stefan Jędrzychowski w tajnej pilnej notatce liczącej siedemnaście stron maszynopisu, rozesłanej aż do 67 towarzyszy z KC PZPR, informował, że zamach był działaniem celowym, szczegółowo przygotowanym i obliczonym na storpedowanie rozwijających się stosunków polsko-pakistańskich. Skompromitowanie rządu Pakistanu miało przekreślić politykę zbliżania się Islamabadu do państw socjalistycznych. Opinia ta była powtórzeniem słów sowieckiego ambasadora w Pakistanie, obecnego w trakcie zamachu na lotnisku. W notatce zabrakło konkretów – takich jak choćby ten, że w 1970 roku w Pakistanie przebywało zaledwie dziewięciu polskich specjalistów.

Stryczek dla zamachowca, Powązki dla wiceministra

Nie czekając na wyniki śledztwa i nie licząc się z logiką zdarzeń, uznano, że zamach był celowym spiskiem „sił im-

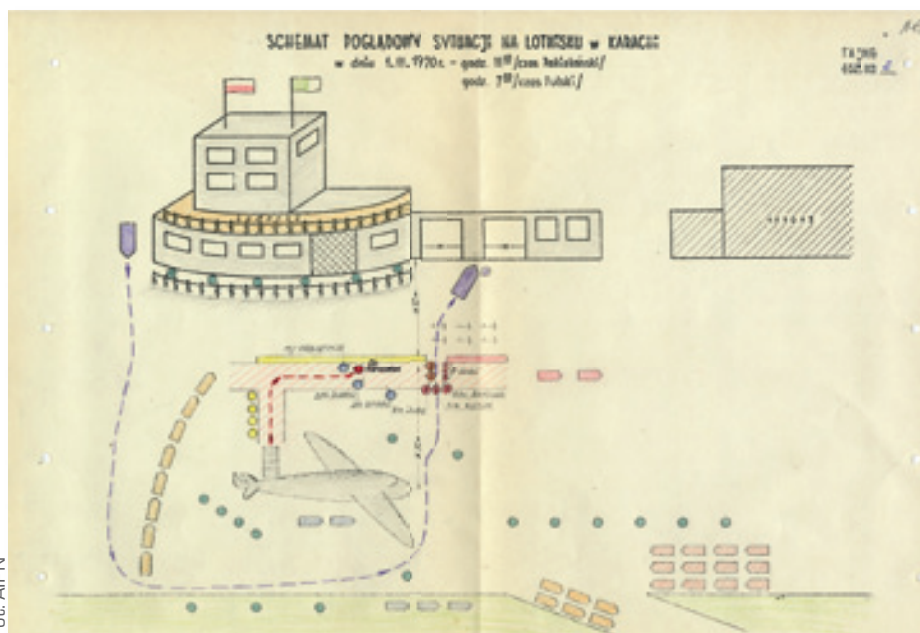
perialistycznych”. Tymczasem prezydent Pakistanu powołał specjalną komisję do zbadania katastrofy. Na jej czele stanął sędzia Sądu Najwyższego, Mohamed Yaqub Khan. Śledztwo prowadziły niezależnie od siebie wywiad, kontrwywiad, Centralna Agencja Wywiadowcza Pakistanu oraz policja. Podejrzani byli zarówno islamisci, jak i nieliczna powojenna emigracja polska. Aresztowano dziesięciu podejrzanych, przesłuchano sto osób.

Zamachowcem okazał się Abdullah Feroz, trzydziestodwuletni potomek przesiedleńców z Indii. Imał się wielu zawodów. Po zawarciu zaaranżowanego małżeństwa i narodzinach córki coraz bardziej radykalizował się religijnie. Rodzina uznała go za psychicznie chorego, jednak zamiast na leczenie, trafił do armii. Tam został wyszkolony na kierowcę i skierowany do służby w pułku artylerii. W 1969 roku zatrudnił się w pakistańskich liniach lotniczych, gdzie obsługiwał różne pojazdy pomocy technicznej. Dostał naganą za to, że odmówił prowadzenia autobusu, gdy obok mężczyzny na pojedynczym siedzeniu usiadła kobieta. Fanatycznie nastawiony, zdecydował się na realizowanie „misji” wobec tych, których uznawał za wrogów religijnych. Potrafił kierowanym przez siebie autobusem kobietę przechodzącą przez jezdnię. Został skazany na cztery miesiące ciężkiego więzienia, ale ostatecznie zawarł ugodę z bratem poszkodowanej. W pracy koledzy nazywali go „pomyleniec” i skarżyli się na jego religijną agitację. Po ogłoszeniu stanu wyjątkowego napisał list do prezydenta Yahyi Khana z żądaniem natychmiastowego wprowadzenia szariat. Szybko się rozczarował i uznał, że dyktator również jest jego wrogiem. Pewnego dnia zobaczył w gazecie zdjęcie, na którym Khan witał się z gościem z Polski na lotnisku w Islamabadzie.

31 października Feroz miał nocną zmianę, którą kończył o 7.30. O wizycie Spychalskiego dowiedział się z plakatów rozwieszonych na mieście. Ustalił, że oczekiwany gość pochodzi z kraju

chrześcijańskiego, co wystarczyło do obrania przybysza za cel zamachu. Z chrześcijaństwem wiązał upadek moralności, który panował jego zdaniem w Pakistanie – kobiety pracowały, a wojskowa junta chętnie obracała się w kręgu kultury Zachodu. Po zmianie pojechał do domu, poszedł do fryzjera, gdzie przystrzygł włosy i brodę, umył się, wyczyścił służbowy mundur, pożegnał się z żoną i powrócił na lotnisko, gdzie czekał na przylot „ważnej osoby”. Po drodze rozmawiał z kie-

także fotoreporter rządowego Departamentu Prasy, Mirza Ashraf Ali Baig, oraz fotoedytor agencji AP na Pakistan, Mohhamed Yasin. W drodze do szpitala zmarł Chaundhry Nazir Ahmed – zastępca szefa wywiadu. Zamachowiec zatrzymał się ok. 20 m od stratowanych ludzi. Otworzył drzwi i podniósł ręce w górę, poddając się nadbiegającym policjantom. Został wstępnie przesłuchany na posterunku na lotnisku. Był zszokowany i wręcz zawstydzony faktem, że się pomylił i zabił nie te osoby, które



Fot. AIPN

rowcą o „świętej wojnie”, pomstował na to, że musi oglądać „nagie kobiety” w czasie swojej pracy. Znając zwyczaje panujące na lotnisku, wyszukał wolny pojazd – ciężarówkę rozwożącą posiłki. Kluczyki były w stacyjce.

Ruszył powoli. Minał kolumnę pojazdów reprezentacyjnych i wozów ochrony. Gdy znalazł się na wysokości dziobu iluzyna, policjant ręką nakazał mu się zatrzymać, a chwilę później użył gwizdka. Feroz zakręcił i nagle przyspieszył.

Wolniak stał tyłem do nadjeżdżającego pojazdu. Zginął na miejscu. Obok stała jego żona, dalej ambasador Bartoszek i konsul Władysław Duda. Bartoszek leżał w kałuży krwi, był błydy, ale okazało się, że żyje. Śmierć ponieśli

planował. Wbrew temu, co pisała później część zachodniej prasy, nie krzychał „Śmierć komunistom!”. W niczym nie zmieniło to jego losu – został skazany na karę śmierci i powieszony.

Wolniaka pochowano z honorami na Powązkach. Dla Spychalskiego wizyta w Pakistanie była ostatnią podróżą oficjalną. Dwa miesiące później został zmuszony do rezygnacji ze stanowiska, które przejął Józef Cyrankiewicz, zmuszony z kolei do odejścia z fotela premiera w czasie Grudnia '70. Pułkownik Górecki nadal szefował BOR-owi i awansował na generała brygady. Z funkcji odwołano go w kwietniu 1981 roku. ❗

Paweł Miedziński – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Szczecinie

Czerwcowe protesty społeczne 1976 roku w PRL odbiły się głośnym echem na emigracji. Pisano o strukturalnych słabościach systemu komunistycznego i solidaryzowano się z represjonowanymi robotnikami.

Na emigracji

Krzysztof Tarka

Bezpośrednią przyczyną strajków i demonstracji ulicznych 25 czerwca 1976 roku była drastyczna podwyżka cen wielu artykułów żywnościowych, zapowiedziana dzień wcześniej w sejmie przez premiera Piotra Jaroszewicza. Do sprowokowania wybuchu niezadowolenia społecznego przyczynił się również sposób wprowadzenia podwyżki w życie. Projekt tzw. regulacji cen, który rzekomo poddano konsultacji społecznej, premier ogłosił w czwartek, a podwyżka miała obowiązywać od najbliższego poniedziałku. Oznaczało to, że decyzja w tej sprawie już zapadła, a zapowiadane konsultacje były fikcją.

Granice dyktatury

Czerwcowe protesty odbiły się żywym echem na emigracji. Sytuację na bieżąco relacjonował popularny wśród polskiej społeczności w Wielkiej Brytanii „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza”. Emigracyjna gazeta, informując o podwyżkach cen, przypominała, że I sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Edward Gierek doszedł do władzy w grudniu 1970 roku właśnie na fali powszechnego niezadowolenia wywołanego wzrostem cen żywności. Pięć i pół roku później jego ekipa sama takie podwyżki zapowiedziała, a społeczeństwo zareagowało podobnie.

Zapowiedziana przez Jaroszewicza podwyżka ostatecznie nie została wprowadzona w życie. Po fali robotniczych protestów z 25 czerwca 1976 roku władze PRL, obawiając się rozszerzenia strajków na cały kraj, jeszcze tego samego dnia wycofały się z wcześniejszych planów. Marek Celt (właśc. Tadeusz Chciuk) w komentarzu nadanym 26 czerwca przez Rozgłośnie Polską Radia Wolna Europa uznał to za wydarzenie bez precedensu:

„Okazuje się – stwierdził – że nawet pod rządami komunistycznymi istnieją granice dyktatorskiego postępowania władzy; że społeczeństwo ma możliwość zahamowania samowładztwa i odmówienia zgody na arbitralne metody i zarządzenia”.

Wspomniany „Dziennik Polski” z tryumfem donosił o kapitulacji reżimu

i bezprzykładnym zwycięstwie robotników w kraju. Pierwsze informacje mówiły o zablokowaniu torów kolejowych przez załogę Zakładów Mechanicznych „Ursus” i strajku w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu w Warszawie. Jak się niebawem okazało, do najgwałtowniejszych demonstracji doszło w Radomiu, gdzie tłum zdemolował i podpalił gmach Komitetu Wojewódzkiego PZPR oraz wybuchły walki uliczne z milicją. W następnych dniach emigracyjna prasa informowała również o organizowanych odgórnie wiecach w zakładach pracy, podczas których potępiano „chuliganów” i „awanturników” z Radomia czy Ursusa oraz wyrażano poparcie dla władz partyjnych i państwowych. W komentarzu „Dziennik Polski” podkreślił, że niedawne

o Czerwcu '76

strajki były wymownym ostrzeżeniem dla władz PRL: „Okazało się ponownie – pisano – że robotnicy w Polsce nie są potulną, bezgranicznie posłuszną, tępą masą”.

Walczyć z systemem

W ocenie rządu RP na uchodźstwie pogarszająca się sytuacja gospodarcza w kraju była spowodowana nie tylko „usilnym realizowaniem obłędnej doktryny komunistycznej”, lecz także „kolonialną eksploatacją” Polski przez Związek Sowiecki. Protestując przeciwko temu, „naród polski – jak czytamy w odezwie rządu RP z 2 lipca – raz jeszcze wykazał, że z tyranią komunistyczną nie pogodzi się nigdy”.

Według Adama Ciołkosza, przywódcy socjalistów na emigracji, partia komunistyczna w Polsce „znalazła się w sytuacji tak trudnej jak jeszcze nigdy w całym okresie rządów »władzy ludowej«”. Emigracyjny polityk zwrócił też uwagę na to, że w przeciwieństwie do wcześniejszych kryzysów (1956 i 1970 roku) komuniści w Polsce nie mieli „w rezerwie przywódcy, mogącego liczyć na jaką taką popularność w masach”. Ciołkosz wzywał władze PRL do abdykacji, do rezygnacji z monopolu rządzenia. Tego typu apele nie miały jednak żadnej siły sprawczej. Nadzieję na zmiany w kraju polityk wiązał nie z ekipą Gierka, lecz z robotnikami, „którzy udowodnili, że w razie potrzeby potrafią przemawiać językiem zrozumiałym dla Gierka i dla partii komunistycznej – językiem siły”.

Socjalistyczny „Robotnik” zdecydowanie wystąpił przeciwko tezie, że czerwcowe strajki i demonstracje uliczne były

rezultatem prowokacji policyjnej: „Trzeba być wybitnie tępym wyznawcą spiskowego pojmowania dziejów – czytamy w artykule – by uznać za wiarygodny obraz chmury tajniaków, namawiających do strajków i demonstracji robotników w całym niemal kraju”. Publicysta „Robotnika” podkreślił: „Trzeba walczyć nie tylko z podwyżkami cen, ale z systemem, który je wprowadza”.

Giertych: Cicho siedzieć

Podważając tezę o prowokacji, redakcja nawiązywała zapewne do listu otwartego Jędrzeja Giertycha do społeczeństwa w kraju (w artykule nie wymieniono jednak żadnego nazwiska). Giertych napisał list jeszcze na początku czerwca 1976 roku. Pod koniec miesiąca, już po wybuchu strajków w Polsce, wysłał do Polski blisko osiemset egzemplarzy swojej ulotki (list miał cztery strony) na adresy dygnitarzy partyjnych i państwowych, biskupów, rektorów wyższych uczelni, redaktorów czasopism czy do ważniejszych bibliotek. Do redakcji „Robotnika” dotarły najprawdopodobniej jakieś pogłoski na temat listu. Nie znając dokładnie jego treści, nie polemizowano jednak wprost z autorem.

Giertych, od lat związany z obozem narodowym, w tonie żarliwego patriotyzmu ostrzegał kraj przed groźbą antysowieckiego powstania, demaskował „knowania światowego żydostwa”, używał straszaka niemieckiego, odsłaniał „prawdziwe” oblicze trockistów oraz piłsudczyków. Wierny spiskowej teorii dziejów, pisał: „Strzeżcie się prowo-

kacji. Nie dajcie się wciągnąć w działania, których ostatecznym celem nie będzie dobro Polski, lecz przeciwnie, będzie poświęcenie dobra Polski na ołtarzu interesów »możnych tego świata«, będących wrogami Polski, lub co najwyżej takich, którym Polska jest objęta”. Studząc groźbę „rewolucyjnego wybuchu” w kraju, apelował o spokój i rozagę. Rodakom zalecał, by wykorzystując okres „ciszy i spokoju” (!), rozwijali kraj gospodarczo i kulturalnie, a nie myśleli o kolejnym powstaniu, oraz czekali na lepsze czasy, które „jeszcze przyjdą”. Choć przestrogi Giertycha rozmięły się z nastrojami Polaków w kraju, to w atmosferze czerwcowych strajków i demonstracji jego list nabrał nowej aktualności.

Prezes Stronnictwa Narodowego i redaktor naczelny „Myśli Polskiej” Antoni Dargas na łamach tego endeckiego dwutygodnika zaznaczył, że nagle zapowiedź drastycznej podwyżki cen i jej szybkie odwołanie było zjawiskiem niespotykanym w żadnym kraju komunistycznym. Jego zdaniem, robotnicy w kraju pokazali, że „istnieją inne środki osiągania celów narodowych aniżeli bezpłodne czekanie na wojnę, której nikt nie chce, lub szaleńcze porywanie się na zrywy rewolucyjne – powstańcze, które byłyby dziś skazane na utopienie w morzu krwi przy biernym przyglądaniu się tych czynników na Zachodzie, które nas dziś do tego zagrzewają”. Emigracyjny publicysta przyznał, że w pierwszych latach rządów Gierka w sytuacji gospodarczej Polski nastąpiła „znaczną poprawa”. Do załamania koniunktury przyczyniła się recesja gospodarcza na Zachodzie, ale przede wszystkim czynniki natury wewnętrznej, „tkwiące w samych podstawach doktryny komunistycznej i polityki gospodarczej”. Zastanawiając się nad genezą „wydarzeń czerwcowych” w kraju, wskazał też na istnienie rywalizujących grup w partii komunistycznej.

Feliks Chrzanowski na łamach „Gazety Niedzielnej”, pisząc o protestach robotniczych w kraju, stwierdził: „Nigdzie na świecie klasa robotnicza nie jest tak lekceważona i oszukiwana jak w państwach

rzządzonych przez komunistów”. Krytykując omnipotencję komunistycznego państwa, katolicki tygodnik podkreślił: „Przy takim systemie okrzyczany kapitalistyczny pracodawca-krwiopijca jest niewinnym i nieporadnym niemowłkiem, nie mówiąc już, że należy do zamierchłej przeszłości”. Redakcja była również zaniepokojona sytuacją kraju: „Polska – pisano – przypomina hermetycznie zamknięty kocioł, pod którym szaleńcy palą ogień. Prosimy Boga, aby nie doszło do eksplozji”.

Giedroyc: Dociskać pedał

„Jutro Polski”, organ Polskiego Stronnictwa Ludowego, opublikowało artykuł o demonstracjach w Radomiu. Tekst Janusza Kowalewskiego powstał na podstawie relacji naocznego świadka wydarzeń, anonimowego emigranta, który przyjechał do rodziny w kraju i 25 czerwca był w Radomiu. Zafascynowany wydarzeniami, zdecydowanie wyolbrzymiał ich charakter i skalę: „Słuchaj – opowiadał świadek – to była formalna rewolucja! Nie w jednym mieście, nie w jednym województwie, jak w czerwcu 1956 czy w marcu 1968 albo w grudniu 1970. Tym razem cały kraj był w ogniu. A ta zaciekłość ludzi!” Świadek powtarzał zasłyszane pogłoski



Fot. PAP/Tomasz Abramowicz

► Jakub Świącicki, Jerzy Giedroyc i Mirosław Chojecki podczas uroczystości wręczenia Nagrody Nobla Czesławowi Miłoszowi; Sztokholm, 10 grudnia 1980 roku

o strzelaninie i masakrze. Sugerował, że skutkiem demonstracji ulicznych i walk z milicją były liczne ofiary: „Trupów [!] pakują do plastikowych worków, wywożą ciężarówkami i potajemnie grzebią, jak na Wybrzeżu w 70-tym roku. Żeby się ich nikt nie doliczył”. Opowiadał także o powszechnej niechęci do władz komunistycznych, a jeszcze bardziej do Związku Sowieckiego. Zauważył również zmianę stosunku Polaków w kraju do RFN i Niemców. Wyrażało się to w potocznym stwierdzeniu, że „Niemcy nas ratują” (udzielając kredytów), a „Ruscy nas rabują”.

Jerzy Giedroyc w liście z 2 sierpnia do Jana Nowaka-Jeziorańskiego, wieloletniego szefa Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, oceniając sytuację w kraju po protestach, twierdził, że „terror nie złamał robotników i zdumiewająco długo trwa opór intelektualistów”. Redaktor „Kultury” paryskiej uważał, że kolejny wybuch społecznego niezadowolenia jest nieunikniony: „A nasz stosunek do tej ewentualności? – pytał retorycznie. – Nadal uważam – odpowiadał – że trzeba dociskać pedał”.

W obszernym komentarzu do wydarzeń czerwcowych Aleksander Smolar, przedstawiciel nowej emigracji po roku 1968, na łamach kwartalnika politycznego „Aneks”, wydawa-

nego w szwedzkiej Uppsali, wskazywał przede wszystkim polityczne źródła kryzysu w Polsce: „Waga wydarzeń czerwcowych – zaznaczył – polega między innymi na tym, że ukazały one, z ostrością dotychczas nieznaną, iż źródła kryzysów w stosunkach pomiędzy partią a klasą robotniczą mają charakter strukturalny. Kryzysy nie są czymś przypadkowym, nie są wynikiem błędów, których można się ustrzec, ani też nieporozumień, którym można zapobiec, lecz są zakodowane w samym genotypie ustroju, który swoją legitymację czerpie z faktu rzekomego reprezentowania interesów robotniczych”. Smolar był przekonany, że wycofanie podwyżki tylko czasowo rozładuje napięcie, nie likwidując politycznych i gospodarczych źródeł kryzysu. Nie miał wątpliwości, że „obecny układ sił, ukształtowany po wycofaniu się władz z podwyżki, jest nie do utrzymania. Nie do utrzymania ze względów politycznych, psychologicznych, ale przede wszystkim ekonomicznych”. Zapowiedziana podwyżka cen była, jego zdaniem, nieuchronna. W tej sytuacji, wcześniej czy później, dojdzie do następnej konfrontacji z robotnikami – prognozował.

Solidarni z robotnikami

Kampania oszczerstw i drakońskie wyroki sądów na strajkujących robotników wywołały na emigracji powszechne oburzenie. Krajowe media przedstawiały de-



Fot. AIPN

Fot. Laski Diffusion/East News



monstrantów jako chuliganów i kryminalistów niszczących mienie społeczne, okradających sklepy i demolujących obiekty użyteczności publicznej. Londyński „Dziennik Polski”, informując o procesie robotników z „Ursusa”, pisał w tytule o zemście sądowej Gierka na strajkujących. Wysokie kary miały również zastraszyć pozostałych robotników.

Emigranci, solidaryzując się z robotnikami strajkującymi w kraju, zorganizowali 6 sierpnia w sali Ogniska Polskiego w Londynie zebranie protestacyjne. „Czerwcowy protest robotniczy – czytamy w przyjętej przez aklamację rezolucji – był masową demonstracją przeciwko dyktatorskim metodom władz komuni-

stycznych w Polsce, pragnących przetrwać na świat pracy ciężar nieudolności własnych rządów”. Zgromadzeni domagali się zgody władz PRL na powstanie niezależnych związków zawodowych, zagwarantowania prawa do strajku, amnestii dla skazanych za udział w czerwcowych strajkach i demonstracjach, przyjęcia na dotychczasowe stanowiska zwolnionych z pracy, ukarania funkcjonariuszy milicji i Służby Bezpieczeństwa za brutalne traktowanie zatrzymanych. Piętnowali również propagandę władz PRL oskarżającą strajkujących robotników o chuligaństwo i akty wandalizmu.

Wychodźstwo było solidarne z rodakami w kraju nie tylko w słowach. 8 października 1976 roku w Londynie powstał Obywatelski Komitet Zbiórki na Pomoc Ofiarom Wydarzeń Czerwcowych. Na jego czele stanął cieszący się dużym autorytetem na emigracji były ambasador Edward Raczyński. Komitet apelował do Polaków żyjących poza krajem o pomoc dla prześladowanych robotników i ich rodzin. Do końca 1976 roku zebrano 6 tys. funtów, a w pierwszym półroczu 1977 roku – 26 tys. funtów.

Premier RP na uchodźstwie Kazimierz Sabbat, przemawiając 23 października

1976 roku na forum Rady Narodowej RP, podkreślił: „Procesu wyzwolenia się społeczeństwa w Polsce z »dyktatury ciemniaków« nie da się cofnąć. Społeczeństwo napiera na ciasne ramy struktury politycznej i gospodarczej, bo się w nich dłużej nie może zmieścić”. Sabbat zaznaczył, że emigracja nie powinna wzywać rodaków w kraju do wystąpień przeciwko władzom PRL. Decyzja – jak stwierdził – „musi należeć do tych, którzy ryzykują w tego rodzaju aktach oporu wolność, zdrowie lub życie”. Według niego, emigracja nie powinna jednak przeciwdziałać takim wystąpieniom w kraju.

Emigracyjni politycy i publicyści, komentując sytuację w Polsce, zgodnie wskazywali na drastyczną podwyżkę cen żywności oraz sposób jej wprowadzenia jako na bezpośrednią przyczynę protestów. Dostrzegli również głębsze, strukturalne i systemowe, źródła kryzysu. Nieefektywność systemu komunistycznego, narastająca inflacja, uzależnienie Polski od Związku Sowieckiego, wzrastające zadłużenie wobec zachodnich wierzycieli świadczyły o rzeczywistej skali i wadze problemów, przed którymi stały władze PRL. Czerwiec '76 zestawiano z Czerwcem '56 czy Grudniem '70. Chroniczne kryzysy były dowodem na utrzymywanie się oporu społecznego. Strajk pokazał siłę i samoświadomość robotników w Polsce. Podważył też autorytet władz, które ugięły się pod społecznym naciskiem. Wydarzenia zachwiały pozycją Gierka, nie spodziewano się jednak jego rychłego upadku.

Wypadki w kraju nie stały się zarzewiem dyskusji o roli i zadaniach emigracji. Władze na uchodźstwie chciały nadal reprezentować kraj i być depozytariuszem sprawy polskiej, ale w „polskim” Londynie musiano sobie coraz bardziej uświadamiać, że punkt ciężkości przeniósł się nad Wisłę. Kilka miesięcy później wymownym tego świadectwem było pojawienie się jawnej i zorganizowanej opozycji politycznej w Polsce. 🇵🇱

prof. Krzysztof Tarka – historyk,
kierownik Katedry Historii Najnowszej
Instytutu Historii Uniwersytetu Opolskiego



Wypadki w kraju nie stały się zarzewiem dyskusji o roli i zadaniach emigracji. Władze na uchodźstwie chciały nadal reprezentować kraj i być depozytariuszem sprawy polskiej, ale w „polskim” Londynie musiano sobie coraz bardziej uświadamiać, że punkt ciężkości przeniósł się nad Wisłę. Kilka miesięcy później wymownym tego świadectwem było pojawienie się jawnej i zorganizowanej opozycji politycznej w Polsce. 🇵🇱

prof. Krzysztof Tarka – historyk,
kierownik Katedry Historii Najnowszej
Instytutu Historii Uniwersytetu Opolskiego

Fot. AIPN

Cwał

Jerzy Eisler

Krzysztof Zanussi, znany raczej z podejmowania tematów współczesnych, w latach dziewięćdziesiątych nakręcił refleksyjną komedię o stalinizmie. Jest to zarazem najbardziej autobiograficzny film tego reżysera.

W połowie ubiegłej dekady miałem okazję poznać pewną starszą zakonnice, która opowiedziała niezwykle ciekawą historię. Pół wieku wcześniej, w pełni okresu stalinowskiego, była uczennicą klasy maturalnej i gdy jej rówieśnicy zastanawiali się nad wyborem kierunku studiów, ona była już zdecydowana wstąpić do klasztoru. Uczniom polecono wypełnić ankietę, w której między innymi mieli napisać, jak widzą swoją najbliższą przyszłość i na

jaką uczelnię się wybierają. Dziewczyna wiedziała, że jeżeli napisze prawdę, to w ówczesnych realiach może w najlepszym wypadku „nie zdać” matury. Z drugiej strony nie wyobrażała sobie, że zacznie życie zakonne od kłamstwa i zaparcia się własnej wiary. Była zrozpaczona i przerażona, ale widocznie KTOŚ nad nią czuwał. Udała się po pomoc i radę do księdza, który był jej katechetą. Opowiedziała mu o swoim problemie i w odpowiedzi usłyszała niezwykle mądre słowa: „Dziecko, oni nie mają prawa do twojej prawdy”.



Prawda i białe kłamstwa

Historia ta przypominała mi się, gdy po wielu latach ponownie oglądałem *Cwał* w reżyserii Krzysztofa Zanussiiego. W filmie jest znakomita scena, w trakcie której główni bohaterowie – wspaniale zagrana przez Maję Komorowską ciotka Idalia Dobrowolska oraz dziesięcioletni Hubert, w którego rolę wcielił się stawiający pierwsze kroki w aktorstwie młodziutki Bartosz Obuchowicz, dzisiaj jeden z popularniejszych polskich aktorów młodszego pokolenia – prowadzą dramatyczną rozmowę o prawdzie i kłamstwie oraz względności tej

► Dla Idalii Dobrowolskiej (w tej roli Maja Komorowska) opieka nad końmi stała się ucieczką od ponurej komunistycznej rzeczywistości



„Cwał”, reż. Krzysztof Zanussi, 1995, fot. Piotr Bujnowicz @Studio Filmowe TOR

pierwszej. Odpowiadając, a raczej unikając odpowiedzi na skomplikowane pytania chłopca, w pewnym momencie ciotka Ida, która symbolizuje utraconą bezpowrotnie epokę, mówi do Huberta: „W tych trudnych czasach nie ma jednej prawdy. Jest wiele prawd”. Chwilę później, zwracając się do chłopca, ucina rozmowę jednoznacznym stwierdzeniem: „Musimy przetrwać”. Chciałoby się skomentować to słowami: ludzie uczciwi nie mają szans w starciu z nieuczciwymi, posługując się tylko uczciwymi metodami. Ale czy ma to automatycznie oznaczać, że cel uswieca środki? Oczywiście, że nie.

Ciekawe, że poruszona w filmie kwestia prawdy i kłamstwa wywoływała szczególne zainteresowanie nie tylko w Polsce i nie tylko wśród ludzi dorosłych. Krzysztof Zanussi w swojej książce *Pora umierać. Wspomnienia, refleksje, anegdoty* opisuje spotkanie z grupą uczniów w szkole podstawowej o rozszerzonym programie edukacji kulturalnej w rosyjskim Nowosybirsku. Uczniowie zawczasu zobaczyli na kasetach wideo kilka filmów polskiego reżysera. „Po obejrzeniu *Cwału* dzieci powiedziały mi – relacjonował Zanussi – że główny problem tego filmu to »białe kłamstwo«, a więc takie, które obiektywnie nikomu nie szkodzi, ale ich zdaniem szkodzi temu, który kłamie, każde kłamstwo bowiem się do człowieka przykleja. Ciotka w filmie *Cwał* tak właśnie kłamie, a ponieważ jest postacią autentyczną, mogę przyznać, że to, co dzieci wyczuły swoją wrażliwością, potwierdziło się także w życiu. Lata działania »na wariackich papierach« w każdym czynią wewnętrzne spustoszenie”.

Śmieszny straszny stalinizm

W tym miejscu najwyższa pora wyjaśnić, że *Cwał* jest dziełem autorskim w całym tego słowa znaczeniu. Krzysztof Zanussi nie tylko sam napisał scenariusz, lecz także oparł go na historii członków własnej rodziny. Co więcej, osobiście pojawił się w ostatniej scenie filmu, w otoczeniu aktorów grających główne role, i wytłumaczył widzom, który z artystów zagrał kogo z jego bliskich, chociaż zarazem podkreślał, że nie wszystko było dokładnie tak, jak to pokazano w filmie. W rolę Krzysztofa Zanussiiego w latach dziecięcych wcielił się Bartosz Obuchowicz. Twórca *Cwału* uważa zresztą, że stalinizm w Polsce – przynajmniej z punktu widzenia wrażliwego, kulturalnego i czytanego chłopca – jawi się jako coś zarazem strasznego i śmiesznego. Właśnie w taki sposób starał się to ukazać w swoim filmie. Jakkolwiek obrazoburczo by to brzmiało, *Cwał* jest komedią, chociaż nie z gatunku tych, dzięki którym boki można zrywać, lecz refleksyjną, skłaniającą widza do własnych przemyśleń.

Zanussi chciał zrealizować ten film bezpośrednio po swoim debiucie, czyli po nakręconej w 1969 roku *Strukturze kryształu*. W tamtych czasach było to jednak niemożliwe. Sam skądinąd rozumiał, że dotarł już do granicy nieprzekraczalnej ze względów cenzuralnych. „Później też nie mógłbym tego filmu zrobić – tłumaczył po latach – chyba że w roku 1980, ale wtedy Ryszard Bugajski realizował *Przesłuchanie*, które ►



„Cwale”, reż. Krzysztof Zanussi, 1995, fot. Piotr Bujnowicz
© Studio Filmowe TOR

► W *Cwale* nawet w rolach drugoplanowych i epizodach pojawiają się znani artyści; tu Piotr Adamczyk z Karoliną Wajdą

o wiele poważniej traktowało tamte czasy. Teraz wszystko się oddaliło, a ja postarzałem się o tyle, że nie chce mi się już rozliczać z tamtą epoką, ale ją wspominać. To było moje dzieciństwo”. W ten sposób powstał jednak niezwykle film, zupełnie wyjątkowy w dorobku reżysera, który raczej stronił od ucieczek w dalszą przeszłość, koncentrując się na tematach współczesnych. Po premierze Zanussi stwierdził otwarcie: „To najbardziej autobiograficzny z moich filmów, jak karta wyjęta z rodzinnego albumu”.

Nie można też jednak nie dostrzegać tego, że jest to – obok *Rewersu* – najbardziej „odrębny” film wśród wszystkich dzieł, których akcja została umiejscowiona w stalinowskiej Polsce. Jak zwykle w obrazach tego typu, w tle rozlegają się popularne wówczas pieśni masowe, widzimy czerwone szturmówki, porozwieszane w różnych miejscach plakaty i transparenty z epoki, rozmaite wiece, pochody, masówki itp. Ale równocześnie, mimo że ojciec głównego bohatera po wojnie został w Wielkiej Brytanii i nie może połączyć się z rodziną w kraju, mimo wszechobecnej presji ideologicznej, w *Cwale* chyba najdobitniej uosabianej przez zaangażowaną nauczycielkę w czerwonym krawacie Związku Młodzieży Polskiej (nawąją się tu pewne analogie z druzną z *Dreszczy* Wojciecha Marczewskiego), mimo atmosfery zastraszenia i wszechogarniającego donosicielstwa, jest w tym filmie coś ciepłego i dającego nadzieję. Skrajny optymista mógłby nawet doszukać się w nim przesłania, które dałoby się ująć słowami: nie ma tak okropnej sytuacji, w której nie można by się starać zachowywać po ludzku. Z drugiej strony jednak napawa przerażeniem i zarazem obrzydzeniem fakt, że kolega Huberta ze szkolnej ławki, Władek (syn partyjnego dziennikarza), donosi na niego i jeszcze jednego kolegę z klasy, że śmieli się, trzymając po północy wartość honorową obok posągu zmarłego dzień wcześniej Józefa Stalina. Taki donos mógł mieć przecież wówczas naprawdę dotkliwe konsekwencje.

Równocześnie jednak jest to – jak czytamy w materiałach dystrybutora – „niezwykły film o radości życia, której nie stłumią ani mury więzienia, ani szykany i prześladowania”. Autor postanowił pokazać w optymistycznej wersji, jak w okresie stalinowskim radzili sobie z tą straszną codziennością przynajmniej niektórzy przedstawiciele klas społecznych skazanych przez komunistów na „stopniową likwidację”: ziemiaństwa, burżuazji, inteligencji. Jedną z najważniejszych kwestii, pomagających w przetrwaniu, było dla niektórych z nich znalezienie sobie w miarę możliwości jakiegoś „azyłu”, miejsca w którym mogliby czuć się naprawdę jak u siebie, i wymyślenie czegoś, czym mogliby się zająć z przyjemnością, nie narażając się zarazem na niebezpieczeństwo ze strony „bezpieczeństwa”.

Ekscentryczna ciotka Ida wybrała konie, dla większości komunistów będące symbolem nienawistnej im „pańskiej Polski”, która nieodwołalnie miała przejść do lamusa historii. Wydaje się, że opieka nad końmi, a zwłaszcza grupowe (z bliskimi jej ludźmi) galopowanie na nich, nadają sens życiu Dobrowolskiej. Nie zamierzam tutaj szczegółowo opisywać przygód towarzyszących tym galopadom, ale przynajmniej o jednej warto wspomnieć. Mianowicie w związku z zainteresowaniem końmi Idzie udało się nawet porozmawiać niemal w cztery oczy z samym marszałkiem Konstantym Rokossowskim – mimo wojskowej



ochrony towarzyszącej jego przejażdżkom na torze wyścigów konnych na warszawskim Służewcu. Zawarta w niecodzienny sposób znajomość ze ściągniętym z Moskwy „polskim” ministrem obrony narodowej po pewnym czasie bardzo się zresztą jej przydała.

Burżuazyjna sztuka, ale po rosyjsku

Cwał, który miał oficjalną premierę 29 kwietnia 1996 roku, został zrealizowany z charakterystyczną dla twórczości Krzysztofa Zanussiego dbałością o szczegóły, o klimat, o nastrój. Piękne barwne zdjęcia zrealizował Jarosław Żamojda, a wspaniałą, po raz kolejny prawdziwie „westernową” muzykę skomponował Wojciech Kilar. Skoro o oprawie muzycznej filmu mowa, to warto jeszcze przypomnieć, oprócz wspomnianych pieśni masowych, znakomitą scenę akademii pierwszomajowej, w trakcie której Idalia zaśpiewała habanerę z opery *Carmen* Georges’a Bizeta. Aby uniknąć możliwych w tamtych realiach

nader niebezpiecznych zarzutów propagowania „burżuazyjnej sztuki”, wykonała tę pieśń – jak sama zawczasu zapowiedziała – w „języku ojczyzny międzynarodowego proletariatu”. Przyznać trzeba, że jest to scena, którą trudno zapomnieć.

Zanussi bardzo starannie zestawiał także obsadę filmu. Poza już wymienionymi aktorami, w rolach drugoplanowych, a nawet w epizodach przewijają się znani artyści: Piotr Adameczyk, Stanisława Celińska, Sławomira Łozińska, Piotr Szwedec, Grzegorz Warchoń i Cezary Żak. W niewielkiej roli wpływowego ministra, żyjącego niczym udzielny władca, wystąpił znany producent filmowy Lew Rywin. Było to kilka lat przed tym, jak jego nazwisko stało się symbolem jednej z największych w dziejach Polski afer korupcyjnych. ❀

prof. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL oraz najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące”, czyli kryzys(y) w PRL* (2008), *Siedmiu wspaniałych. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR* (2014)

► Młodzieńki Bartosz Obuchowicz z powodzeniem wcielił się w rolę Huberta, przypominającego Krzysztofa Zanussiego z lat dziecięcych



Orzeł na krzyżu niespodzianym

Tomasz Zawistowski

W marcu 1915 roku, w ósmym miesiącu Wielkiej Wojny, płk Bolesław Roja otrzymał zadanie utworzenia kolejnego, 4. Pułku Piechoty Legionów Polskich. Dowódcą jego I batalionu został kpt. Andrzej Galica. Trzon nowego oddziału stanowili zahartowani w bojach legioniści, wśród których było wielu Podhalan. Powstawał pułk, który miał zapoczątkować w tworzącym się polskim wojsku nową tradycję; to dla jego żołnierzy została zaprojektowana pierwsza odznaka pułkowa.

Pułk formowali doświadczeni oficerowie, którzy wyciągnęli wnioski z błędów chaotycznej mobilizacji jesienią poprzedniego roku. Od samego początku zwracano uwagę na wyposażenie i umundurowanie, starając się jednocześnie wprowadzić akcenty wyróżniające żołnierzy puł-



► Swastyka 4. Pułku Piechoty po sierż. Gustawie Zaleskim, podoficerze 4. pp, później wachmistrzu 2. pu, kapitanie 5. Dywizjonu Samochodowego (por. „Pamięć.pl” nr 12/2013) i majorze Polskich Sił Zbrojnych

Fot. ze zbiorów autora



► Plutonowy Zygmunt Stańkowski z 4. Pułku Piechoty Legionów Polskich w czapce zwanej „galicówką” z widoczną cyfrą pułkową „4” aplikowaną na ramieniu bluzy

ku. Czwartacy otrzymali nakrycia głów nowego wzoru, rogatywki ze skórzanym paskiem z przodu. W rozkazie wprowadzającym nazwano je czapkami „systemu »Galica«”, a z biegiem czasu popularna stała się nazwa „galicówki”, ewentualnie „rojówki”. Na płaszczu i bluzy rozkazano Czwartakom naszywanie cyfry pułkowej „4” z zielonego sukna” (zdj. powyżej). *Esprit de corps* budowano, odwołując się wielokrotnie do „walecznych tysięcy” z czasów Powstania Listopadowego.

W lipcu 1915 roku pułk wyruszył na front, gdzie miał współdziałać z I Brygadą LP, nie wchodząc jednak w jej skład. Chrzest bojowy przeszedł 22 lipca, a 31 tegoż miesiąca zaczął trzydniową bitwę pod Jastkowem, w której zdobył uznanie i sławę bojową, ponosząc jednak znaczne straty. W kolejnych miesiącach Czwartacy ścigali uchodzących Moskali i przebijali się przez wołyńskie bagna aż do rzeki Stochód. Jesienią 1915 roku na Wołyniu front zastął w bezruchu na pół roku.

Rojowe Osiedle

9 grudnia 1915 roku Czwartacy zajęli stanowiska pod Optową. Była to co prawda pozycja frontowa, ale w odróżnieniu od wszystkich dotychczasowych – stabilna, jak to na wojnie pozycyjnej. Służba ogra-

niczała się do patroli i nieszkodliwej, obustronnej strzelaniny artyleryjskiej. Pułk rozbudował rowy strzeleckie i łącznikowe. Legioniści i ich niemieccy sojusznicy rozpoczęli budowę wygodnego zaplecza, naśladując wzorce z frontu zachodniego.

Przewidując spędzenie w okolicach Kostiuchnówki zimy, legioniści wykorzystywali spokój na froncie i wznosili ziemianki. Do pracy skierowano przede wszystkim oddziały techniczne, wzmocnione siłą roboczą wyselekcjonowaną spośród jeńców, ale w budowę i ulepszenie kwater zaangażowali się wszyscy żołnierze. Rozpoczęła się rywalizacja między pułkami; każdy chciał, by jego osiedle było okazalsze od innych. Imponująco prezentowało się osiedle zbudowane dla Komendy Legionów, ochrzczone Legionowem, zaopatrzone w elektrownię, sklepik prowadzony przez skautów, konną kolejkę i kino, ale i Czwartacy nie wypadli sroce spod ogona. Ich zimowe leże,

tuż za pozycjami pułku pod Optową, nazwane na cześć pułkownika Rojowym Osiedlem, zostało zbudowane pod nadzorem Andrzeja Galicy, awansowanego tymczasem do stopnia majora. Góral z pochodzenia, a inżynier z wykształcenia, stworzył chyba najokazalsze spośród legionowych osiedli, wyróżniające się licznymi elementami stylu zakopiańskiego. Dominował budynek komendy pułku, wzniesiony z sosnowych bali, do połowy wpuszczony w ziemię, ozdobiony okazałym orłem z brzoźowych gałązek (zdj. na s. 50). To tam odbyły się pierwsze zebrania Rady Pułkowników. Dookoła pobudowano ziemianki poszczególnych batalionów i kwatery oficerskie. Ich opis przetrwał we wspomnieniach kapelana pułku, ks. Kazimierza Nowina-Konopki: „Czterech oficerów mieszkało w jednym korytarzu, każdy osobno. Pokój mój umeblowany był bardzo dobrze. Długość ze 3 metry, szerokość 2 metry, sufit obi- ▶

► Brama wjazdowa do Rojowego Osiedla ozdobiona orłem



Fot. ze zbiorów autora

ty białym płótnem ze śniegowych płaszczów. Miałem dużo światła przez jedyne okno, wychodzące na powierzchnię ziemi. Pod oknem nieduży stolik, prawie zaraz za stolikiem – w rogu blaszany piecyk. Od piecyka, wzdłuż krótszej ściany łóżko – prycza z wiórami niby wełną, ale z prześcieradłem i poduszką z wiór i kilku kocami. Obok łóżka stolik z gumową miednicą do mycia. Ściany były wytapetowane ceratką, by woda nie kapiała”.

Wjazd do Rojowego Osiedla był ozdobiony wysoką bramą z nieokorowanych pni brzoźowych, uwieńczoną kolejnym orłem, tym razem z cyfrą pułkową na tarczy (zdj. na 51). Na wiosnę Czwartacy zbudowali następną perełkę stylu zakopiańskiego – kaplicę, zlokalizowaną w pobliżu dowództwa. Odprawioną w niej 22 kwietnia 1916 roku rezurekcję liczni goście dobrze zapamiętali i uwiecznili w swoich pamiętnikach. Urządzony wewnątrz Grób Pański w kształcie grotty był udekorowany paprociami, widłakami, bluszczem i mchem. Wnętrze kaplicy oświetlono reflektorami, co spotęgowało niesamowitą atmosferę. Oprócz kaplicy w Rojowym Osiedlu były biblioteka, atelier fotograficzne, chór, kort tenisowy, kręgielnia, boisko i kino. Gdy Komenda Legionów zarządziła przekazanie terenu pod Optową I Brygadzie, Czwartacy sfingowali epidemii nosacizny wśród pułkowych koni, dzięki czemu uniknęli oddania wychuchanych kwater. Rojowe Osiedle przetrwało aż do lipca 1916 roku, kiedy to zmiotła je – wraz z innymi osadami legionistów – ofensywa gen. Aleksieja Brusilowa. Wołyńskie leża zimowe przetrwały w pamięci legionistów. W 1919 roku Bolesław Roja, już w stopniu generała brygady WP, nadał podwarszawskiemu osiedlu wojskowemu koło Jabłonnej nazwę Legionowo.

Znak swastyki

Wiosenny spokój 1916 roku przyczynił się do narodzin tradycji w polskim wojsku dotąd nie-

znanej: nadawania odznak pamiątkowych. Faktem jest, że jeszcze przed wybuchem Wielkiej Wojny absolwenci tajnej Szkoły Oficerskiej Związku Walki Czynnej otrzymywali odznakę przezwaną popularnie „parasolem”. Jednak w 1916 roku miała się rozpocząć nowa epoka. W maju komendant Józef Piłsudski zatwierdził projekt odznaki I Brygady LP, zwanej początkowo „Odznaką za wytrwałą służbę”, a ostatecznie wprowadzonej jako „Odznaka za wierną służbę”. Jej projektantem był sierż.

Wojciech Jastrzębowski, w cywilu znany malarz i grafik, późniejszy rektor warszawskiej ASP, jeden z licznych artystów w I Brygadzie. Uroczyste nadanie tej odznaki odbyło się 6 sierpnia 1916 roku, w kolonii Dubniaki nad Stochodem, w drugą rocznicę wymarszu Kompanii Kadrowej. Komendant Piłsudski, otrzymawszy odznakę jako pierwszy z rąk szefa sztabu, Kazimierza Sosnkowskiego, osobiście wręczał kolejne byłym żołnierzom Kompanii Kadro-

► Podporucznik 4. Pułku Piechoty w mundurze wz. 1917 ze swastyką i z kłami pułkową





Fot. ze zbiorów Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku

► Klamra 4. Pułku Piechoty, nieregulaminowa, lecz chętnie nabywana i noszona przez żołnierzy wszystkich stopni

wej oraz delegatom wszystkich oddziałów I Brygady.

Oficerowie 4. Pułku Piechoty nie zamierzali pozostać w tyle. Skoro I Brygada miała swoją odznakę, to i doborowy pułk należący do III Brygady też mógł sobie na taką pozwolić. Major Galica postanowił zlecić zaprojektowanie odznaki pułkowej fachowcowi, a takim z pewnością był obecny w pułku Jan Raszka, tytułarny chorąży, a w cywilu rzeźbiarz, profesor i dyrektor Państwowej Szkoły Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego w Krakowie. Profesor i chorąży w jednej osobie odnotował w swoich pamiętnikach: „W pułku spotkałem po dłuższym czasie i Galicę, którego znałem z Przemyśłowki, gdzie wykładał na melioracji. [...] [Na jego prośbę] zająłem się odznaką dla czwartego pułku. Zaprojektowałem cztery szable skrzyżowane, co wyglądało jak cztery czwórki na krzyż – a z grubsza wycięte z blachy zrobiło się podobne do swastyki i na tej swastyce też stało – na życzenie Roi”.

Swarzyca, Swarga, Swarożyca, Świaszczyca, Swastyka – ta lista nie wyczerpuje nazw, którymi Słowianie określali symbol zwany przez innych krzyżem Thora. Krzyż lub krzyżyk niespodziany, jak do dziś nazywa się swastykę na Podhalu, pojawił się na świecie minimum 10 tys. lat temu, a na naszych ziemiach jest znany przynajmniej od czwartego tysiąclecia przed naszą erą i stanowi po

dziś dzień symbol wierzeń epoki przedchrześcijańskiej. Od nastania nowej ery ustąpił pierwszeństwa krzyżowi, współistniejąc z nim jednak przez cały czas. Można go znaleźć na urnach grobowych całej Europy Środkowej i w polskich herbach szlacheckich. Według wierzeń przynosi on pomyślność i chroni przed złem, dlatego też często zdobiono nim domy i sprzęty. Mieczysław Karłowicz znaczył nim szlaki turystyczne. II wojna światowa i zawłaszczenie symbolu swastyki przez Niemców sprawiły, że część Polaków jest skłonna utożsamiać swastykę jedynie z nazizmem, nie wiedząc bądź zapominając o jej indoeuropejskim rodowodzie oraz o jej roli w podhalańskiej kulturze i zdobnictwie.

Kłopoty z datowaniem

Literatura przedmiotu podaje często, że egzemplarz swastyki 4. Pułku Piechoty oznaczony numerem „1” został wręczony Piłsudskiemu z okazji święta pułkowego, które odbyło się w ostatnich dniach maja 1916 roku na Wołyniu. Informacja ta, powtarzana za biografem Piłsudskiego, Wacławem Jędrzejewiczem, brzmi zgoła fantastycznie. Oznaczałaby ona bowiem, że znak Czwartaków powstał o kilka miesięcy wcześniej niż odznaka I Brygady. Źródło, na które powołuje się Jędrzejewicz, pozwala na szczęście na zweryfikowanie tej informacji: w numerze 81/1916 gazety „Wiadomości Polskie” jest obszer-

ny opis uroczystości czwartackich, w których wziął udział Komendant, nie ma jednak mowy o wręczaniu odznaki. Przeczy tej relacji również lista odznaczonych; swastykę z numerem 1 otrzymał bowiem dowódca 3. Kompanii, kpt. Mieczysław Więckowski.

Właściwej dacie zaprojektowania i wręczania trzeba w tej sytuacji szukać gdzie indziej. Pomocne są tu cytowane powyżej pamiętniki Jana Raszki, które zawierają zwrot „spotkałem po dłuższym czasie i Galicę”. Otóż chor. Raszka przybył do 4. Pułku Piechoty po raz pierwszy tuż przed uroczystościami majowymi, nie mógł więc w tym czasie zaprojektować swastyki. Wyjechawszy z frontu przed rozpoczęciem czerwcowej ofensywy Brusilowa, powrócił do szeregów w połowie sierpnia 1916 roku. Wszystko wskazuje na to, że właśnie na przełomie sierpnia i września wykonał projekt znaku. 14 września został wydany rozkaz pułkowy nr 238, podpisany przez płk. Roję, głoszący: „Za 1915 i 16 rok służby wojennej nie obfitującej wprawdzie w błyszczące wypadki w naszej monotonnej, a jednak tyle sił wymagającej kampanii należy się każdemu żołnierzowi 4-go pułku wspólna polska pamiątka, którą jako mały znak zasługi za te szare tygodnie zmagania się i wytrwania pośród trudnych i nieprzyjemnych warunków – nosić będziemy. W tym celu ustanawia Kmda pułku wspólny dla oficerów i żołnierzy frontowych znak swastyki”. Na legitymacjach uprawniających Czwartaków do noszenia go widnieje data 14 września 1916 roku, kiedy to wydano rozkaz pułkowy nr 238, którym oficjalnie została wprowadzona odznaka, nazwana „znakiem swastyki”. Obok ręcznie wpisywanych dat jest wydrukowana znamienna adnotacja: „Trzeciego [roku] wojny światowej” i miejsce nadawania: „Pozycja pod Rudką Sitowicką”. Na odznakę 4. Pułku, podobnie jak na odznakę I Brygady, należało zasłużyć. Warunkiem koniecznym było odbycie przynajmniej rocznej, nie-nagannej służby frontowej w szeregach oddziału. Stąd też w oficjalnych komunikatach podawano, że taki to a taki został „odznaczony swastyką”.

Pierwsza seria odznak I Brygady została wykonana przez warszawskiego grafika Józefa Chylińskiego ze stali (zwanej powszechnie, ale niezbyt poprawnie, żelazem). Nie można wykluczyć, że na wybór takiego materiału miała wpływ piękna, choć zapożyczona od Niemców koncepcja Krzyża Żelaznego, którym w owych latach dekorowano również polskich legionistów. W pierwotnym zamysle rozkazu czwartackie odznaki także miały być stalowe (żelazne), w praktyce jednak najczęściej wykonywano je na froncie z aluminium, a materiału do produkcji dostarczali Moskale.

Zdobyczne aluminium

„– Szrapnele! – woła ktoś zciszonym głosem [we wszystkich cytatach pisownia oryginalna]. Nagle coś zawarczało nisko nad głowami, dziwny, metaliczny jęk przeszył powietrze. Jakiś żołnierz porwał się i pędzi w ślad za jękiem. – Psie mienso! Sparzy! Cholero goronca! – Mos?! – pyta drugi głos. – Mom, ino niech ostygnie jucha! Pikny wis?! pietnastkami juchy prażom! Nagle piekielny chychot, jasny słup ognia, nieopisany huk, ułamki żelaza, piach... Żołnierz spłaszczył się, zmalął, wcisnął się w ziemię i czeka. Już zcichło. Ostrożnie podnosi głowę i znowu przypada do ziemi. Znowu błysk, dym, kurzawa, ogłuszający huk i jęk żelazny, bolący... I po chwili znowu to samo – grad ołowiu spada z góry, zegar dzwoni tuż przed rzędem leżących żołnierzy. – Jest! – wykrzyknął żołnierz i na łopacie niesie błyszczący, jeszcze gorący zegar. [...] – Dziś powiadam ci, strasznie wykosztowały się mochy, aż dwadzieścia trzy szrapnele puściły. Morusy! Jakby wiedziały, że nam zabrakło już aluminium na pierścionki. – Chwyćcieś co? – Dwa zegary”.

Cytowane powyżej wspomnienia Tadeusza Panneni, żołnierza 5. Pułku Piechoty LP, przedstawiają polowanie na aluminium, z którego w warunkach polowych można było wytwarzać różne pamiątki. Tak opisywał to zjawisko Józef Herzog z 1. Pułku Piechoty LP: „Zasłynęło w okopach robienie pierścionków, orzełków i innych zdobniczych przed-

miotów z aluminium. [...] Głowice pocisków artyleryjskich, tak zwane zegary, były wykonane z aluminium. Z chwilą rozprysku szrapneli, czasami cała głowica-zegar, a zwykle drobne, pogięte z głowicy kawałki zaścielały pola, względnie wgłębiały się w ziemię. Po strzelaniu artyleryjskiej przedsiębiorczy majstrowie wypełzali z okopów i lekceważąc niebezpieczeństwo, przeszukiwali teren [...]. Następnie na kuchenkach, w różnych tyglach, topiono aluminium i przy pomocy różnej średnicy okrągłych, podłużnych drewniaków wykonywano odlewy w kształcie dłuższych lub krótszych tulejek. Z tulejek, przy pomocy pilników, robiono już na miarę i zamówienie pierścionki, zdobiąc je ornamentami według życzeń zamawiającego. Interes pierścionkowy był popłatny. Wyroby rozchodziły się nie tylko po okopach, ale szły na tyły do kucharzy, taborów, intendentów, a ci płacili najlepszą walutą, bo żywnością i papierosami”. Wyroby te, zaliczane dziś do tzw. sztuki okopowej, były bardzo zróżnicowane pod względem jakości wykonania. Do najbardziej pracowitości należały aluminiowe, ręcznie rytowane rękojeści czwartackich noży przerabianych z austriackich bagnetów. Widniały na nich orły, swastyki i monogramy właścicieli. Zdarzały się frontowym artystom i dziwniejsze pomysły. Podczas uroczystości pierwszej rocznicy wyruszenia 4. Pułku Piechoty w pole płk Roja wręczał zaproszonym gościom oryginalne prezenty w postaci żółwi, których sporo żyło w wołyńskich mokradłach. Skorupy gadów wręczanych przez dowódcę Czwartaków były ozdobione legionowymi orłami, a ich krawędzie okute aluminium.

Umiejętności zdolnych rzemieślników były cenione do tego stopnia, że w rozkazie wprowadzającym odznakę 4. Pułku Piechoty podano co prawda, że przewiduje się zamówienie serii odznak firmowych, która „będzie prawdopodobnie w przeciągu najbliższych tygodni jednolicie i ze żelaza wykonana”, ale jednocześnie, że: „Prócz tego mogą odznaczeni zamawiać drugi egzemplarz aluminiowy z pocisków armatnich ro-

boty ręcznej u rusznicarzy baonowych i pułkowego”. Po dziś dzień zachowały się liczne egzemplarze odznak w wielu odmianach różniących się szczegółami wykonania. Na wszystkich jednak orzeł bez korony jest otoczony w kwadrat napisami: „4.P.P.”, „ROK WOJNY”, „1914–1915” i „ZASŁUGA” bądź „ZA WALECZNOŚĆ”.

Czwartacka swastyka

Czwartacy szczerze przywiązali się do swego znaku. Swastyka była umieszczana na pięknych, choć nieregulaminowych klamrach do pasów. W latach międzywojennych zdobyła między innymi exlibrisy pułkowej biblioteki i sztuce z kasyna, ponadto trafiła oczywiście na drugą wersję odznaki pułkowej, wprowadzonej w 1928 roku i wytwarzanej już przez znaną firmę Wiktora Gontarczyka. Rozkaz ustanawiający znak w 1916 roku zawierał słowa „a gdyby 4 pułk miał istnieć stale po wojnie, będzie dla pamiątki obchodzoną co roku 24 czerwca uroczystość swastyki, przy czym żołnierze przez cały dzień mają być zwolnieni od służby i mają być obmyślane zabawy poza miastem aż do późnej nocy z ogniskami i z uwzględnieniem naszych starosłowiańskich zwyczajów”. Pułk przetrwał wojnę i w niepodległym kraju obchodził rokrocznie swoje święto. W piśmie „Panteon Polski” z lipca 1935 roku znalazł się opis uroczystości piętnastolecia pułku: „O godzinie 21-ej odbył się capstrzyk orkiestry po ulicach miasta, poczem odmarsz na »sobótki«. Rzesze ciekawej publiczności, goście i długie kolumny oddziałów pułku, niosąc niezliczoną ilość płonących kolorowych lampionów, przeszły ulicami miasta przy dźwiękach orkiestry na wzgórze Kadzielnia. Tam już płoną olbrzymie stosy drzewa, oświetlając wysokimi językami ognia całe wzgórze, zbliżające się kolumny wojska i tłumy publiczności. Na szczycie łśni wysoko umocniona ogromna swastyka czwartacka ułożona z lamp elektrycznych”.

Tomasz Zawistowski – autor pięciu tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1900–1945*

Erkaem z Fabryki Karabinów

Michał Mackiewicz

We wrześniu 1939 roku większość polskich żołnierzy walczyła bronią wyprodukowaną w krajowych wytwórniach. Był to na ogół sprzęt powstały na podstawie obcych rozwiązań konstrukcyjnych, chociaż zmodyfikowany przez rodzimych inżynierów. Standardowy ręczny karabin maszynowy Browning wz. 28 stanowił jedno z kolejnych wcieleń słynnego amerykańskiego BAR-a. Produkowany w warszawskiej Fabryce Karabinów, znalazł szerokie zastosowanie także po 1939 roku, tym razem w szeregach konspiracji.

Arsenał Wojska Polskiego w początkach lat dwudziestych ubiegłego stulecia tworzyły konstrukcje przestarzałe lub mocno zużyte wieloletnią służbą frontową. W pierwszej dekadzie niepodległości rozpoczął się żmudny, kosztowny i długotrwały proces standaryzacji uzbrojenia. Dotyczył także broni

maszynowej. „Znajdująca się dotychczas w wyposażeniu armii lekka broń maszynowa: erkaem Chauchat wz. 1915 i elkaem Maxim wz. 1908/15, nie odpowiadała wymaganiom lat dwudziestych, pierwszy z powodu zbyt małej szybkostrzelności i znacznej zawodności działania, drugi – zbyt dużej masy i skomplikowanej konstrukcji” – czytamy w książce Andrzeja

Konstankiewicza *Broń strzelecka i sprzęt artyleryjski formacji polskich i Wojska Polskiego w latach 1914–1939* (2003).

Browning dla Wojska Polskiego

Zainteresowanie armii nowym zunifikowanym erkaemem datuje się od 1922 roku; rok później Departament Uzbrojenia Ministerstwa Spraw Wojskowych rozpiisał konkurs na nową broń. Oczekiwania dotyczące walorów zwięźle scharakteryzował w książce *Uzbrojenie piechoty w czasie dwudziestu lat niepodległości* (1955) Tadeusz Felsztyn, inżynier i oficer WP, pracownik przedwojennego Instytutu Technicznego Uzbrojenia: „Miała to być broń o dużej mocy na krótkie okresy walki, a więc na czas skoków drużyny w natarciu i jako uzupełnienie sieci ciężkich karabinów maszynowych w obronie. Ze względu na główne jego zadanie: ➤

► Celowniczy erkaemu wz. 28 podczas manewrów; druga połowa lat trzydziestych



Fot. ze zbiorów MWP

► Erkaem Browning wz. 28

wspieranie ruchu piechoty na ostatnich 400 metrach, duża jego donośność nie była konieczna, nawet w obronie, gdzie – jak sądzono – korzystniej będzie raczej otworzyć ogień w ostatniej chwili, niż przedwczesnym strzelaniem wyjawiać nieprzyjacielowi stanowisko, a więc narazić się na zniszczenie. Natomiast, jako broń pierwszych rzutów walki, musiała to być broń tak lekka, aby jeden żołnierz mógł ją przenosić bez trudu, nie zdradzając przy tym się zbyt swą sylwetką”. Wśród

konkurentów, którzy stanęli w szranki, wyróżniał się erkaem systemu Brownina, oferowany przez belgijską Fabrique Nationale, będącą europejskim przedstawicielem amerykańskiego koncernu Colt. Broń ta być może nigdy by nie powstała, gdyby nie pewne polowanie.

Amerykański geniusz rusznikarski John Moses Browning wybrał się ongiś ze strzelbą na ptactwo. Połując w wysokiej trawie, zauważył, że wydostające się z lufy gazy prochowe działają na żdźbła.

Zainspirowany zjawiskiem, przeprowadził potem eksperyment. Naprzeciw wylotu lufy ustawił kilkukilogramowy blok żelaza z przewierconym pośrodku otworem, przez który miała przelecieć kula. Po strzale działanie gazów wylotowych spowodowało przepchnięcie bloku przez całą długość warsztatu. Doświadczenie stało się impulsem do opracowania nowego sposobu uruchamiania mechanizmów broni automatycznej. Podczas strzału część ciśnienia gazów prochowych była





Fot. ze zbiorów MWPP

► Sygnatury na komorze zamkowej Browninga wz. 28 wyprodukowanego w Fabryce Karabinów w Warszawie

kierowana przez boczny otwór w lufie do specjalnej rury umieszczonej nad lub pod lufą karabinu; parło ono na poruszający się w jej wnętrzu tłok, który wymuszał pracę pozostałych części.

Amerikanin sukcesywnie dopracowywał zasadę działania polegającą na odprowadzaniu gazów przez boczny otwór w lufie. Browning zastosował ten mechanizm w jednej ze swych epokowych konstrukcji – karabinie automatycznym BAR (Browning Automatic

Rifle). Broń zasilana z dwudziestonabojuowego magazynka i strzelająca nabojem 0,30 cala (7,62 mm) miała przełącznik rodzaju ognia (ogień ciągły lub pojedynczy) i wydatnie zwiększyła siłę ognia drużyny piechoty. Była wymarzoną bronią dla żołnierzy walczących w płataninie transzei frontu zachodniego podczas I wojny światowej, umożliwiała bowiem łatwe przenoszenie i eliminowanie gniazd ogniowych przeciwnika w trakcie ataków własnej piechoty. Amerykańscy żołnierze, którzy od 1917 roku zaczęli docierać na pola Szampanii, szybko pokochali tę konstrukcję, zwłaszcza że okazała się niezawodna nawet w trudnych warunkach polowych. Zastępca sekretarza obrony USA, Benedict Crowell, raportował: „Karabiny automatyczne Browninga są wysoko cenione przez oficerów i żołnierzy, którzy ich używają. Mimo iż karabiny te przeszły ciężką służbę, pozostając w pierwszej linii wiele dni, w ciągłym deszczu i przy braku możliwości konserwacji, działały niezmiennie doskonale”. I działać miały przez następnych kilkadziesiąt lat – poddane nieznacznej modyfikacji, towarzyszyły amerykańskim

żołnierzom podczas II wojny światowej i konfliktu koreańskiego.

Ostatecznie, w wyniku licznych testów i prób, pod koniec lat dwudziestych Browning z Fabrique Nationale (M1924 – wersja BAR-a) okazał się bezkonkurencyjny i przyjęto go do uzbrojenia WP pod oznaczeniem wz. 28. Broń poddano modyfikacjom: dostosowano ją do standardowej amunicji Mausera kal. 7,92 mm. „Nóżki przednie zastąpiono płozami, które uważaliśmy za znacznie dogodniejsze do strzału, zmieniono kształt kolby zgodnie z krótszym ramieniem przeciętnego piechura polskiego, a wreszcie zmieniono celownik przeziernikowy na otwarty” – wspominał Felsztyn. Przebudowano regulator gazowy (mechanizm ten odpowiadał za zwiększenie lub zmniejszenie szybkostrzelności) i wzmocniono połączenie lufy z komorą zamkową. Ponadto erkaem został dostosowany do prowadzenia ognia przeciwlotniczego – na lufie zamocowano wspornik do muszki kołowej („pajęczynkę”), którą przenoszono w blaszanym pojemniku.

10 tys. sztuk wz. 28 zamówiono w FN, a w 1930 roku seryjna produkcja ruszyła również w warszawskiej Państwowej Fabryce Karabinów. W momencie wybuchu wojny WP dysponowało ok. 20 tys. erkaemów wz. 28, które stanowiły uzbrojenie drużyn piechoty i plutonów kawalerii. Ponadto na szczelbu batalionu znajdowała się kompania cekaemów Browning wz. 30. Odpowiadało to ogólnoswiatowemu standardowi, zarówno jeśli chodzi o broń, jak i organizację. W ZSRR były to erkaemy DP i cekaemy Maxim, w Wielkiej Brytanii odpowiednio: breny i vickersy, a we Francji erkaemy Châtellerault i cekaemy Hotchkiss. Wszystkie erkaemy były zasilane z magazynków. Wyjątek stanowiły Niemcy, które przyjęły na uzbrojenie uniwersalny MG 34 zasilany taśmą.

Na wrześniowych szlakach

Z erkaemu zalecano strzelać krótkimi seriami po trzy–sześć strzałów. Ogień ciągły, z uwagi na niewielką pojemność magazynka i szybkie nagrzewanie się lufy, prowadzono tylko w wyjątkowych sytuacjach, do dużych celów z małej odległości. ►

► Ćwiczenia żołnierzy 21. pułku piechoty; dobrze widoczny Browning wz. 28, na głowach strzelców helmy wz. 28 (nie zostały ostatecznie wprowadzone do uzbrojenia)

ści lub w czasie odpierania szturm. Często także stosowano strzały pojedyncze, zazwyczaj precyzyjne, szybkie, ale niezdradzające obecności erkaemu. Browning wz. 28, z uwagi na niewielką, sięgającą 9 kg masę i poręczność, nadawał się doskonale do walki w pierwszej linii, w szykach piechoty. Porucznik Feliks Stawecki z 14. pułku piechoty relacjonował: „W natarciu dochodzę pod samą m[iejscowość] Gruta. Pierwsze jej domki są obsadzone przez NPLa [nieprzyjaciela]. Jeden k.m. [karabin maszynowy] NPLa daje mi się specjalnie we znaki (strzela z odległości 50 m). Wykryłem go – stanowisko w szczycie budynku. Wystrzeliwuję kilka serii z r.k.m., po których k.m. NPLa więcej się nie odzywa” (relacja w zbiorach archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego). Poręczny browning umożliwiał także zajęcie stanowiska w koronie drzewa czy na dachu domu. Był wreszcie niezastąpionym narzędziem walki z zasadzki, łatwo go bowiem było przemieścić i ukryć na improwizowanym stano-



Fot. ze zbiorów MWPP

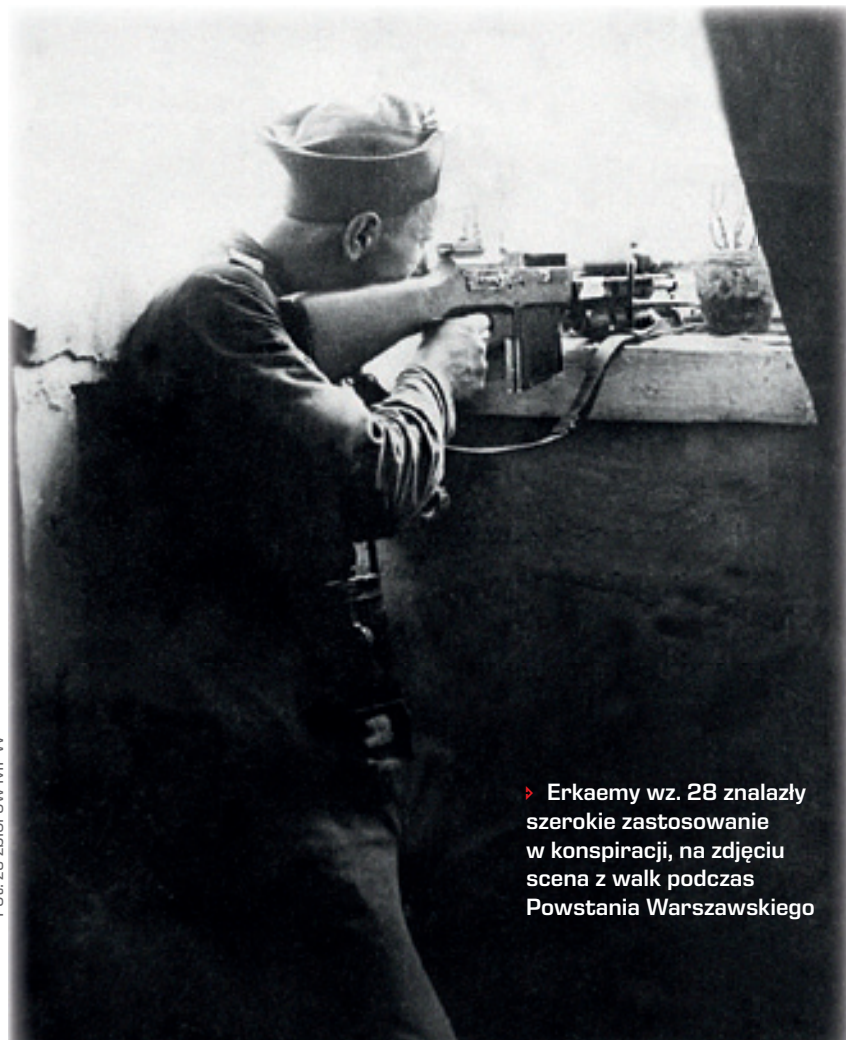
► Partyzanci AK z przedwojennym browningiem

wisku strzeleckim. Doskonale rezultaty dawało połączenie ognia cekaemów i erkaemów, co tworzyło trudną do pokonania barierę, nawet dla przeciwnika dysponującego przewagą w technice bojowej. Erkaemy uzupełniały zazwyczaj zapory ogniowe cekaemów prowadzących ostrzał

flankowy i stanowiły ich osłonę od frontu. Oczywiście, przy niewprawnej obsłudze zdarzało się, że karabiny odmawiały posłuszeństwa, narzekano też na zbyt delikatne magazynki. Dowódca 5. pułku ułanów, płk Stefan Chomicz, tak pisał o naszych browningach: „Celne, ale liczne wypadki zacięć, tak że po 10 dniach walki pułk miał przeważnie niemieckie lkm zdobyczne [zapewne chodzi o MG 34], które okazały się b. dobre i wytrzymałe – zacięć minimalna ilość” (IPMS). Cóż, niemiecki ukaem (uniwersalny karabin maszynowy), zasilany z metalowej dwustupięćdziesięcionabojowej taśmy, osiągający imponującą szybkostrzelność 900 strz./min, i w którym na dodatek zapewniono możliwość błyskawicznej wymiany lufy (trudna do przecenienia zaleta w ciężkiej broni automatycznej), znacznie górował nad naszym magazynkowym browningiem o szybkostrzelności praktycznej do 200 strz./min.

Erkaemów wz. 28 nie zabrakło na żadnym odcinku frontu, wspierały polskich piechurów i kawalerzystów od pierwszych minut wojny. Ukryte w dniach wrześniowej klęski, zasiły potem arsenał podziemia. Służyły do końca niemieckiej okupacji, także podczas Powstania Warszawskiego. 🇵🇱

► Erkaemy wz. 28 znalazły szerokie zastosowanie w konspiracji, na zdjęciu scena z walk podczas Powstania Warszawskiego



Fot. ze zbiorów MPW

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historycznowojskowej, współautor książki *Kircholm-Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)

Poznań pamięta

Konrad Białecki

Trzeba było rewolucji Solidarności, by poznański bunt robotniczy z 1956 roku doczekał się pomnika. W wolnej Polsce przybyło kolejnych miejsc pamięci Czerwca '56.

W 1957 roku Władysław Gomułka, ówczesny I sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, wezwał, by na Poznański Czerwiec spuścić „żałobną kurtynę milczenia”. Przez kolejnych ponad dwadzieścia lat w przestrzeni publicznej stolicy Wielkopolski brakowało godnego upamiętnienia zarówno samego wydarzenia, jak i jego ofiar. W latach siedemdziesiątych jedynie w kilku poznańskich kościołach odprawiono msze święte w intencji zabitych w czasie robotniczego zrywu, a w czerwcu 1980 roku przedstawiciele poznańskiej opozycji złożyli kwiaty na grobie najmłodszej ofiary, Romka Strzałkowskiego.

Prawdziwy przełom nastąpił dopiero wraz z pojawieniem się NSZZ „Solidarność”. W pierwszych miesiącach 1981 roku, po gorących dyskusjach, rozstrzygnięto konkurs na projekt pomnika Poznańskiego Czerwca 1956. Jego uroczy-

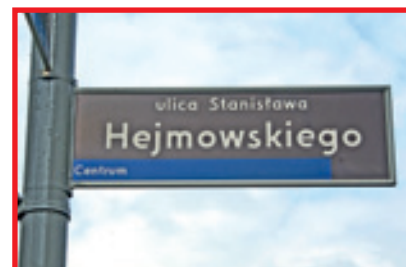
ste odsłonięcie, w obecności co najmniej 100 tys. osób, w tym zaproszonych gości, wśród których znaleźli się Lech Wałęsa i arcybiskup poznański Jerzy Stroba, nastąpiło 28 czerwca 1981 roku – dokładnie w ćwierćwiecze tragicznych wydarzeń. Pomnik ten jest znany jako Poznańskie Krzyże.

Dzień wcześniej, 27 czerwca, odsłonięto także kilka tablic w miejscach związanych z buntem robotniczym. Jedną z nich – przed zajezdnią tramwajową przy ul. Gajowej. Umieszczono na niej fragment wiersza Kazimierzy Hłakowiczówny, poetki mieszkającej od 1947 roku



w Poznaniu: „... lecz zbrzyżano mózgiem bruk / i bruk się wzdyma powoli / krew nie płynie już, już tylko skrzep / rozstrzelano moje serce w Poznaniu” oraz dedykację „Pracownikom Komunikacji Miejskiej w 25 – rocznicę tragicznych wydarzeń czerwcowych. Załoga WPK”. Kolejną tablicę umieszczono przed bramą główną zakładów im. Hipolita Cegielskiego. Napis na niej głosił: „Stąd upomniano się po raz pierwszy o prawo do ludzkiej godności. W 25-tą rocznicę Wydarzeń Czerwcowych 1956 Cegielszczacy. 28 VI 1981”. Kilkaśmet metrów dalej, przed bramą dawnej Fabryki Lokomotyw i Wagonów W3, odsłonięto obelisk z tablicą zawierającą słowa: „28 VI 1956 – 28 VI 1981. W 25-tą rocznicę robotniczego protestu pracowników Fabryki Wagonów dla pamięci żyjącym a ku przestrodze potomnym. Wyrazy hołdu bohaterom Czerwca składa NSZZ »So-





lidarności« Fabryki Lokomotyw i Wagonów». Kolejna z odsłoniętych w czerwcu 1981 roku tablic znajduje się w tej samej części miasta, przed Zakładami Naprawy Taboru Kolejowego przy ul. Roboczej. „Cierpieli za słowa: »Godności i chleba«. Pracownikom ZNTK uczestnikom wydarzeń czerwcowych 1956. Solidarność. 28 VI 1981”. Dwa dni później, 29 czerwca, pamiątkową tablicę umieszczono również na ścianie szpitala im. Franciszka Raszei, do którego trafiali ranni uczestnicy Poznańskiego Czerwca. Jej treść to: „Czerwiec 1956. Szpital ten zapisał się w pamięci poznańskich jako symbol pomocy w cierpieniu i świadek śmierci Bohaterów '56. W XXV rocznicę. 28 VI 1956”. Należy również nadmienić, że w 1981 roku, pomimo początkowego oporu władz, na mapie Poznania pojawiły się dwie nazwy ulic nawiązujące do wydarzeń sprzed 25 lat – Romka Strzałkowskiego i 28 Czerwca 1956 r.

Ciekawym przykładem miejsca pamięci jest kamień znajdujący się przed budynkiem dyrekcji zakładów im. Hipolita Ce-

gielskiego w Poznaniu, ustawiony w 1963 roku. Pierwotnie znajdował się na nim napis „Kochajcie nasz zakład, jak myśmy kochali. Ku czci poległych pracowników HCP”, nieprecyzyjny, o poległych w jakim wydarzeniu chodzi. W kwietniu 2000 roku treść napisu zmieniono na następującą: „Pamięci cegielszczaków poległych w czasie II wojny światowej, w czerwcu 1956 roku i na posterunku pracy”.

W wolnej Polsce Poznański Czerwiec doczekał się należnego uhonorowania. W wielu miejscach w stolicy Wielkopolski pojawiły się kolejne tablice i pomniki upamiętniające poznański zryw i jego bohaterów. Doszły też następne zmiany nazw ulic (m.in. Stanisława Matyi) nawiązujące do wydarzeń sprzed 60 lat. Jednym ze wspomnianych monumentów jest powstały z inicjatywy Związku Kombatantów i Uczestników Powstania Poznańskiego Czerwca 1956 r., odsłonięty u zbiegu ulic Kochanowskiego i Dąbrowskiego, Pomnik Poległych w Powstaniu Poznańskim. Poza inskrypcją „Tu walczyli i ginęli w 1956 roku bohaterzy uczestnicy robotniczego protestu za wolność, pracę i chleb. Niech pamięć o nich trwa w nas. Klub Pamięci Niepokonani 28 czerwca 1990” znajdują się na nim na kilku tablicach imiona i nazwiska oraz wiek wszystkich poległych.

W Poznaniu nie zapomniano także o tych, którzy bronili uczestników Poznańskiego Czerwca w procesach przed peerelowskimi sądami. 19 czerwca 2010 roku odsłonięto przy ul. Stanisława Hejmowskiego Pomnik Adwokatów Czerwca '56, na którym znalazł się napis: „Adwokatom, niezłomnym obroń-

com w procesach Czerwca 1956 i procesach politycznych”. Warto nadmienić, że prześladowany za swoją postawę w 1956 roku Stanisław Hejmowski był właśnie jednym ze wspomnianych w inskrypcji prawników. Najmłodszym, a przy tym najmniejszym pomnikiem jest ten znajdujący się we wnętrzu jednego z budynków przy ul. Młyńskiej, noszący nazwę Dzieci Czerwca '56. Znajduje się on w pobliżu szturmowanego w 1956 roku więzienia. Jest próbą uhonorowania kilkunastoletnich chłopców, których można dostrzec na licznych fotografiach dokumentujących wydarzenia 28 czerwca 1956 roku.

W ostatnich latach pojawiły się też nowe formy artystycznego upamiętnia-





nia Poznańskiego Czerwca. Wśród nich na szczególną uwagę zasługują murale wykonane na ścianach budynków znajdujących się w dzielnicy Wilda, z której sześćdziesiąt lat temu wyruszył w stronę centrum miasta robotniczy pochód.

Niezwykle ważnym miejscem, mającym charakter zarówno upamiętniający jak i edukacyjny, jest mieszczące się w gmachu poznańskiego Zamku Muzeum Powstania Poznańskiego – Czerwiec 1956, będące oddziałem Wielkopolskiego Muzeum Niepodległości. Znajdują się w nim bogate zbiory przybliżające zwiedzającym przebieg protestu, a także warunki bytowe ówczesnych mieszkańców stolicy Wielkopolski, kulisy procesów itp.

Pamięć o Poznańskim Czerwcu w przestrzeni miejskiej jest także budowana



przez wystawy przygotowywane przez poznański oddział Instytutu Pamięci Narodowej. Pierwsza z nich, „Wolności i chleba”, była pokazywana od 2006 roku w wielu miastach Polski. Doczekała się też kilku wersji obcojęzycznych. Druga, „W obronie pamięci.

Pomnik Poznańskiego

Czerwca 1956”, została przygotowana z okazji trzydziestej rocznicy powstania słynnych Poznańskich Krzyży, odsłoniętych 28 czerwca 1981 roku, i nadal jest udostępniana licznym szkołom w Wielkopolsce. Trzecia, „Rozstrzelane miasta. Poznań – Budapeszt 1956”, została uroczystie otwarta w Poznaniu przez prezydentów Polski i Węgier w 2011 roku. Od tamtego czasu została zaprezentowana w kilkunastu polskich i blisko trzydziestu węgierskich miastach.

Zarówno w Polsce, jak i na Węgrzech nie brak miejsc, w których w specjalny sposób zaznaczono splatanie się polsko-węgierskich losów po II wojnie światowej. Jednym z takich przykładów jest tablica pod pomnikiem na budapeszteńskim cmentarzu Új köztemető, na którym zostali pochowani m.in. polegli w trakcie Rewolucji Węgierskiej, innym tablica w Miskolcu upamiętniająca Romka Strzałkowskiego. 🇺🇦

dr hab. Konrad Białecki – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Poznaniu i Instytutu Historii UAM

Zdjęcia pochodzą ze zbiorów autora oraz archiwum IPN



Toruńskie ścieżki pamięci – dobra robota IPN

Anna Kolak

Jak dobrze znamy miejscowości, w których żyjemy? Często przechodzimy obojętnie obok pomników, tablic pamiątkowych, miejsc pamięci narodowej, zapominając niemalże o ich istnieniu. Gra edukacyjna *Toruńskie ścieżki pamięci* zabierze nas w podróż po Toruniu – poznamy wiele punktów miasta, które opowiedzą nam o jego burzliwej historii w XX wieku.

Toruńskie ścieżki pamięci to właściwie wariacja na temat bardzo popularnej gry, którą zapewne wielu pamięta z dzieciństwa, czyli *memory*. Jej zasady są proste – na stole rozkładamy zakryte kafelki z obrazkami i staramy się znaleźć pary. Ćwiczymy w ten sposób pamięć i spostrzegawczość. Dokładnie ten sam mechanizm wykorzystano w *Toruńskich ścieżkach pamięci*. Ale nie jest to wcale zwykłe *memory*, a i wygrać niełatwo.

Trzy warianty

W grze używamy 48 kafelków, na których znajdują się 24 pary fotografii miejsc pamięci z Torunia i okolic. Autorzy proponują trzy warianty rozgrywki. W pierwszym – najprostszym, przeznaczonym dla najmłodszych – zadaniem gracza jest po prostu odnalezienie większej liczby par, niż to robią przeciwnicy. W wariantcie drugim – trudniejszym – poza kafelkami używamy również klepsydry oraz talii 24 kart, na których są umieszczone nazwy wszystkich miejsc pamięci uwzględnionych w grze. Gracz, który odnalazł parę takich samych fotografii, bierze karty odpowiedzi i musi odszukać wśród nich właściwą nazwę miejsc przedstawionych na odkrytych kafelkach. Nie może przekroczyć czasu odmierzanego przez klepsydrę. Jeśli mu się to uda, zdobywa punkt, jeśli nie – kolejny gracz ma szansę spróbować swoich sił i odnaleźć właściwą nazwę. Gra wymaga już nie tylko dobrego zapamiętywania, lecz także znajomości toruńskich miejsc pamięci.

Jeśli w dalszym ciągu gra jest dla nas zbyt łatwa, sięgamy po

wariant trzeci – „*memory* historyczno-topograficzne”. Teraz obok kafelków i talii kart rozkładamy również mapę Torunia. Zaznaczone są na niej ponumerowane punkty, w których znajdują się miejsca pamięci występujące w grze. Zasłaniamy je na początku żetonami premii i rozpoczynamy rozgrywkę tak jak w wariantcie drugim. Kiedy graczowi uda się odnaleźć parę takich samych fotografii, a następnie znajdzie w talii odpowiednią nazwę, musi jeszcze odszukać dane miejsce na mapie. Podnosi wybrany żeton i porównuje numery (te znajdują się również na kaflach). Jeśli wskazał poprawnie, otrzymuje żeton premii dający na koniec gry dodatkowy punkt. Jeśli zaś mu się nie udało, kolejna osoba ma szansę znaleźć na mapie właściwe miejsce i zdobyć żeton premii. Gdyby znów padła błędna odpowiedź, szansa na zdobycie premii przepada, a gra toczy się dalej.

Od Piłsudskiego do Ciechowskiego

Oczywiście, jeśli chcemy zagrać w *Toruńskie ścieżki pamięci*, potrzebne nam będzie porządne przygotowanie. Do tego służy dołączona do zestawu płyta multimedialna z prezentacją wszystkich miejsc pamięci wykorzystanych w grze oraz książeczka, która opisuje pokrótce poszczególne wydarzenia z XX wieku. Znajdziemy tu ślady historii ważnej dla całego kraju – tablice upamiętniające odzyskanie niepodległości, Zbrodnię Katyńską czy Żołnierzy Wyklętych oraz pomniki: marsz. Józefa Piłsudskiego, Władysława Raczkiewicza, mianowanego w 1939 roku prezydentem RP na uchodźstwie, bł. ks. Jerzego Popiełuszki czy św. Jana Pawła II. Poznamy też miejsca i osoby związane bezpośrednio z Toruniem, które zapisały się na kartach historii XX wieku.

Zacznamy rozgrywkę, odkrywamy dwa kafle, widzimy niewielki pomnik – biała pochylona postać pośród drzew. Przenosimy się teraz na Barbarkę – dziś jest to część miasta, niegdyś wioska pod Toruniem. Kiedy w 1939 roku Pomorze Gdańskie zostało wcielone do Rzeszy, rozpoczęto germanizację tych terenów. Polaków, którzy zostali uznani za wrogów Rzeszy, umieszczano najpierw w Forcie VII, pełniącym funkcję obozu przejściowego, a następnie przewożono do lasów na Barbarce i rozstrzeliwano. Zginęły tu setki osób – przede wszystkim przedstawiciele polskiej inteligencji, ale nie





oszczędzono również rolników, robotników, a nawet dzieci. Pod koniec wojny Niemcy w ramach Akcji 1005 spalili zwłoki większości ofiar, przez co do dziś nie znamy tożsamości ani liczby ludzi, którzy tutaj zginęli.

Kolejne dwa odkryte kafle – tym razem widzimy fragment muru i napis „Dzieciom polskim ofiarom faszyzmu”. To toruńska Szmalcówka – niegdyś przetwórnia smalcu, w której gmachu Niemcy stworzyli obóz dla wysiedlonej ludności polskiej. Był to kolejny etap germanizacji Pomorza Gdańskiego. Polskie rodziny były zmuszane do opuszczania swoich domów, a ich majątki przejmowali osadnicy niemieccy. W obozach wysiedleńczych panowały nieludzkie warunki – wskutek chorób i głodu wielu ludzi umierało. Pozostałych kierowano na przymusowe roboty do Rzeszy lub do obozów zniemczenia. Szmalcówka jest dziś symbolem pośredniej eksterminacji polskiej ludności cywilnej.

Odkrywamy następne kafle – widzimy pomnik mężczyzny, który na swoich ramionach niesie człowieka, bezwładnego, cierpiącego, umierającego... To bł. ks. Stefan Ferlichowski – kapelan harcerzy, wikary jednej z toruńskich parafii. W roku 1939 został uznany przez Niemców za wroga Rzeszy i zesłany najpierw do obozu Stutthof, później Sachsenhausen, a ostatecznie Dachau. Wszędzie tam pełnił posługę kapłańską. W końcu, gdy wybuchła epidemia tyfusu, zgłosił się do opieki nad chorymi, sam zachorował i zmarł. Na kolejnych kafkach pojawia się pomnik kobiety. Taki niepozorny – zwyczajna kobieta siedząca przy stole. Ale bije od niej jakaś niezwykła powaga. To gen. „Zo”, czyli Elżbieta Zawacka – urodzona w Toruniu, nauczycielka, potem żołnierz Polski Podziemnej, a po wojnie więzień polityczny. Jedyna kobieta spośród cichociemnych.

Odkrywając następne kafle, nie tylko natkniemy się na pamiętki wydarzeń z I i II wojny światowej, lecz także poznamy historię powojenną – lata walki z reżimem komunistycznym, strajki robotników, działalność Solidarności. Trafimy w końcu na fotografię niewielkiej tablicy upamiętniającej postać ważną dla polskiej sceny muzycznej XX wieku. To Grzegorz Ciechowski – kompozytor i wokalista, założyciel Republiki

– jednego z najważniejszych zespołów rockowych lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, który w tekstach piosenek obnażał absurdu ustroju i krytykował rzeczywistość PRL. W Toruniu studiował polonistykę i właśnie tu, w studenckim klubie „Od Nowa”, zaczynał karierę muzyczną. To dobrze, że pośród toruńskich ścieżek pamięci znalazło się też miejsce dla Ciechowskiego. Dzięki temu uświadamiamy sobie, że na naszą przeszłość składają się nie tylko wielkie wydarzenia historyczne, lecz także te małe, z pozoru nie tak wzniosłe. Piosenki kultowej Republiki to też przecież część naszej historii.

Lekcja historii

Gra *Toruńskie ścieżki pamięci* jest skierowana przede wszystkim do uczniów toruńskich szkół. Może być wykorzystana na lekcjach historii – pozwala poznać i zrozumieć wydarzenia z najnowszej historii Polski, zarówno w skali ogólnokrajowej, jak i te dotyczące „małej ojczyzny” – miejsc, ulic, bohaterów związanych bezpośrednio z Toruniem. Dzięki trzem poziomom trudności grę można łatwo dostosować do wieku odbiorców, co sprawia, że jest równie atrakcyjna i dla dzieci ze szkół podstawowych, i dla młodzieży gimnazjalnej czy licealnej. Nawet dla mnie, osoby niezwiązanej z Toruniem, kontakt z grą był ciekawym doświadczeniem. Otrzymałam cenną lekcję historii, a po rozegraniu kilku partii mogę się również pochwalić niejaką orientacją w topografii miasta. Niebanalne wykorzystanie klasycznego *memory* okazało się bardzo udane.

Dobra robota! Przykład, jak – stosując proste reguły – skonstruować ciekawą, lokalną wariację gry pobudzającej do poznawania najbliższej historii i geografii. Warto, by i inne miasta miały takie gry, niekoniecznie ograniczone do XX wieku. 🍀

Anna Kolak – filolog polski, redaktorka serwisu GamesFanatic.pl



PRZYSTANEK HISTORIA

Centrum Edukacyjne IPN im. Janusza Kurtyki



MZK WARSZAWA
TRAMWAJ, TROLEJBUS

ul. Marszałkowska 21/25,
0-628 Warszawa
faks (22) 576 30 02
www.ipn.gov.pl

przystanek.historia@ipn.gov.pl
facebook.com/przystanek.historia
przystanekhistoria.ipn.gov.pl

Tu kasować

1–16 czerwca

Wystawa „**Pojednanie / Versöhnung in progress... Kościół katolicki i relacje polsko-niemieckie po 1945 r.**”, przygotowana przez Ośrodek „Pamięć i Przyszłość” oraz Maximilian-Kolbe-Stiftung przy wsparciu konferencji episkopatów Polski i Niemiec.

9–10 czerwca (czwartek–piątek), godz. 10:00

Konferencja naukowa „**Nie (tylko) Partia? Organizacje społeczne w Polsce Ludowej 1944–1989 – geneza, funkcjonowanie, znaczenie**”. Szczegółowy program: www.ipn.gov.pl.

10 czerwca (piątek), godz. 17:30

Dyskusja z cyklu „Historia z Piotrem Skwiecińskim”. Tematem spotkania będzie **rzeź wolińska**. W dyskusji wezmą udział Ewa Siemaszko oraz dr hab. Grzegorz Motyka.

14 czerwca (wtorek), godz. 9:30

Konferencja popularnonaukowa „**Pryśnął związek hitlerowsko-bolszewicki. Rozpad paktu Ribbentrop–Molotow i jego konsekwencje dla sprawy polskiej**”.

14 czerwca (wtorek), godz. 17:30

Spotkanie z cyklu „Bohaterowie Wykłęci” poświęcone **młodocianym więźniom łagru w Jaworznie**. W programie pokaz filmu *Łagier Jaworzno*. Gospodarzem cyklu jest dr Jędrzej Lipski.

16 czerwca (czwartek), godz. 17:30

Promocja książki Mariusza Sawy *Ukraiński emigrant. Działalność i myśl Iwana Kedryna-Rudnyckiego (1896–1995)*. W rozmowie o książce wezmą udział dr hab. Roman Wysocki, dr Paweł Libera oraz autor.

17–30 czerwca

Wystawa „**Bogu i Polsce. Harcerstwo niepokorne i niezależne w »Polsce Ludowej« (1945–1990)**”, poświęcona dzieciom harcerstwa w PRL.

17 czerwca (piątek), godz. 17:30

Promocja książki Adama Sitarka *Otoczone drutem państwo. Struktura i funkcjo-*

nowanie administracji żydowskiej getta łódzkiego. W rozmowie o książce wezmą udział prof. Andrzej Żbikowski, dr Michał Trębacz oraz autor. Spotkaniu będzie towarzyszyć prezentacja wystawy „**Twarz getta – zdjęcia żydowskich fotografów z getta Litzmannstadt, 1940–1944**”.

18 czerwca (sobota), godz. 11:00

„**Rodzinna sobota**” dla dzieci w wieku 6–9 i 10–13 lat. Informacje i zapisy: magdalena.bogdan@ipn.gov.pl.

20 czerwca (poniedziałek), godz. 13:00

Spotkanie Klubu Historycznego im. Generała Stefana Roweckiego „Grotą”. Wykład o Czerwcu '76 wygłosi dr Paweł Sasanka.

20 czerwca (poniedziałek), godz. 17:30

Prezentacja książki Marka Millera *Papież i generał*. W rozmowie o książce wezmą udział dr Paweł Ukielski, twórca ilustracji do książki Przemysław Truściński oraz autor.

20 czerwca (poniedziałek), godz. 17:30

„**Jak wyszkolić oddanego funkcjonariusza? Studium przypadku**” – spotkanie z cyklu „Laboratorium archiwalne 1.0”.

21 czerwca (wtorek), godz. 17:00

Projekcja filmu *My z Cegielskiego* o krwawo stłumionym proteście robotników w Poznaniu 28 czerwca 1956 roku – spotkanie Klubu Historycznego im. Generała Stefana Roweckiego „Grotą”.

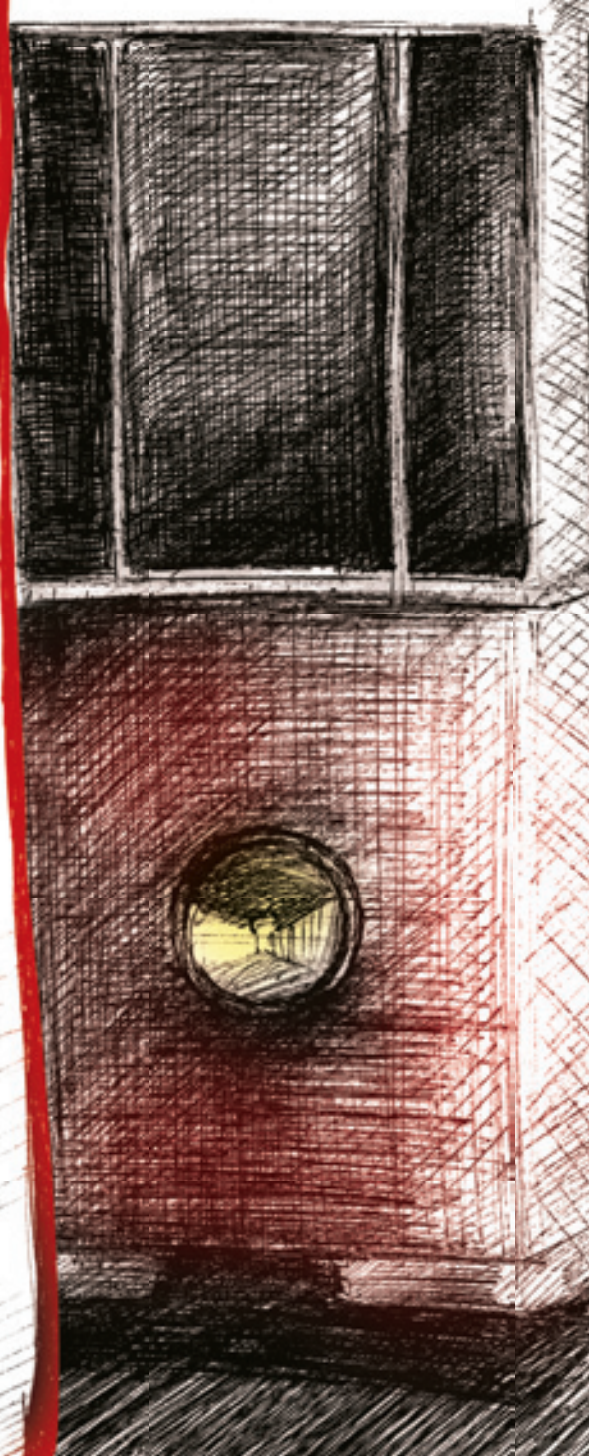
22 czerwca (środa), godz. 17:30

Spotkanie z cyklu „Krakowska Łoża Historii Współczesnej w Warszawie”. O książce *Wina i kara. Społeczeństwa wobec rozliczeń zbrodni popełnionych przez reżimy totalitarne w latach 1939–1956* będą dyskutować dr Joanna Lubecka, dr Tomasz Łabuszewski oraz dr hab. Patryk Pleskot. Prowadzenie: Roman Graczyk.

29 czerwca (środa), godz. 17:30

Promocja III tomu serii *Studia nad wywiadem i kontrwywiadem Polski w XX wieku*. W spotkaniu wezmą udział prof. Wojciech Skóra, dr hab. Przemysław Olstowski, dr Witold Bagieński oraz dr Paweł Skubisz. Prowadzenie: Witold Gadowski.

CZERWIEC



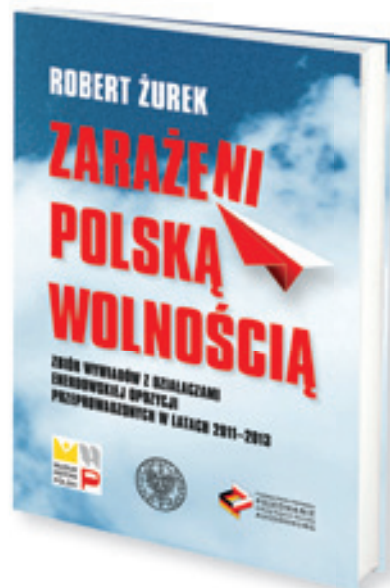
Niemieccy przyjaciele

Można żałować, że tylko skąpa część publikacji IPN ma szansę dotrzeć do odbiorców nieznających języka polskiego. Cieszy jednak, że w ciągu ostatniego roku przybyło takich właśnie książek. Jedną z nich to *Zarażeni polską wolnością. Zbiór wywiadów z działaczami enerdownskiej opozycji przeprowadzonych w latach 2011–2013* dr. Roberta Żurka. Publikacja jest dostępna również w języku niemieckim (*Polen – mein Weg zur Freiheit. Wie Polen die DDR-Bürgerrechtler inspirierte – 13 Gespräche*) i znalazła za Odrą doświadczonego dystrybutora.

Autor książki, dyrektor Oddziału IPN we Wrocławiu, od lat specjalizuje się w tematyce polsko-niemieckiej i w najnowszych dziejach Kościoła katolickiego. *Zarażeni polską wolnością* to trzynastu rozmów z byłymi dysydentami wschodnioniemieckimi. Wielu z nich było zarazem (lub jest do dziś) związanych z Kościołem katolickim lub ewangelickim. „Nie wszyscy oni należeli do pierwszego szeregu opozycji, wszyscy jednak przyczynili się do osłabienia systemu i do umocnienia rodzącego się społeczeństwa obywatelskiego” – pisze Żurek. Bohaterowie książki urodzili się między rokiem 1928 a 1959, reprezentują więc dwa pokolenia enerdownskich opozycjonistów. Łączy ich to, że inspirację do działania czerpali z polskich doświadczeń.

„Wschodni sąsiad był dla wielu przeciwników reżimu komunistycznego w NRD źródłem nadziei i wzorem do naśladowania” – czytamy na okładce publikacji. Polacy zazdrościli mieszkańcom Niemieckiej Republiki Demokratycznej lepiej zaopatrzonych sklepów, ale to w PRL margines swobód obywatelskich był szerszy. Markus Meckel, jeden z rozmówców Żurka, z sentymentem wspomina „o wiele bardziej otwartą i swobodną atmosferę społeczną niż w NRD”. „Delektowaliśmy się tym, że w Polsce panowała większa wolność i otwartość. [...] Po czym wracaliśmy do NRD, która była jak gorset grożący uduszeniem” – wtóruje mu Heimgard Mehlhorn. „W większości polskich miast istniały czytelnie, w których można było przejrzyć zachodnie gazety. Coś takiego w NRD było nie do pomyślenia – mówi z kolei Konrad Weiß. – Kiedy przyjeżdżało się z szarego, monotonna, drobnomieszczańskiego, mundurowego NRD, zaczynało się swobodniej oddychać”. Młodych enerdownców przyciągały do PRL choćby koncerty jazzowe. Niektórzy uczyli się nawet polskiego, by czytać poezję Czesława Miłosza, oglądać *Człowieka z żelaza* Andrzeja Wajdy i dyskutować z peerelowskimi opozycjonistami. Nawiażywali kontakty ze środowiskami KIK, „Tygodnika Powszechnego” i Znaku.

„W Niemczech Wschodnich niewielki ruch opozycyjny długo pozostawał w cieniu” – nie ukrywa Żurek. W Polsce już w połowie lat siedemdziesiątych wykształciła się zorganizowana opozycja. W roku 1980 powstała zaś Solidarność – wielomilionowy niezależny związek zawodowy, niemający odpowiednika w żadnym innym kraju bloku wschodniego.



Robert Żurek, *Zarażeni polską wolnością. Zbiór wywiadów z działaczami enerdownskiej opozycji przeprowadzonych w latach 2011–2013*, IPN, Fundacja „Polsko-Niemieckie Pojednanie”, Muzeum Historii Polski, Warszawa 2015, 256 s. + 32 s. wkł. zdj.

Rozmówcy Żurka nie kryją fascynacji polską opozycją z tamtych lat. Niektórzy z nich zapłacili za ten podziw bardzo wysoką cenę. Eckart Hübener został skazany na 15 miesięcy więzienia, po tym jak w sierpniu 1981 roku próbował przewieźć z Polski do NRD materiały NSZZ „Solidarność”. Roland Jahn otrzymał niemal dwuletni wyrok, bo do roweru miał przypiętą biało-czerwoną flagę z napisem „Solidarność z polskim narodem”.

Wschodnioniemiecki reżim komunistyczny nawet w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych uciekał się do represji, które w Polsce kojarzą się raczej z epoką stalinowską. Wielu spośród rozmówców Żurka z powodu „niewłaściwego” pochodzenia miało zamkniętą drogę do uprawnianych zawodów. „Jako córka pastora mogłam zdać państwową maturę tylko okrężną drogą i nawet po jej zdaniu nie miałam szans dostać się na studia” – opowiada Ruth Leiserowitz. Wykształcenie akademickie zdobyła już po upadku NRD. Dziś jest zastępcą dyrektora Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie. Jahn stoi na czele BStU, czyli niemieckiego odpowiednika Instytutu Pamięci Narodowej. Meckel przez wiele lat był posłem do Bundestagu.

Na ogół jednak byli enerdownscy opozycjoniści nie zrobili w zjednoczonych Niemczech wielkich karier. Zbyt długo wierzyli, że socjalizm można zreformować. „Tylko nieliczni zmierzali do likwidacji NRD i włączenia ich kraju do Republiki Federalnej” – trafnie zauważa Żurek. Społeczeństwo wschodnioniemieckie chciało zaś szybkiego zjednoczenia Niemiec i dało temu wyraz w marcu 1990 roku – w pierwszych od lat wolnych wyborach. Jest paradoksem, że dwa najważniejsze stanowiska w niemieckiej polityce zajmują dziś byli obywatele NRD, ale bynajmniej nie ci, którzy najwytrwalej walczyli z reżimem komunistycznym. Prezydent Joachim Gauck, niegdyś pastor w Rostoku, z opozycją związał się dopiero u schyłku lat osiemdziesiątych.

Kancelerz Angela Merkel w młodości należała do komunistycznej młodzieżówki FDJ. W *Zarażonych polską wolnością* Gauck pojawia się raz, Merkel – ani razu (szkoda skądinąd, że indeks nazwisk znajdziemy wyłącznie w wydaniu niemieckim).

To nie jest książka o tych, którzy są dziś na pierwszych stronach gazet. „Stanowi raczej hołd złożony odważnym ludziom, ich życiu i działalności, świadectwo mówiące o nich i o znaczeniu stosunków polsko-niemieckich” – deklaruje Żurek. Autor nie stara się – i słusznie – zdominować rozmówców. Uważnie słucha, czasem tylko dorzuca własny komentarz. Wstęp ogranicza się do ośmiu stron, przypisów nie ma. „Książka ta nie pretenduje do naukowości” – zastrzega Żurek. Historyków być może to smartwi, przeciętnych czytelników – z pewnością ucieszy. *Zarażonych polską wolnością* czyta się dobrze, i to w obu wersjach językowych. 📖

Filip Gańczak

Prześwietlanie partii

Polska Zjednoczona Partia Robotnicza przez ponad czterdzieści lat była przedstawiana przez komunistów jako „przewodnia siła narodu”. Rządzący wkładali wiele wysiłku w przekonanie Polaków, że stery w państwie dzierży „lud pracujący miast i wsi”, a partia jest jego reprezentacją. W rzeczywistości jednak władza spoczywała w rękach stosunkowo niewielkiej grupy osób. Kim byli ci ludzie? Co decydowało o tym, że to właśnie oni sprawowali władzę i wpływali na losy milionów obywateli? Jak wyglądały ich wzajemne relacje? Kto i z jakich powodów mógł zostać uznany za wroga i w zaskakująco krótkim czasie stracić władzę? Odpowiedzi na te i wiele innych pytań próbują znaleźć autorzy trzydziestu artykułów zebranych w interesującym zbiorze *Elity komunistyczne w Polsce*. Książka pod redakcją Mirosława Szumiły i Marcina Żukowskiego jest pokłosiem konferencji naukowej zorganizowanej przez Instytut Pamięci Narodowej w 2013 roku, w ramach projektu badawczego „Struktury i działalność Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej”. Pozycja ta jest ważna z co najmniej kilku powodów. Choćby dlatego że mimo długiego czasu, który upłynął od rozwiązania PZPR i otwarcia jej archiwów, wiedza o funkcjonowaniu partii jest wciąż niepełna. Książki dotyczące tej problematyki są nieliczne, a wiele wątków wciąż czeka na opracowanie. Omawiana publikacja w jakimś stopniu tę lukę wypełnia. Gwarancją jakości są zresztą nazwiska autorów.

Redaktorzy tomu podzielili artykuły na sześć działów, porządkując tematy podjęte przez prelegentów. W części pierwszej, zatytułowanej *Problemy metodologiczne*, znalazły się teksty wyjaśniające pojęcie „elita”. Marcin Żukowski dokonuje przeglądu definicji tego terminu. Zaprezentowane interpretacje badawcze pokazują złożoność problemu elit w historii w ogóle. Specyfika okresu PRL powoduje zaś, że definicję elity należy precyzować z uwzględnieniem różnic widocznych w kolejnych dekadach lat 1948–1989. Żukowski zwraca też uwagę na to, że w historiografii PRL pojęcie „elita” prawie nie występuje, często zaś jest tożsame z aktywnym lub aktywistami.

Dwa kolejne teksty również dotyczą problemu zdefiniowania tytułowego tematu. Mirosław Szumiło próbuje odpowiedzieć na pytanie, kto tworzył elitę w PPR i PZPR. Wskazuje na zależności – także nieformalne – między ludźmi sprawującymi władzę. W klarowny sposób obrazuje funkcjonowanie przywódców partyjnych, administracji państwowej, aparatu bezpieczeństwa i Wojska Polskiego. Szczególną uwagę zwracają wyodrębnione przez Szumiłę grupy „kryptokomunistów sterujących partiami satelickimi” oraz „szarych eminencji i elit wpływu”. Do tej drugiej autor zaliczył m.in. żonę przywódcy partii, Zofię Gomułkową, która „miała dużo do powiedzenia przy tzw. roztawianiu kadr partyjnych w pierwszych latach Polski Ludowej”, i Mieczysława Rakowskiego, mającego – jeszcze jako redaktor naczelny „Polityki” – „dostęp do ucha samego I sekretarza”.

Dariusz Magier, autor trzeciego tekstu „metodologicznego”, opisał elity komunistyczne na prowincji w latach 1975–1989. Co ciekawe, przynależność do nich nie była zarezerwowana tylko dla członków PZPR.

Z kolejnych artykułów czytelnik dowiadyuje się o konfliktach wewnątrz partii, i nie chodzi tu tylko o PZPR. Tekst Ołeksandra Zajcewa przybliża działalność Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi w okresie międzywojennym. Robert Spałek opisuje z kolei walki w kierownictwie Polskiej Partii Robotniczej. Tak szerokie ujęcie omawianej problematyki może się wydać przytłaczające, jest to jednak wrażenie mylne. Teksty tworzą spójną całość. Należy przy tym przyznać rację Elżbiecie Kowalczyk, która w podsumowaniu swojego artykułu pisze: „Przedwojenny komunista przekładał znane sobie wzorce zachowań na nową sytuację polityczną – warunki PRL. Zmieniało się w gruncie rzeczy tylko nazewnictwo [...] Z perspektywy lat można stwierdzić, że walki wewnętrzne były wpisane w historię całego ruchu komunistycznego i miały istotny wpływ na postawy elit komunistycznych”.

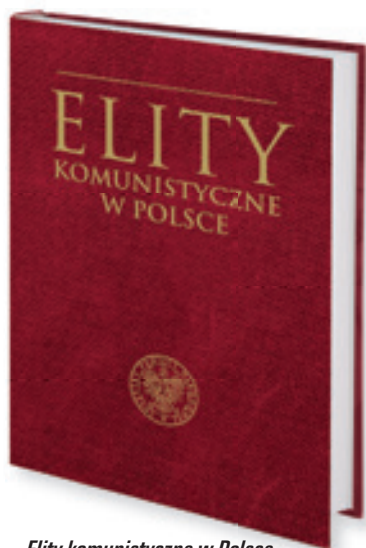
Wiele miejsca w publikacji poświęcono regionalnym strukturom partyjnym. Autorzy opisali elity komunistyczne w kilku miastach, m.in. w Krakowie i Lublinie. Mogłoby się wydawać, że te artykuły zainteresują głównie mieszkańców opisywanych miejscowości. Otóż niekoniecznie. Po pierwsze, sytuacje, w których dygnitarze partyjni zmieniali miejsce pracy, nie należały do rzadkości. Po drugie zaś, z zaprezentowanych badań wylania się schemat ścieżki kariery ówczesnych dygnitarzy, a niektóre elementy tego procesu są niezależne od miejsca zamieszkania. Autorom, dzięki szczegółowemu analizom wieku, wykształcenia czy pochodzenia społecznego bohaterów tekstów, udało się stworzyć pewien modelowy obraz przedstawiciela ówczesnych elit.

Najobszerniejsza część książki to szkice biograficzne ośmiu działaczy komunistycznych, m.in. Jerzego Putramenta (Konrad Rokicki) i wspomnianego już Rakowskiego (Michał Przeperski). Zaprezentowane sylwetki ukazują działaczy zarówno ze szczebla centralnego, jak i szczebli terenowych. Życiorysy czyta się doskonale i pozostaje jedynie mieć nadzieję, że autorzy pokuszą się kiedyś o szersze przedstawienie biografii tych postaci.

W ostatnim rozdziale redaktorzy tomu umieścili artykuły uzupełniające wcześniejsze teksty. Warto tu zwrócić uwagę

na tekst Natalii Jarskiej, która przeanalizowała udział kobiet w centralnych i lokalnych elitach PPR/PZPR w pierwszej dekadzie powojennej. Inni autorzy również wyodrębniali kobiety we władzach partyjnych czy państwowych (m.in. Marcin Sroka i Michał Mroczek), Jarska skupiła się jednak na przyczynach, dla których kobiety były – lub nie – członkiniami ówczesnych elit. Porównała też sytuację działaczek polskich z aktywnością komunistek w innych krajach „demokracji ludowej”.

Książka pod redakcją Szumiły i Żukowskiego z pewnością nie wyczerpuje tematu elit komunistycznych ani samej PZPR. Po lekturze rodzi się wiele pytań, co jednak nie przemawia na niekorzyść publikacji. Dowodzi to raczej tego, że problematyka partyjna jest niezwykle różnorodna i interesująca. Obszary badawcze, na które wskazują autorzy, zapewne doczekają się dalszych, szczegółowych opracowań. 📖



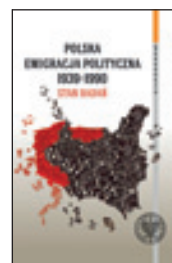
Elity komunistyczne w Polsce, red. M. Szumiło, M. Żukowski, IPN, Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej, Warszawa – Lublin 2015, 696 s.



■ Gyula Csics, *Węgierska rewolucja 1956. Pamiętnik dwunastolatka*, red. J. Tischler, IPN, Warszawa 2016, 280 s.



■ Stanisław Leszczyński, *Uwikłanie. Wspomnienia z Podola 1939–1945*, red. T. Bereza, IPN, Rzeszów 2016, 272 s. + 48 s. wkł. ilustr.



■ *Polska emigracja polityczna 1939–1990. Stan badań*, red. S. Łukasiewicz, IPN, Warszawa 2016, 600 s.



■ Dariusz Iwaneczko, *Zmierzch dekady Gierka. Polska południowo-wschodnia 1975–1980*, IPN, Rzeszów 2016, 337 s.



■ Rafał Łatka, *Polityka władz PRL wobec Kościoła katolickiego w województwie krakowskim w latach 1980–1989*, IPN, Wydawnictwo Dante, Kraków 2016, 558 s.



■ *PRL a wojna domowa w Grecji / The Polish People's Republic and the Greek Civil War*, red. M. Semczyszyn, IPN, Szczecin 2016, 272 s.



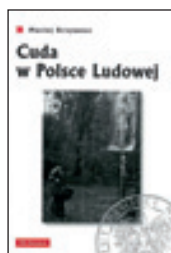
■ Ks. Marcin Kaplon, *Diecezja przemyska w latach 1944–1964*, IPN, Rzeszów 2016, 712 s. + 28 s.



■ „Niech świat pamięta o nas...”. Losy osób deportowanych do ZSRR z terenu Górnego Śląska w 1945 r., red. K. Banaś, IPN, Katowice 2016, 182 s.



■ *Solidarność 1980–1981 w kraju i w Wielkopolsce. Szkice do portretu*, red. K. Brzechczyn, IPN, Poznań 2016, 302 s.



■ Maciej Krzywosz, *Cuda w Polsce Ludowej. Studium przypadku prywatnego objawienia maryjnego w Zabłudowie*, IPN, Białystok 2016, 447 s. + wkł. ilustr.



■ *Paryż, Londyn, Monachium, Nowy Jork. Powrześnieowa emigracja niepodległościowa na mapie kultury nie tylko polskiej*, t. 2, red. V. Wejs-Milewska, E. Rogalewska, IPN, Wydawnictwo Uniwersytetu w Białymstoku, Trans Humana, Białystok 2016, 936 s.



■ *Studia nad wywiadem i kontrwywiadem Polski w XX wieku*, t. 3, red. W. Skóra, P. Skubisz, IPN, Szczecin 2016, 778 s.



■ Jerzy Kulczycki, *Atakować książką*, wstęp A. Paluchowski, oprac. M. Choma-Jusińska, P. Zięta, IPN, Warszawa 2016, 320 s.



■ Krystian Pielacha, Jarosław Kuczyński, *Do ostatniej kropli krwi. Major Marian Bernaciak „Orlik” 1917–1946*, Warszawa 2016, 334 s. + płyta *Kronika oddziału majora Mariana Bernaciaka „Orlika”*.



■ *Kazimierz Zakrzewski. Historia i polityka*, red. M. Dąbrowska, IPN, Uniwersytet Łódzki, Warszawa – Łódź 2016, 344 s.



■ Ewa Leniart, *Skazani za antykomunizm. Orzecznictwo Wojskowego Sądu Rejonowego w Rzeszowie w latach 1946–1954/1955*, IPN, Rzeszów 2016, 342 s.



■ Robert Piwko, *Obozowe Drużyny Bojowe w Sandomierzu (1944–1946). Działalność organizacji Bronisława Sokolowskiego „Franta” oraz represje komunistyczne wobec jej członków*, IPN, Wydawnictwo Barbara, Kielce – Kraków 2016, 228 s.



■ *Zbrodnie przeszłości. Opracowania i materiały prokuratorów IPN*, t. 5: 15 lat – próba bilansu, IPN, Warszawa 2016, 72 s.

Institut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
02-675 Warszawa, ul. Wołoska 7

Publikacje IPN można nabyć:

w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki
PRZYSTANEK HISTORIA, ul. Marszałkowska 21/25,
00-628 Warszawa, tel. 22 576 30 05
i w księgarniach IPN: ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa,
al. Grunwaldzka 216, 80-266 Gdańsk.

Prenumerata „Pamięci.pl”

Szczegółowe informacje na temat prenumeraty wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują się na stronie www.pamiec.pl przy opisie najnowszego wydania. Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy podane obok.

Sprzedaż wysyłkowa publikacji

Zamówienia można składać telefonicznie:
tel. 22 581 86 78, 22 581 86 79;
22 581 86 96; faks 22 581 89 40
pocztą zwykłą na adres IPN
pocztą elektroniczną: joanna.pamula@ipn.gov.pl;
joanna.pszczola@ipn.gov.pl; danuta.wierzman@ipn.gov.pl
lub w księgarni internetowej: www.ipn.pocztytaj.pl

„Od niepodległości do niepodległości”

najpopularniejsze kompendium wiedzy o historii Polski XX w.

150 000 rozpowszechnionych egzemplarzy

było na papierze



jest w Internecie!

www.Polska1918-89.pl

Elektroniczna wersja książki „Od niepodległości do niepodległości”

- + materiały z zasobów portalu edukacyjnego IPN **pamięć.pl**
- + publikacje z Biblioteki Cyfrowej
- + ponad 2000 artykułów, e-booków, filmów, materiałów edukacyjnych, fotografii i innych
- + przejrzysta szata graficzna
- + prosta nawigacja



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ